



IWONA BANACH

KOMEDIA
KRYMINALNA

GERIATRYCZNE
BIURO
ŚLEDCZE



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

IWONA
BANACH

GERIATRYCZNE
BIURO
ŚLEDCZE



SKARPA
WAR
SZAW
SKA



Spis treści

Karta redakcyjna

GERIATRYCZNE BIURO ŚLEDTCZE

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©*AdobeStock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Iwona Banach, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-22-9



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ada Hill nie miała nic. No oczywiście oprócz tego, co miała. Miała dom, kilka kotów i koszmarny bałagan, który w tym momencie klasyfikował ją wysoko w drodze do miana maniakałnej zbieraczki, ale nie miała sensu życia, a to w pewnym wieku jest znacznie ważniejsze niż jakiegokolwiek materialne przejawy dobrostanu.

Miała też emeryturę i pokąsną tuszę, ale i to było za mało.

Pragnęła tego nieuchwytnego uczucia, że jej życie się jeszcze nie skończyło, że ma po co, dla kogo żyć i że żyć chce, a jakoś tego nie czuła.

Chciała coś zmienić. Nie tak zaraz jakoś ostatecznie. Sprzątać i odchudzać się nie zamierzała, koty były jej wielką miłością i według niektórych niemym świadectwem życiowej porażki. Hodowała je jednak metodą próżniową. W domu próżno by było ich szukać. To znaczy dom był bez kotów, za to całe obejście było ich pełne.

Miała oczywiście przyjaciół, o co w jej wieku zazwyczaj trudno, i ponad sześćdziesiąt lat, jej przyjaciele jeszcze nie zamienili się w wymierające dinozaury, ale ona nabrała sporo mądrości życiowej, a ta pozwalała jej nawet z daleka odróżniać idiotów od ludzi rozsądnych. Nie lubiła ani jednych, ani drugich. Jedni ją denerwowali, drudzy deprymowali. Ani głupota, ani rozsądek jej nie pociągały, toteż pozostała przy swoich znajomych z dawnych lat i z dawnej pracy.

Ada Hill była kiedyś osobą niezwykle ważną i wpływową. Ważną i wpływową w ten nieokreślony sposób, który nie wynika z wysokich stanowisk, pieniędzy czy wykształcenia. Była bufetową. Nie byle jaką – była bufetową w komendzie policji. Stąd jej przyjaźnie.

Nie była to stołeczna komenda policji, więc nikt się nie sadził, nie wywyższał, nie uważał za lepszego, była to komenda w niewielkim Praslawcu, gdzie ludzie się lubili, nawet jeżeli się nienawidzili. To znaczy po latach jakoś tak wyszło, że nawet ci, którzy się nienawidzili, zostali przyjaciółmi.

Z pewnego egzystencjalnego przymusu. Lepszy stary, dobry, znany wróg niż amerykański generał z Facebooka.

Poza wszystkim czasami się spotykali. Ada szykowała wtedy ciasto, robili grilla i pili do białego rana. Było miło i gdyby nie obojczyk Ady, nadal by tak było. Bo ona ich do domu nie wpuszczała. Pikniki organizowali w ogrodzie i było w porządku, ale teraz z powodu obojczyka i pewnych ograniczeń musiała ich wpuścić.

– Jezu, co ty masz tu za syf! Przecież tak nie można żyć! – zawołał od progu Edzio, emerytowany komisarz policji, łapiąc się za głowę.

– Przecież ja nie żyję! Ja wegetuję! – odburknęła Ada, wrażliwa na słowa nagany.

– O kurwa! – jęknął Patyczak, chudy, blady, kiedyś blondyn, ale teraz siwy Hubert w okularach. – Aleś tu nasrała?! Co ty zamierzasz?

– Przetrzeć! – odburknęła Ada.

– Co?

– Cokolwiek się da! Chciałam sobie jakoś życie zorganizować. Coś znaleźć.

– W sensie?

– W sensie sensu!

Ada mówiła prawdę. Po tym jak przeszła na emeryturę, szukała sensu życia, gdzie tylko się dało, ale jakoś to jej nie wychodziło. Najpierw postanowiła zaszydełkować się na śmierć, stąd wszędzie dziergane... hmmm... dzierganki, bo inaczej nie dało się tego nazwać. Z szydełkiem jest tak: potrzebuje albo uporządkowania, albo artyzmu. Ada gubiła oczka, rzędy, myliła się, robiła dziury, porządku w tym nie było, a artyzm? No cóż, to nie były jej klimaty.

Seriali nie oglądała, bo po jakimś odcinku jednego z tureckich zrobiło jej się niedobrze od kliwionych westchnień i głupich tekstów, przy których nawet Coelho może uchodzić za filozofa.

Od polityki stroniła, bo cóż... zbyt szybko przechodziła do rękoczynów. Zajęła się więc kotami.

A to sprawiło, że poczuła się stara i niepotrzebna.

Gdyby nie złamanie, pewnie by tak było dalej, ale istnieją w życiu dziwne zbiegi okoliczności, które wywracają je do góry nogami.

– Jessssu, Ada! Co to za sieci rybackie? – Mundek wskazał na dziurawe serwety i narzuty w kolorach zakurzonej tęczy. – Trzeba to wywalić!

I tak w sumie się zaczęło, trzej koledzy, no dawni w sumie koledzy, z postęrnku przystąpili do odgruzowywania domu Ady.

I zrobiło się paskudnie, to znaczy czysto, ładnie, ale pusto.

– Ja, kurwa, już nie mam siły na to życie – jęknęła Ada. – Ja tak nie mogę! Muszę coś zrobić!

Wszyscy trzej pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Ja też bym chciał – westchnął Patyczak. – Nie umiem sobie miejsca znaleźć. Szlag mnie trafia przed telewizorem. Jak są grzyby. to jeszcze, ale zeszłego roku

tyle przytaczałem, że nie dają rady zjeść. Ryj mi wykrzywia od suszonych, słoiki z marynowanymi się piętroszami... Zamrażarki zawałiłem na amen.

– Ja wyczytałem wszystkie kryminały z biblioteki. Zostały obyczajówki, ale te akurat mnie nie kuszą.

– To zrobimy coś! – powiedział Edzio, wcale nie licząc na jakikolwiek efekt.

W zasadzie pracować nie musieli, mieli za co żyć. Tyle że jakoś tak wyszło, że nie mieli po co.

– Fajnie było kiedyś – westchnęła Ada. – Człowiek się urobił, ale wiedział, że żyje!

– Nie lubiłem padać na pysk, a teraz normalnie mi tego brakuje.

– A pamiętacie, jak rozpracowywaliśmy te bary z kebabem, a Ada nam codziennie przynosiła raphacholin?

– I pierogi z jagodami. Kurwa, ale to było fajne, wróciłbym natychmiast, nawet bym dopłacił, żeby znów mieć tamtą robotę.

Ada popatrzyła na niego i aż prychnęła.

– Daj spokój, wiesz, jak oni tam teraz pracują? Na osrał pies!

– Podobno.

– Nie podobno, naprawdę. Była u mnie ta fryzjerka, co to jej córka straciła pieniądze na tego generała, no tego z Afganistanu, amerykańskiego, i wiecie, co jej powiedzieli? Że jest głupia, a za głupotę się płaci.

– Nie przyjęli zawiadomienia?

– No, przyjęli, ale co z tego? Nic nie zrobią!

– No ale co mieliby zrobić?

– Ja to bym zbadał IP komputera, poszukałbym podobnych uszkodzeń po sieci, na pewno nie była pierwsza, na sto procent nie ostatnia. Dałbym radę. Nawet jak facet korzysta z komputera w jakimś miejscu publicznym, to i tak musi czasami się powtarzać.

– No ale Afganistan jest daleko! – burknęła Ada.

– Ale złodziej siedzi w Polsce, czasami nawet na drugiej ulicy. Sprawdzić przelew, co się da, jakby pogrzebać... Tyle że im się nie chce szukać, woła sprawy oczywiste. Jakieś smakowite morderstwa – rozrzewnił się.

– Smakowite morderstwa? Zapomnij! Nie dla nas takie cuda!

– No, a zwykli ludzie, jak do nich pójda coś zgłosić, to koszmar.

– Najgorzej ze starszymi, takie babcie to normalnie może by i coś zgłosiły, ale się boją, że ktoś je wyśmieje.

Takie podejście niestety pokutuje, bo starsze panie widzą więcej, ale rozumieją to, co widzą, na swój własny sposób.

– Ja bym nie wyśmiał, ale wiesz, jak jest, czasami roboty jest tyle, że nie da się inaczej.

– Zaraz... – Ada jęknęła, patrząc na Edzia taszczącego ostatnie pudła papierów.

– O co ci chodzi? O te pudła? Wszystko trzy razy już przeglądałaś!

– Nie – odburknęła Ada, bardzo jakoś nagle zamyślona.

– Zapewniam cię, że tak! Co ty? Masz zaniki pamięci? W twoim wieku?

Mimo wieku już odrobinę emerytalnego wszyscy czuli się młodo, ba, nawet zdecydowanie młodo, może dlatego, że kiedy byli młodszy, wciąż pracowali i na tę młodość nie mieli wcale czasu, więc teraz nie przeszkadzały im zewnętrzne objawy tego wieku w postaci siwizny czy zmarszczek.

– Nie – powtórzyła Ada – nie chodzi o pudła, ale o pracę. Przecież możemy sami się tym zająć. Będziemy odciążać organy ścigania. Wiecie, taka agencja dla ludzi! Dla staruszek i tak dalej.

– Będziemy prostytuować staruszki?

– Nie, debil, będziemy rozwiązywać takie problemy, którymi policja nie ma szans się zająć. Przyjdzie staruszka i zgłosi jakiegoś amerykańskiego generała albo coś...

– Nie zgłosi, ona nie miałaby czym zapłacić.

– Na zasadzie barteru możemy działać. Jakiegokolwiek, zresztą czego nam trzeba? Zarobku czy pracy?

– Pracy – powiedział Hubert, a wszyscy inni mu przytaknęli.

– Ale o co chodzi z tą pracą? – Edzio, wysoki, siwy, trochę zgarbiony, nagle się wyprostował i ożywił. – Że moglibyśmy wrócić na posterunek?

– Nie, wrócić się nie da, ale możemy otworzyć posterunek tu u nas.

– Nielegalnie?

– Oj tam, oczywiście, że legalnie, wy z waszymi stopniami dostaniecie licencje prywatnych detektywów od ręki, a ja mogę otworzyć bufet bez żadnych zezwoleń.

– A sanepid? – czepił się jak zawsze drobiazgowy Mundek.

– Odwal się ze swoim sanepidem. To będzie nasz prywatny bufet. No to co? Działamy? Bezpлатnie?

Ludzie, którzy próbują coś zrobić bezpłatnie, stają przed dylematem natłoku. Bo mimo pozorów tego, co za darmo, nikt nie szanuje. W pewnym sensie, jak to mówią, darowanemu koniowi się w zęby nie zagląda, a kradzione nie tuczy, czyli innymi słowami mówiąc, szanuje się bardziej nawet to, co kradzione, niż to, co darmowe.

Po kilku dniach i za ledwie odrobinie reklamy szeptanej mieli dość.

– Sześćdziesiąt trzy – oświadczyła Ada smutnym głosem.

– Co sześćdziesiąt trzy? – zdziwili się panowie pracownicy odgruzowujący jej dom, czyli swoje przyszłe miejsce pracy.

– Zgłoszenia!

– Już? Przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy! To chyba dobrze? Choć sam nie wiem – powiedział Edzio, który w tym momencie bardziej jednak był Edwardem, bo miał dość marsową minę.

– A ja wiem! To koszmar! – burknęła Ada.

– No ale przecież tego chciałaś?!

– Jasne, że chciałam, ale nie tak! Mamy zgłoszenie o wampirze w ogrodzie miejskim, doniesienie na sąsiada, który całymi dniami puszcza z taśmy odgłosy remontu, a remontu wcale nie robi. Mechaniczne szczekanie psa po nocach.

– Mechaniczne?

– No tak, podobno dla wkurzenia sąsiadów o losowych godzinach włącza się szczekanie. Żaden pies tam nie mieszka. I też od razu zaznaczam, podobno.

Usiadła zmęczona, choć ona robiła najmniej ze względu na obojczyk.

– Jest doniesienie, że Kusińska wykupiła cały papier toaletowy ze sklepu i na nim spekuluje. Coś o reptilianach i o Nowym Porządku Świata. Dodatkowo fryzjerka oszukuje na farbach, Kowalec chemtrailsy w ziemi zakopuje i dlatego ma dorodne pomidory, szczepionki spowodowały autyzm u yorka Malwiny Kiereckiej, syn burmistrza dostał wysypki, burmistrzowa sądzi, że ktoś podrasował pokrzywy w celu spowodowania obrażeń u jej dziecka, Majka Kucicka podobno została zachipowana przez dentystkę, a Antek Piechota widział UFO nad dyskoteką i zgłosił, że kosmici dilują. Bezsens!

– Bo darmowo.

Ludzie muszą w coś wierzyć i coś robić, ale najchętniej dopasowują świat do swojej wizji, która bywa ograniczona zazwyczaj do takich stwierdzeń: „on to robi na złość” albo „to spisek przeciwko mnie”, a na koniec „oni wszyscy chcą mnie zniszczyć”, potem dochodzą kosmici i chemtrailsy, ale w sumie wszystko jest

specjalnie i na złość. Takie przypadłości się leczy, ale ludzie leczyć się nie chcą, bo straciliby sens życia. Dlatego teorie spiskowe są takie popularne i najpierw dotyczą rzeczy małych, a potem się rozrastają.

Bo najpierw to tylko sąsiad tupie po nocach, żeby ten z dołu nie mógł spać, a potem tupanie jest oznaką czegoś większego, to ma być akcja wyniszczająca, na niewyspanie, a potem tupie cały blok. Po kilku tygodniach całe miasto zaczyna tupać. I to jak? Bezczelnie. Tupią, idąc chodnikami, tupią w marketach, tupią w dyskontach, na pocztach i w bankach, tupią, chodząc i siedząc. I taki wrażliwy na to tupanie ma dwa wyjścia: albo zgłosić to na policję z wiadomym skutkiem, albo zacząć się leczyć.

Niestety na ogół wybiera siekierę.

– To znaczy?

– Jak będą musieli zapłacić, to będą rozważniejsi. Przecież nie wywalą pieniędzy na kosmitów!

– No wiem, ale... Ale jak będą musieli zapłacić, to nie przyjdą, jak nie kijem go, to pałą! Nie wiem, co robić.

Takie miecze obosieczne często naprawdę są wkurzające, szczególnie jeżeli czegoś się bardzo pragnie. Była słynna sprawa nieznanego autora kryminałów podwodnych, który napisał bestseller i bardzo chciał go wydać, bo był przekonany, że podbije świat, niestety bał się, że wydawca go okradnie, porwie mu jego genialny tekst i wyda go pod swoim nazwiskiem, a okradziony autor, nie mając dojsć i znajomości, nie będzie mógł nic na to poradzić. Bał się zaryzykować i tak oto świat został pozbawiony pierwszego na świecie kryminału podwodnego.

A autor osiwiiał i pogryzł laptopa z bezsilnej złości, że oto wielkość została mu dana i odebrana w jednej chwili.

– Przecież już wam mówiłam! Weźmiemy barter! No wiecie, po dawnemu. Oselka masła, wytłoczek jajek... Co kto może, ale żeby czuł, że płaci – oświadczył Hubert.

– Nikt teraz masła nie wyrabia – burknęła Ada.

– Ale konfitury już tak. – Edzio oblizał się łąkowie.

– Nie ma to większego sensu, ale jak tam chcecie – zgodziła się Ada, przytłoczona sytuacją. – Na początek może zanim coś, to powiem wam, czego się ostatnio u fryzjerki dowiedziałam.

Takie babskie gadki nawet w wydaniu Ady w męskim towarzystwie były nie do przyjęcia. Wszyscy spodziewali się opowieści o odrostach, siwieniu i farbach znanej firmy, które sprawiły, że jednej z klientek włosy wpadły w chińską zieleń, a druga prawie oślepla.

- Jezu – jęknął Edzio – i to ma na tym polegać? Szlag mnie od tego trafi.
- Nic ci nie będzie! No więc słuchajcie. Wiecie, że babka Marecka nie żyje?

* * *

Prasławiec był niewielką miejscowością, gdzie mieszkańcy się znali, jeżeli nie z widzenia, to ze słyszenia, plotki były cenną i codzienną walutą oraz niezłym towarem wymiennym, a ludzie, jak to ludzie, do wszystkiego dorabiali sobie teorie mniej lub bardziej spiskowe, które w zależności od zainteresowań i stanu umysłu szły od kosmitów i wybuchów na słońcu po nieświeże pierogi.

I jedno, i drugie mogło być tak samo zabójcze i groźne, choć pierogi w pewnym sensie były bliższe ciału i dlatego niebezpieczniejsze.

Firma „Pierozanka” spowodowała podobno zatrucie trzydziestu osób, które postanowiły zaryzykować, kupując pierogi śledziowe. Przy czymś takim wybuchy na Słońcu to zwykły pikus, a te, ostatnio modne, koronalne wyrzuty masy to zupełnie nic w porównaniu z masą chlustających wymiotów po pierogach.

Biuro detektywistyczne o nazwie jeszcze nieustalonej ostatecznie, które po cichu nazywali Geriatrycznym Biurem Śledczym, miało już swoją siedzibę, czyli dom Ady Hill. Miało bufet, którym Ada chętnie się zajmowała, oraz trzech licencjonowanych detektywów, mających na dodatek chody w policji, co dawało im sporą przewagę nad innymi tego typu biurami, nie mieli jeszcze tylko żadnego dorobku.

Na szczęście innych tego typu biur w okolicy nie było, co było bardzo pocieszające, ale odległości w obecnych czasach to nie problem, ludzie mają samochody, istnieją taksówki i pociągi, dlatego przewaga miała jak najbardziej sens.

Entuzjazm i zapał aż z nich bił i wylewał się wszystkimi porami, oczy im płonęły, a ręce drżały (w zasadzie po imprezie, ale można to było podciągnąć pod zachwyty), bo po raz pierwszy od jakiegoś czasu mieli co robić. Policja ich osierociła i zostawiła bez żon, które odeszły z powodu nienormowanych godzin pracy, bez dzieci, które nie miały szans się urodzić, bez przyjaciół, bo nikt nie lubi policjantów. Teraz jednak dostali szansę i zaczęli wszystko od nowa.

Choć trzeba podpowiedzieć, że „dostali” to nie jest właściwie słowo, oni tę szansę sami postanowili sobie wziąć i ją dopracować w najdrobniejszych szczegółach.

Wydarli ją pazurami monotonii życia i nie zamierzali wypuścić.

Tym bardziej było dla nich ważne, żeby to, co zamierzali robić, zrobione było dobrze i z sensem.

– Potrzebna nam jakaś reklama, bo inaczej nikt rozsądny do nas nie przyjdzie.

Na płatne reklamy nie mieli ochoty, bo pieniądze od biedy by się nawet znalazły, ale gdzie takie reklamy umieścić? W małych miasteczkach nie ma zbyt wielu niezajętych płotów, a płot cementarny trochę im nie pasował.

Telewizja ogólnopolska była jednak za droga, lokalnej nie było, a prasa? Kto teraz czyta prasę?

Ada jednak liczyła na marketing szeptany, na którym знаła się doskonale.

– Przyjdzie, ktoś przyjdzie, już rozpuściłam wici, ale reklama też się przyda. Pomyślimy, ale jakby co, mamy pierwszą klientkę. Prawdziwą!

Do bufetu wkroczyła starsza pani i popatrzyła na wszystkich z niedowierzaniem.

– No w sumie ujdzie – powiedziała, taksując ich spojrzeniem, jakby leżeli na ladzie mięsnej marketu w formie tusz i tuszek. – Mietek, dawaj! – zawołała za siebie, do kogoś, kto wyraźnie przyszedł wraz z nią.

Po chwili do pomieszczenia wszedł jakiś mężczyzna i wniósł z wyraźnym trudem skrzynię jabłek.

– Nie przyszedł tak o, z pustymi rękoma – wyjaśniła kobieta, wskazując głową na skrzynię pełną pięknych, dorodnych, pachnących owoców.

– Cudnie! Szare renety! Skąd pani je wzięła? – Ada aż pisnęła z zachwytem, bo stare odmiany były coraz trudniejsze do zdobycia. – Mundek, zabieraj się do obierania i tarcia, zrobimy szarlotkę!

– Ze skrzynki jabłek? Ocipiałaś?

Skrzynka była spora i wypełniona po brzegi, a nawet z czubem. Kobięcie jabłka chyba wyraźnie obrodziły.

– Nie, nie ocipiałam! Będziecie mieli na łapówki dla dziewczyn z posterunku, jadalne są łatwiej przyjmowalne – wyjaśniła Ada. – A pani niech mówi – zwróciła się do pierwszej klientki z dumą i radością w głosie.

– No bo ja mieszkam tak nie za daleko od Mareckiej, wiecie, mam ten zakład fotograficzny, to znaczy syn ma, a właściwie wnuk, teraz to Ociepka i synowie, ale kiedyś to ja byłam Ociepka, Zakład Fotograficzny Antonina Ociepka, no ale już nie. I właśnie chodzi o to, że ja już zgłupiałam.

To oświadczenie ich nie ucieszyło po ostatnich wydarzeniach, ale kobieta rozbudziła w nich nadzieję. Nadzieja kocha wszystkich szaleńców, nawet jeżeli są byłymi policjantami.

Kobiecina usiadła i wyraźnie nie wiedziała, od czego zacząć.

Rozróżnienie między kobietą a kobiecina jest proste. Kobiecina jest kupką niezszcęścia i tym właśnie w tej chwili była Ociepkowa.

– Coś panią dręczy, prawda? – westchnęła Ada, niezbyt odkrywczco, ale od czegoś trzeba było zacząć. Jako bufetowa знаła się na psychologii. Oczywiście nie potrafiła powiedzieć, co sprawia, że wariat jest wariatem, jaka jednostka chorobowa miesza mu w głowie ani jakie miał układy prenatalne z matką, ale wyczuwała, kto jest na tyle nieszczęśliwy, że pomoże mu talerz pierogów, komu wystarczy kawa i ciastko, a kogo natychmiast trzeba zamknąć w łazience i odebrać mu granat, zanim zdąży go odbezpieczyć.

Na ogół się nie myliła. Raz tylko bezprawnie odebrała granat jednemu saperowi, który miał go zdetonować na poligonie, ale dziwnie wyglądał przez szybkę w ubranku kosmity i naprawdę wyraźnie trzęsły mu się ręce.

– No bo chodzi o babkę Marecką. W mieście aż się kotłuje, ale nikt nic nie mówi.

– Ale pani chce coś powiedzieć? Bo inni milczą? – Ada się zdziwiła, bo miasteczko do milkliwych nie należało.

– Nie, no ludzie gadają, owszem, ale jak poszłam na policję, to mnie wyśmiali. Powiedzieli, że takie bajki to ja mogę opowiadać prawnikom na dobranoc, a oni wiedzą swoje.

– No ale...

Tu Ada podniosła palec wskazujący w taki sposób, że Edzio zamilkł natychmiast.

– Pssst! Słuchamy – warknęła Ada – i nie przerywać mi tutaj!

Posłuchano jej bez sprzeciwów.

– No bo babka Marecka nie mogła popełnić samobójstwa – stwierdziła kobieta bardzo zdecydowanym tonem.

– Nie mogła? – ucieszyła się Ada. Wyczuwając, że to jest właśnie to, o co jej chodziło. Ich wielkie pierwsze, inauguracyjne śledztwo!

– Nie mogła. – Kobieta pokręciła głową z wielkim zaangażowaniem. – Ona tego dnia kupiła w Biedronce trzy awokado!

Wszyscy aż jęknęli z zawodu, a szykujący się do tarcia jabłek Mundek zaprzestał swojej działalności, bo czuł, że jednak skrzynkę jabłek trzeba będzie kobiecie oddać.

– Ale co to ma do rzeczy? Wie pani, samobójstwo i awokado jakoś trudno połączyć!

– Oj ma, oj ma! – westchnęła. – Bo ona awokado nigdy nie jadła.

Połączenie tych dwóch spraw tak od siebie odległych jak nawet nieco w tym wypadku ekstrawaganckich zakupów i samobójstwa było trudne i nie obiecywało wiele.

– To po co je kupiła? – zainteresowała się Ada, która może w pracy śledczej doświadczenia nie miała, ale w bufetowej jak najbardziej, a w bufecie przecież nie tylko śledzie i kawa, ale i pogaduchy. W tym ostatnim była naprawdę dobra.

– Może żeby przed śmiercią spróbować – zaproponował Edzio, ale kobieta aż prychnęła z wściekłości.

– No to samo mi te debile na posterunku powiedzieli. Widzę, że nic tu po mnie. Tacy sami, wszyscy tacy sami – westchnęła z żalem – a już myślałam, że ktoś się zajmie tą sprawą, ale na próżno się ludziłam.

– Ależ nie! – pisnęła Ada, wściekła na kolegów. – Oczywiście, że się zajmiemy! Tylko musi nam pani powiedzieć, dlaczego to takie ważne! Rozumie pani, że od czegoś trzeba zacząć!

Kobieta westchnęła, ale odrobinę się rozpogodziła.

– Mówią, że Marecka za mąż miała wychodzić. Podobno. Awokado niby kupiła, mówią, że podobno, żeby zrobić jakiś przysmak dla tego swojego faceta. W Internecie go poznała. Tak wszyscy gadają, ale ja to myślę, że to fałszywy trop.

Kobieta wyglądała na bardzo niepewną.

– Zaraz, ale ona miała z siedemdziesiąt lat?

– Siedemdziesiąt sześć, ale co to szkodzi? Chciała wyjść za mąż, to mogła, nie? – obruszyła się, chyba nawet szczerze.

– Jasne, pewnie. Mogła! A ona go dobrze знаła? – Ada drażyła temat, bo wydał jej się trochę amerykańskogeneralski, a takie lubiła.

– Nie wiem, nie gadała na jego temat po ludziach, ale raz czy dwa fryzjerka widziała ich razem. Ja zresztą też. Przystojne chłopisko, bez brzucha i nie łysy.

– I sądzi pani, że to on ją zabił? – Ada dodała dwa do dwóch, jeżeli nie samobójstwo, to co? Z wypadkiem nikt by do nich nie przychodził.

– Nie, no nie sądzę, chodzi tylko o to, że nie miała żadnych powodów do samobójstwa, a tu nagle ciach i była Marecka, nie ma Mareckiej, dziwne, nie?

– A może ją rzucił?

– A tam rzucił! Marecka miała i dom, i konto. I porządną emeryturę, ona to była całkiem dobrą partią.

O ile kobietę w tym wieku można nazwać dobrą partią, to rzeczywiście była dobra, bo jednak zabezpieczenie dawała idealne. To zrozumieli oczywiście wszyscy.

– To dziwne. Ma pani rację.

– No właśnie. Bardzo dziwne, ale wiecie, ona ma wnuki.

– Które nie były zachwycone? – podchwyciła Ada.

– Oczywiście, że nie. Ta jej Joaśka to aż mięsem rzucała na bazarze, jak tylko o tym usłyszała, bo ona dom po babce chciała. A ten wnuk to, pani kochana, narokoman taki jakiś. Też mógł ją zabić dla pieniędzy.

Zamilkła, rozejrzała się po bufecie, westchnęła i ciągnęła dalej:

– No i synowa też się wściekła. Ona na mięsnym w markecie pracuje. Liczyła, że teściowa jej schedę zostawi, a ta się do ślubu szykowała. Sama słyszałam, jak się ciskała, że babka pieniądze na imprezę chce wydać, zamiast zostawić synowi. No, ale po mojemu były jej, więc mogła je nawet spalić.

– I co jeszcze? – Temat zaczynał się rozwijać w pożądanym kierunku, ale konkretnie było mało.

– No niby nic, ale poza policją to w to samobójstwo nikt nie wierzy. – Kobieta wzruszyła ramionami.

Ludzie wiedzą swoje. Czasami oczywiście się myślą, ale w małych środowiskach, gdzie każdy wie o sąsiedzie wszystko, włącznie z numerem buta i listą chorób wenerycznych, taka wiedza to coś bardzo istotnego.

– Dobrze, zajmiemy się tym – oświadczyła Ada. – Oczywiście nie gwarantujemy niczego, ale możliwe, że coś się uda sprawdzić. Mundek, trzy te jabłka, do cholery, jutro spora łąpówka będzie potrzebna. A i wiecie, zadzwonię po siostrzenicę, ta moja Melka może nam się przydać.

– Duchy będzie wywoływać? – zapytali, zdziwieni, jej współpracownicy, bo Melka miała swoje za uszami, próbowała wielu rzeczy w życiu, a ostatnio interesowała się duchami, choć niezbyt profesjonalnie.

– Nie, ale się przyda – odpowiedziała ostro Ada.

Melania była dziewczyną tak bardzo nieprzystosowaną do życia, że nie wiadomo było, ani po co, ani dlaczego Ada zamierza ją włączyć do działania biura.

– Jakim cudem?

– A takim, że obleci młodsze rejony. Po pierwsze my ze starociami się dogadamy, a ona bardziej nam obsłuży główniarzerię, a po drugie ona wciąż opowiada o duchach, a ludzie w to wierzą, może z czymś wyskoczą. I jeszcze twój Mateusz by się przydał – rzuciła rozkazująco w kierunku Huberta.

Mateusz był bratankiem Huberta i zakałą rodziny. Wszyscy go unikali, a nawet się go bali, czasami wręcz panicznie, bo chodził z głową w chmurach tak gę-

stych, że nie nadawał się do życia, i był tak roztargniony, że czasami stanowił dla tego życia zagrożenie.

– Po co nam on? – wykrzyknął zaskoczony Hubert, bo czego jak czego, ale tego się nie spodziewał.

– To biuro strasznie kiepsko wygląda bez komputera, on się na tym zna, bezrobotny jest. Kursy robił.

– Ada, Mateusz jest nie tylko bezrobotny, on jest popierdolony! Przecież on potrafi sadzawkę wysadzić w powietrze.

– I o to chodzi! – stwierdziła Ada autorytatywnie.

Jakoś tak dziwnie wyszło, że najważniejszą osobą, szefem i przywódcą została właśnie Ada, może dlatego, że jako kobieta umiała wszystko jakoś ogarnąć, a może dlatego, że to wykluczało wojenki pomiędzy resztą, bo jednak nie mogli się obnosić z dawnymi stopniami, choć je kochali i cenili.

Ada bezwiednie została szefową tego bardzo męskiego biura.

– Wygospodaruję jeszcze jedno pomieszczenie, żebyśmy w bufecie klientów nie załatwiali – oświadczyła – i tam wstawimy komputery.

Powiedziała to z dumą, bo ich biuro detektywistyczne właśnie zyskało pierwszą sprawę, a więc miało potencjał, a potencjał to coś, o co warto dbać.

– Komputery? Nie komputer? – Edzio się skrzywił, zdecydowanie zainteresowany stroną finansową przedsięwzięcia, bo owszem, zarabiać nie musieli, ale nie było sensu aż tak bardzo dużo dokładać.

– Komputery, to jasne. Musi być kilka! – oświadczyła z entuzjazmem Ada.

– Ty wiesz, jaka to forsa?

Ada się roześmiała. Ona знаła się na takich sprawach. Wiedziała, jak działa reklama i jak sprzedać zeszłoroczną golonkę tak, żeby klient mlaskał ze smakiem z zachwytem, nawet znajdując się już na szpitalnym łóżku, więc była jak najbardziej odpowiednią osobą.

– Jeden będzie działał, reszta będzie robiła wrażenie, a wrażenie aż tak drogo nie kosztuje.

Ada miała dom, oni mieszkania, to wiele zmieniało. W domu można było zrobić o wiele więcej niż w kawalerce Mundka, w M-3 Edzia czy w dwupokojowym strychowcu z odzysku, w którym mieszkał Hubert.

Dlatego tak chętnie spotykali się właśnie u Ady, a teraz właściwie siedzieli tu od rana do wieczora.

Czuli się tu jak u siebie, mogli pić tyle kawy, ile zechcieli, a ona podtykała im ciasto, a czasem i inne smakołyki, tak jak to było za dawnych, dobrych czasów.

Poza tym był tu całkiem ładny ogród, gdzie mogli sobie grillować, co chcieli i kiedy chcieli.

Całe to przedsięwzięcie miało posmak czegoś, czego od dawna im brakowało – poczucia sensu życia i przygody.

– Kupiłam trzy tablice korkowe – oświadczyła Ada.

– Nie no, przestań, bo my zaczniemy do tego interesu dokładać tyle, że nie damy rady! Nie zarabiamy przecież – zareagował Hubert, najrozsądniejszy z tego towarzystwa.

– Nie bój żaby! Zaczniemy zarabiać. Kiedyś na pewno, jak już będziemy sławni, to będą nam płacić krocie! Patrzcie, jaką reklamę zamówiłam!

Na wielkim banerze w Internecie odczytali napis. „Panna Marple i Herkules Poirot mogliby się od nas uczyć”.

Wszyscy syknęli z odrobiną zdziwionego zażenowania.

– Nie no, Ada, to, co odwalasz, to masakra, aż tacy dobrzy nie jesteśmy, ludzie nas z butami zjedzą.

– Wyśmieją nas jak nic! – dodał Edzio.

– Poszłaś po bandzie! – Hubert prychnął, nie dowierzając.

– A wy to jesteście debile! – roześmiała się Ada, wiedząc, że się nie obrażą, no może odrobinę, ale tylko na chwilę. – A dalej? – zapytała z przekorną miną.

– Co dalej?

– Przeczytajcie to, co jest napisane drobnym drukiem!

I wtedy do nich dotarło, jak bardzo dokładnie należy czytać umowy, nawet (a może zwłaszcza) to, co napisane jest właśnie drobnym drukiem.

„Panna Marple i Herkules Poirot mogliby się od nas uczyć”, a zaraz za tym drobnym druczkiem dodawał „języka polskiego”.

I to była prawda, mogliby! Tego akurat by mogli.

I reklamy nikt nie mógł się czepiać, a ponieważ mało kto czytał drobny druczek, wychodziło i ciekawie, i zabawnie, a gdyby co, byli zabezpieczeni.

Ada oczywiście wiedziała, że będą musieli liczyć się z tym, że początkowo trochę na działalność się wykosztują. Spinacze, masło orzechowe, składniki na ląpówki, które planowała zawsze w formie jadalnej, żeby nie można było im nic zarzucić, to był jakiś koszt, wiedziała o tym, ale wiedziała też, że potem, kiedy już zdobędą sławę, zasłużoną oczywiście, ludzie będą się pchać drzwiami i oknami oraz płacić spore sumy tylko po to, żeby ich zatrudnić.

Oni oczywiście będą cały czas na zasadach barteru, ale jeżeli klienci będą się upierać przy płaceniu, trudno, jakoś sobie z tym poradzą.

Będą zarabiać, ale że to nie zarobek miał być głównym celem, tylko praca, będą mogli brać wszystkie ciekawe, nawet kiepsko płatne, albo niepłatne sprawy, które ich zaintrygują.

Dodatkowo, przy pomocy Mateusza i Melanii (o ile oboje nie zginą w wybuchu saturatora albo nie utopią się w przydrożnej kałuży, czego już próbowali) uda im się ogarnąć młodsze kręgi tutejszej przestępczości.

Przestępczość, której nienawidzili jako etatowi stróże prawa, teraz wydawała im się bardzo kusząca, ciekawa, a nawet odrobinę romantyczna.

Odeszli z policji po odpracowaniu dwudziestu pięciu lat, więc nie byli wcale starzy. Mogli jeszcze liczyć (jak sądzili) na porywy duszy i romantyczne uniesienia, jednak strasznie trudno o takie atrakcje w czterech ścianach własnych domów, kiedy całymi dniami siedzi się przed telewizorem, a wyjść z tego domu nie ma za bardzo po co.

W kolejce do kasy w Biedronce też trudno o wzruszenia, a romantyzm nad tacką śledzi odpada zupełnie, dlatego liczyli, że to zaangażowanie przysporzy im możliwości spotkania innych ludzi, a szczególnie ludzi rodzaju żeńskiego.

Możliwe, że spotkania te będą zahaczać o element przestępczy, ale przecież nie tylko. Zresztą niektóre przestępczynie mają czasami piękne oczy i ładny biust.

Prawdę powiedziawszy, Ada też miała swoje marzenia związane z tą działalnością. Mimo wieku i tuszy duszę miała romantyczną i była bardzo pozytywnie nastawiona do życia... małżeńskiego, o ile jakiś mąż by jej się trafił.

I na to liczyła.

Liczyła też, że zatrudnienie dwojga młodych ludzi, choć bezsprzecznie nieudaczników, sprawi, że średnia wieku jej znajomych trochę się obniży, a cała ta sprawa zyska im przychyłność rodzin, a to czasami bardzo ważne. Trzeba mieć sieć kontaktów, w takiej działalności to nieodzowne.

Zresztą od czegoś trzeba zacząć.

Oczywiście ich praca (tych młodych nieudaczników) byłaby zasadniczo bezpłatna, ale zawsze mogli potem dać dzieciakom porządne referencje.

No oczywiście, o ile przeżyją. To dotyczyło i jednych, i drugich, ale warto było spróbować.

Dzieciaki miały po trzydzieści lat i naprawdę nie wiedziały, co zrobić ze swoim życiem. Bardzo intensywnie szukały sposobów na jego zmarnowanie albo wręcz skrócenie. Melka zachowywała się jak wariatka, Mateusz wysadzał w powietrze mniej więcej wszystko. Niechący. Należał do tych spokojnych, przyszcanych młodzieńców, którzy wstają rano z łóżka z przemożną chęcią włożenia wi-

delca do kontaktu, żeby sprawdzić, co się stanie, a jeżeli przeżyją, wieczorem kładą się spać z pomysłem na statek kosmiczny z wołowiny.

To, co zasadniczo nazywa się kreatywnością, u Mateusza przybierało formę skrajną, graniczącą z zagrożeniem życia, niestety nie tylko jego własnego. Kiedy ktoś go poznawał, był zachwycony jego otwartością, pomysłami i entuzjazmem, kiedy już go poznał, często uciekał z krzykiem, o ile stan zdrowia jeszcze mu na to pozwalał.

– No to biorę się do roboty – oświadczyła Ada i zabrała się do szarlotki – a wy idźcie na zwiady. Edzio mięsny, kupuj kielbasę na grilla, tylko trochę pomarudź, Hubert idź po warzywa, a Mundek, jako że utarł już tyle jabłek, w nagrodę pójdzie po dwie flaszki, tylko nie pokazuj rąk, bo wyglądają jak u topielca po tych jabłkach. W monopolowym marudzić nie musisz, ale też postaraj się czegoś do wiedzieć. Wieczorem narada grillowa!

Narada grillowa! Boże, jak to smakowicie zabrzmiało!

Słyszając te słowa, wszyscy trzej pomyśleli, że naprawdę im się w życiu poszczęściło. Ada była kobietą ze wszech miar genialną i skuteczną. Byli tak podekscytowani, że jeszcze tego samego wieczora chcieli, pogryzając zatopione w musztardzie, spalone na węgiel kielbaski i popijając ten smakołyk wódką, snuć przy ognisku swoje teorie.

Po tylu latach wreszcie dotyczące zbrodni.

Przeszkodził im deszcz, ale i tak byli zadowoleni.

Edward wiedział, że policjanci za bardzo nie chcą z nikim dzielić się swoją wiedzą na temat przestępstw, a nawet gdyby chcieli, to po prostu nie mogą. Niby licencja była, niby znajomości, ale... To nie było proste.

Postanowił więc sprawę załatwić tak, żeby dostać wszystko, co było mu potrzebne, nikomu nie zaszkodzić, nikomu nie podpaść i nie musieć czekać zbyt długo.

Poszedł, gdzie trzeba, ale zanim dotarł, skręcił do domu dawnego kolegi z laboratorium kryminalistycznego.

– Wiesz, stary – powiedział do niego z westchnieniem – i na co mi przyszło. Baba popełniła samobójstwo, a ja muszę się z głównym użerać.

Jego mina była doskonale wystudowana. Był niezadowolony, wściekły, a nawet zrozpaczony. Nie mógł przecież pokazać entuzjazmu, bo kolega wtedy na pewno by mu nie pomógł.

– A niby dlaczego?

– Bo synowa chce wiedzieć, dlaczego ona to samobójstwo popełniła, czy ktoś jej groził, czy na kogoś się wkurzyła czy coś w tym stylu, bo wtedy mogłaby podać do sądu o niegodność dziedziczenia i sama zgarnąć wszystkie pieniądze. Taka suka... No ale rzeczywiście, jak ktoś ją tak wkurzył, że aż się ręci naźarla, to może i racja.

– Jasne, że racja, ale wiesz, jakie są synowe, jeszcze weźmie powie, że to... No wiesz, tak żeby pieniądze jej się dostały, a to ciężka sprawa. I przypadkiem to nie była ręc, tylko leki nasenne, z Internetu. Przedawkowała.

Kolega pogrzebał w sieci, w plikach i przesłał mu zdjęcia i wszystkie dane.

– To się nie kwalifikuje do przestępstwa, samobójstwo jak nic. Drzwi i okna zamknięte, babka za stołem, sama, cały pusty listek leku i szklanka wody. I tyle. Połknęła, popiła i zmarła. Nic tu więcej nie ma.

– A list?

– Nie, ale nie wszyscy samobójcy piszą listy. Tacy, którym nie zależy na rodzinie, na pewno nie, a ona chyba miała ich dosyć. Rozmawiałeś z tą rodziną?

Edzio musiał przyznać, że nie rozmawiał. To znaczy z synową, ale oczywiście tylko tak, no i wiadomo, synowa to nie rodzina, prawda?

– No więc ja też nie rozmawiałem, ale posterunkowa Czarnecka rozmawiała, musiała potem wziąć tydzień urlopu, tak miała dość. Wszystkiego ci nie podam, bo ewidentnych idiotyzmów nie spisywała...

– Jakich?

– Synowa twierdziła, że teściowa postanowiła się zabić po zjedzeniu awokado, w którym była taka drewniana kulka, a w niej czipy.

– Drewniana kulka?

– Ona twierdzi, że te kulki tam do tych owoców wkładają, żeby zawładnąć światem.

Edzio zerknął na fragment sprawozdania.

– „Dajcie spokój babce, przecież ona żyje, tylko idiota dałby się nabrać na jej durne fochy” – przeczytał.

– To wnuk. Uważa, że babka przeszła na wyższą... Nie wiem, coś tam z energią, i żyje, tylko udaje. Zauważ, że mówił to, patrząc na zwłoki. Strasznie dziwna rodzina. I powiadasz, że cię wynajęli?

Edzio zmartwiał, ale twardo szedł w zaparte.

– No bo babka miała podobno jakiegoś fagasa i oni się boją, że zapisała mu majątek, a jakby udowodnić, że to samobójstwo to jego вина, to majątek mu

przejdzie koło nosa.

– I ty to udowodnisz? – zapytał z niedowierzaniem kolega.

Edzio skrzywił się niechętnie i zrobił taką minę, jakby miał ochotę zwymiotować. To była jedna z jego popisowych min.

– A skąd mam wiedzieć? Ten fagas nie jest taki całkiem pewny, tam jest jeszcze inna rodzina. Zobaczą. W każdym razie nie będę pisał nowych Dziadów, tylko powiem prawdę. – Zamilkł. – A ty myślisz, że to na sto procent było samobójstwo? – zapytał z zaskoczenia, żeby mimo wszystko trochę bardziej pociągnąć go za język.

Kolega roześmiał się chyba nawet szczerze.

– Wiem, wiem, pół miasta gada, że nie. Ale dla mnie to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach samobójstwo.

Edzio zerknął na niego krzywym, nieco złośliwym spojrzeniem.

– Tylko na dziewięćdziesiąt dziewięć?

– No bo tak, okna, drzwi, odciski palców, listek po lekach, szklanka, wszystko jest na tak.

– A co jest na nie?

– Awokado!

* * *

Hubert też nie zasypiał gruszek w popiele, choć nawet nie rozumiał, dlaczego te gruszki i dlaczego to zasypianie, a nie na przykład zasypywanie, choć i to byłoby bez sensu.

W ogóle nie rozumiał, co gruszki mają do załatwiania spraw lub ich olewania, bo ci, co zasypiają, mogą jakiejś sprawy nie załatwić, ale to oni zasypiają, a gruszki?

Poszedł na bazar, który o tej porze był już prawie nieczynny. Oprócz jeszcze kilku bud, takich stałych, które były traktowane jak sklepy i, jako że posiadały status sklepów, miały „sklepowe” a nie „targowiskowe” godziny otwarcia, toteż nawet teraz można było zdobyć trochę ładnych warzyw na grilla czy świeżych ziemniaków do spopielenia w ognisku.

Kupił kilka kolorowych papryk, udając, że będą do szaszłyków, i jak miał zaplanowane, zaczął marudzić. Marudzenie było u niego rzeczą dość normalną, więc nikt się mu nie dziwił. Potrafił marudzić na każdy, nawet najradośniejszy, temat, a marudzenie na tematy nieprzyjemne, smutne albo kontrowersyjne opanował do perfekcji.

– Jakie to życie teraz paskudne! – oświadczył, przybierając (z niejakim trudem) minę zatroskanego światem i ludzkością człowieka załamanego. – Niby nic, a tu tak: jest człowiek, nie ma człowieka.

– A co? Ktoś zaginał? – zapytała sprzedawczyni uprzejmie i z wielką ciekawością, dość znudzona na to, żeby połknąć tak smakowity haczyk.

– No chodzi mi bardziej o to samobójstwo.

– Mareckiej? – zdziwiła się sprzedawczyni. – I pan też w to wierzy? No w sumie trudno się dziwić, bo pan tak jakby z policji, to pan musi.

– Kiedy już dawno nie jestem z policji! – zawołał z rozgoryczonym entuzjazmem kogoś, kto właśnie wyrzeka się matki, ojca i ulubionego kota. – I dlatego jakoś tak nie bardzo...

– I o to chodzi! Ją zabili! Naprawdę! Zabili ją. Poważnie!

Ucieszyła się jak dziecko, które ogłasza w domu, że kolega dostał ospy i teraz wszyscy będą w kropki oraz że lekcje zostają odwołane.

– Ale kto? – pospieszył z pytaniem, zafascynowany możliwością zdobycia wiedzy.

– No, chyba jacyś tacy przestępcy! Bo oni zabijają tak ludzi, a potem na części, poważnie.

– Ale przecież ciało zostało, nie było śladów, że jakieś organy jej pobierali.

– A do środka pan zaglądał?

– Znaczy do jej środka? No jasne, że nie – odparł zaszokowany – ale lekarze policyjni na pewno. Zagląдали. I nic nie mówili.

– Ta, lekarze? Policyjni? To jedna banda! Ktoś ją załatwił i już!

– No ale kto?

– A tacy, wie pan, mordercy – wyjaśniła sprzedawczyni z niezachwianą pewnością w głosie, co było w zasadzie logiczne. Skoro kobieta została zamordowana, zamordował ją morderca, bo gdyby została zabita, to jednak mógłby być zabójca. Zdarzało się, że kogoś zaszlachtowano, a wtedy to winny był szlachcic, kobieta znała się na takich sprawach znakomicie.

Na Facebooku miała ustawiony status „szlachta nie pracuje” i się trochę wstydziała, bo jednak pracowała, ale co było robić, Facebook rachunków nie chciał za nią płacić.

– A dlaczego pani tak myśli?

– A bo wie pan, była u mnie Marecka, o tu, jeszcze tak z dzień wcześniej, awokado kupiła. I co? I zaraz poszła i się zabiła? Kto tak robi? Kupuje awokado i ciach zabija się? No sam pan powie, że to nienormalne?!

– Sam nie wiem, co ma do tego awokado. To jakby kapustę kiszoną kupiła, to byłoby bardziej do przyjęcia?

Zdziwił się tej analizie przypadku, ale wiadomo, każdy ma swój punkt widzenia i warto się takiemu punktowi przyjrzeć, bo czasami może coś wyjaśniać.

No i przez chwilę miał wrażenie, że Marecka wykupiła awokado we wszystkich sklepach w mieście. Wydawało jej się, że Ociepkowa wspominała coś o Biedronce, no ale wrócił po chwili myślami do kapusty.

– No pewnie! Kapusta jest zwyczajna, kupi, zje, otruje się, a nawet do trucizny doda, żeby smaczniejsza była, ale nie awokado! Nie dość, że to dziwne żarcie, to jeszcze smakuje jak mydło. Normalni ludzie tego nie kupują, tylko tacy dziwacy!

– Była dziwaczką?

– No właśnie nie była! – krzyknęła z ożywieniem. – I w tym problem! To jest towar dla takich a, e, takich, co to po Tajlandiach jeżdżą, zdrowo się odżywiają, zjadają kilogramy różnych tabletek na różne takie i mają różowe pieski.

– To ja już nic nie rozumiem!

– No bo jak ktoś robi coś takiego niezwykłego, to chyba nie chce się powiesić!

– Ale ona się nie powiesiła! – Tym razem Hubert wykrzyknął zszokowany, bo nagle wyszło mu, że jest możliwe, że rozmawiają o dwóch różnych sprawach. Nie miał racji.

– Srała pies, powiesiła się czy nie, ale się zabiła! To znaczy się nie zabiła! Za nic w to nie uwierzę! Ktoś ją załatwił. Bo w sumie, wie pan, jak nawet nie ci od części zamiennych, to może synowa? Niejeden raz się biły... Wyzywały.

– Biły się?

– A jak! Aż pierze leciało! Szarpały się, pluły, wyzywały, o tu, w sklepie, w tym miejscu, jak pan stoi!

– O co?

– A cholera wie? Pewnie o tego syna, bo on to taki głupi jest. Do matki na obiadki latał, a żona się wściekała. Bo on, ten syn, to nie mógł zabić. On matki by nie zabił, bał się jej jak diabeł wody święconej, tak go wychowała!

– A inni?

– Ale synowie? To ona miała innych synów? – zdziwiła się sklepowa. – Ale wie pan? To całkiem możliwe... Całkiem. Całkiem. – Ucieszyła się z nowych możliwości szerzenia plotek.

– Ależ, nie, nie chodzi mi o synów – pospiesznie stwierdził Hubert – tylko o innych ludzi – wyjaśnił, żeby nie powodować jakiejś lawiny możliwych plot o nieślubnych dzieciach denatki. Spowodował. Czasami to są sprawy nieuniknione.

– O panie! Dużo by mówić! – Pokręciła głową, dając do zrozumienia, że mogłaby powiedzieć coś więcej, ale nie chce albo nie może, bo do sklepu wszedł klient i trzeba było skończyć pogawędkę.

Hubert pogratulował sobie udanego wypadu – nie dość, że czegoś się dowiedział, może nie było tego dużo, ale jednak, to jeszcze porozmawiał z kobietą. Od lat tego nie robił. Dawniej zazwyczaj, kiedy jeszcze rozmowy z kobietami mu się zdarzały, najczęściej te kobiety były przestępczyniami.

Raz czy dwa zdarzyło mu się nawet zakochać, ale co to za miłość, kiedy obiekt westchnień nie tylko pluje na ciebie z powodu wykonywanej pracy, ale jest uzależniony od narkotyków i wyjdzie dopiero za jakieś dwadzieścia lat?

Teraz może też nie był to jakiś sukces na miarę Nobla, ale fakt pozostawał faktem – rozmawiał z kobietą, i to nawet przyjaźnie. Z młodą kobietą. No dobrze, jej inteligencja nie powalała, uroda raczej też nie, ale kto by się takimi drobiazgami przejmował, kiedy zabiera się do wielkich życiowych zmian? Hubert chętnie by się ożenił, a żona... No cóż, nie musiała być boginią. Wystarczy, że byłaby żoną.

I tu wcale nie chodziło o seks, bo to już nie te czasy, nie chodziło o romantyczne spacerunki, to też jednak się przedawniło, ani o możliwość otwarcia gęby do kogoś.

Nie był aż taki spragniony rozmowy, chodziło raczej o to, że ktoś by się nim zajął w kobiecy sposób.

Zrobiłby mu pierogi, awanturę i dziurę w budżecie. To było kuszące.

Mundek był najmłodszy z nich wszystkich i najkrócej mieszkał w Prasławcu, dlatego nie miał tu większego grona znajomych. Oczywiście pod sklepem monopolowym nie trzeba wielkich znajomości, żeby czegoś się dowiedzieć.

– Kierownik – usłyszał, jak tylko wyszedł ze sklepu z dwiema wybrzuszającymi mu kieszenie butelkami wódki – piątała bym przygarnął, bo Sahara mnie w dupę kopie.

Mundek postanowił zainwestować. Może nie było to skrajnie rozsądne, ale niektóre inwestycje się opłacają.

– Jasne, Sahara, co ty wiesz o Saharze? Kaca masz i tyle.

– Nie no, porządny jest, naprawdę, piwko bym strzelił.

Menel nazywał się Mirosław Próchno i naprawdę był jakiś spróchniały, nie mówiąc o otworze gębowym. Był idealnym odwzorowaniem swojego nazwiska. Pieniądze się go nie trzymały, a poza tym wszystkie jego marzenia były płynne.

– A dwa?

– A dwa to niebo by się na mnie całkowicie zważyło, znaczy jeszcze chętniej!

– Babkę Marecką znalazłeś?

– A znalazłem, kto nie znalazł? – Menel ucieszył się jak dziecko wizją zbliżającego się uwolnienia od uporczywych objawów kaca.

– I jak myślisz, dlaczego ona się tak nagle i bez słowa zabrała?

– Bo miała dość tego kurewskiego padółu? – zaryzykował pijaczek, obserwując reakcję Mundka, bo odpowiedź na to pytanie mogła (ale nie musiała) przynieść mu całkiem spore korzyści, więc wolał odpowiedzieć tak, żeby zadowolić pytającego.

– A tam, nie pierdol. Padóły mnie nie interesują. Bardziej konkrety – zareagował Mundek tak, żeby jednak coś z rozmówcy wyciągnąć.

– Z konkretów to nikt nie wie, bo ona nie była aż taka, żeby... No miała co jeść, wszystko miała, dzieci ją wkurwiały, ale to jeszcze nie powód. Ludzie mówią, że to nie bardzo się klei. Jeszcze tego samego dnia z rańca naszego Witka obsobaczyła, że ją o dychę zaczepił, i przyrzekła mu, że mu narobi koło pióra, to się zaraz zwinął, bo zawsze słowa dotrzymywała, a potem ciach i nie... Nie... Po mojemu to nie za bardzo pasuje.

* * *

Powrót do domu Ady był dla wszystkich wielkim przeżyciem. Od lat tak się nie cieszyli z sukcesów jak tego właśnie dnia, choć sukcesy były w sumie marne, jednak jakimś cudem zaczęła im wracać ochota do życia.

– Byłem u naszego dawnego kolegi, wysłał mi kilka zdjęć i trochę danych z laboratorium. Dla nich to jest samobójstwo. – Edzio rozłożył na stoliku wszystko, co udało mu się zdobyć. – Wiecie, to jest dziwne – oświadczył zagadkowo – policja stoi na stanowisku, że to było samobójstwo, ale nawet ci w laboratorium czepiają się tego awokado. Nie wiem, o co chodzi.

– Dziwne jest to, że pół miasta, w każdym razie ta połowa, która znała Marecką, twierdzi, że ona nie mogła popełnić samobójstwa, a wszyscy ci, którzy jej nie znali, że mogła.

– Bo ci, którzy ją znali, opierają się na emocjach, a policja na faktach – oświadczył Edzio, po czym walnął się otwartą dłonią w głowę. – Co ja plotę?! – zreflektował się szybko. – Przyzwyczajenie druga natura, wiem. Muszę się odzwyczaić.

– Właśnie, takie podejście jest do dupy! Naprawdę nam nie pomoże. Musisz zrezygnować z tych swoich lojalistycznych nawyków. My to my, a policja niech

robi, co chce, ale masz rację z tym, że opieranie się na emocjach wcale nie musi być nieprawidłowe, a fakty mogą kłamać.

– Nie, no fakty? Fakty nie kłamią.

– Zdarza im się, zdarza – fuknęła Ada. – Kiedyś kapitan Mucha (jeszcze wtedy kapitan) zamówił u mnie kaszanekę, nie zjadł jej, ale ją zamówił. I to był fakt. Z tego faktu ktoś wysnuł wniosek, że on kaszanekę jada. Czyli tak jakby fakt sobie, a prawda sobie.

– Nie, no wiecie, zależy jakie fakty, poważnie! Są takie, które kłamią, na przykład związane z różnymi takimi, no... – stwierdziła, wchodząc, Melania.

To stwierdzenie wkurzyło wszystkich.

Melania weszła do bufetu jako pełnoprawna pracownica i postanowiła zacząć działać, czyli oczywiście wpięprzać się do nie swoich spraw. Ona śledztwem nie miała się zajmować, miała być od spraw technicznych. Mniej więcej technicznych, czyli miała wycierać kurze, czyścić popielniczki, pomagać przygotowywać łapówki i, jako dodatek, dowiadywać się wszystkiego, czego trzeba się dowiedzieć od młodszej części społeczeństwa.

– No bo na przykład fakty ezoteryczne? One też jakby...

– Przestań wygadywać te durnoty! – opieprzyła ją Ada. – Twoje duchy mnie nie interesują! Na razie zupełnie i najprawdopodobniej już zawsze tak pozostanie. Masz tu pracować, a nie babrać się w ezoteryce! Razem z Mateuszem. Pracować, nie babrać – powtórzyła dobitnie, żeby Melka dokładnie zrozumiała.

– Kiedy będzie Mateusz? – zapytała Melania, nieco zaczerwieniona przez perspektywę spotkania z równie nieokrzesanym i nieodpowiedzialnym chłopakiem jak ona sama.

– Pewnie wysadza coś w powietrze, jak byłem u nich w domu, to usiłował podłączyć komputer do wanny z masażem. Nie wiem, jak jego matka, ale ja bym uciekał. A po co ci on?

– Bo poszlibyśmy do klubu sprawę wyniuchać. W klubie ludzie sporo wiedzą.

Wyraźnie liczyła na to, że Ada im ten klub, a właściwie wejście i konsumpcję, zafunduje. Przeliczyła się.

– Możecie niuchać w klubie, ale za własne pieniądze. Zresztą co tam można wyniuchać, najwyżej odór potu i nielegalne narkotyki – oświadczyła.

– Bo legalne istnieją?

– Oj przestań. Jakim cudem babka Marecka i jej śmierć mogłyby interesować kogoś w klubie?

– A mogłyby, mogą, nawet nie wiesz jak! – Parsknęła tajemniczo, ale nie udało jej się wzbudzić odpowiedniego zainteresowania.

Ludzie w klubie byli zróżnicowani wiekowo, ale większość mieściła się w niższych zakresach wieku średniego. Co nie zmieniało faktu, że plotkowali. Zresztą plotkują wszyscy, intensywność zależy od zainteresowania linczem, a tematyka od bieżących wydarzeń, choć też czasami od wieku. Ludzi poniżej siedemdziesiątki nie interesuje, ile zniczy Kowalska zaniosła na grób męża, tych poniżej sześćdziesiątki, dlaczego kupuje plastikowe wiechcie zamiast kwiatów, tych poniżej pięćdziesiątki nie obchodzi, ile dała za te znicze z muzyczką, a tych poniżej czterdziestki nie interesuje Kowalska. Wszystkich za to obchodzi morderstwo.

Klub to była nazwa nieco na wyrost, bo miasto aspirowało do odrobiny wielkomiejskiej miejskości, choć mimo że było miastem, taplało się jak najbardziej w codziennej małomiasteczkowości.

Budynek został zaprojektowany i wzniesiony przez jednego inwestora, naprawdę owładniętego manią wielkości, i to właśnie tam znajdował się osławiony klub. Przybytek miał kształt piramidy, wygląd piramidy, wejścia doń strzegły dwa sfinksy, miały trochę krzywe mordy, ale to jeszcze nic. Nad nimi widać było dziwną twarz zezowatego stwora, który prawdopodobnie miał być faraonem.

Stwór był maskowaty i trochę przerażał. Niektórzy twierdzili, że jest to celowe, bo to skłania do picia.

Wewnątrz odbywały się dysko(polo)teki i ludzie, którzy się na nich bawili, niekoniecznie znali się na muzyce oraz tańcu, na picciu za to znali się doskonale. I na rzyganiu też.

Poza barem były tam oczywiście knajpa i hotel.

Obiekt budził skrajne emocje. Został podpalony kilka razy, ale nigdy spalony doszczętnie, dlatego że grupa, i to dość spora, mieszkańców, którzy uważali to za koszmarek, była kulturalna i świadoma konsekwencji swoich czynów.

Podpalenia były wynikiem imprez z fajerwerkami, które tam organizowano.

Oraz raz czy dwa Melki i Mateusza, ale oni nie robili tego celowo i mieli chody w policji, więc nikt się ich nie czepiał.

Wśród młodych było to miejsce kultowe. No ale za imprezowanie w takich miejscach słono się płaci, ponadto nie są bezpieczne, dlatego Melka liczyła na Mateusza. Z nim czuła się bezpieczna.

Nie, nie była naiwna, ona naprawdę tak się czuła. Kiedy była z Mateuszem, nikt i nic nie stanowiło dla niej zagrożenia. Przeciwnie – oni oboje byli dla innych zagrożeniem.

– Czyli co wiemy? – zapytała Ada, żeby uściślić kierunek śledztwa.

– Wiemy, że przyjęła cały listek leku nasennego. To była dawka śmiertelna. Mówię „przyjęła”, a nie „połknęła”, bo nie mamy pewności, czy zrobiła to celowo i dobrowolnie, oraz w jakiej formie to było, niemniej jednak odciski palców sugerują, że zrobiła to sama.

– Czy coś jadła? Piła?

– Na stole była szklanka z wodą, opróżniona do połowy. Odciski też tylko denatki.

– Brr, paskudnie to brzmi. Denatka – obruszyła się Ada.

– Niemniej jednak to jest prawda – mruknął Edzio, który w swojej pracy zawsze starał się stosować odpowiednią nomenklaturę. – „Denatka” jest jak najbardziej odpowiednie.

– Może ofiara?

– No nie wiemy, czy rzeczywiście była jakaś zbrodnia.

– No dobra, zostawmy to, a co z resztą?

– Wygląda to tak, że wszystko było zamknięte. Okna też, drzwi zostały wyważone przez policję, te wejściowe, ale one były na zatrask, pokój nie był zamknięty. Na stole stał talerzyk z resztkami szarlotki.

– Może była zatruta?

– Nie była. W żołądku znaleziono właśnie szarlotkę. Nic więcej, ale... Jest jedna rzecz, która ciekawi. Mnie, moich kolegów mniej.

– No dawaj – zainteresował się Hubert. – Wbrew temu, co mówisz, choć jestem twoim kolegą, ciekawi mnie ta jedna rzecz, która ciekawi i ciebie.

– Kapsułki.

– No?

– W żołądku nie znaleziono resztek kapsulek, a gdyby połknęła je w całości, choć odrobina powinna się znaleźć, niemniej mogły się całkowicie rozpuścić, skoro lek zadziałał. To tak trochę na siłę, ale...

– Zakładasz, że ktoś ją jednak otruł. Ktoś wyjął lekarstwa z listka, pootwierając kapsułki, wysypał ich zawartość? Tak? Musiałby w czymś podać jej ten proszek, tylko w takim razie, w czym trucizna została podana?

– W szarlotce?

– Niestety nie w szarlotce.

– Ale ona niczego innego w tym czasie nie jadła!

– Właśnie.

– A trucizna została podana w domu czy może gdzieś indziej? Wcześniej?

Cały problem polegał na tym, że jeżeli Marecka popełniła samobójstwo, zgadzało się wszystko, jeżeli została zamordowana, nie zgadzało się nic.

Takie rozumowanie każdemu natychmiast podsuwałoby pomysł, że może jednak nie ma sensu w tym grzebać, bo kobieta na sto procent popełniła samobójstwo. I wtedy wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, tylko czy morderca nie liczył właśnie na to? Czy właśnie tego nie chciał?

– Niestety tego dnia siedziała w domu, dlatego sąsiadka przyniosła jej szarlotkę. To takie układy dobrosąsiedzkie, nie chcesz, żeby ci ciasto spleśniało, zanosisz sąsiadce, spleśnieje jej, ale ty zyskasz we własnych i cudzych niekiedy oczach też.

– A co z tym awokado? Ono też się zgadza z teorią o samobójstwie?

– Właśnie nie, ale nie wiem dlaczego. Ja gadałem tylko z takim jednym menedżerem spod sklepu, zainwestowałem w niego dyszkę – powiedział, żeby zaznaczyć, że się wykosztował, a właściwie poświęcił – i on też twierdzi, że Marecka nie miała zamiaru się zabijać, już przed jej zabiłaby tego Witka, co go jeszcze tego samego dnia obsobaczyła, bo ją o dychę zaczepił, i przyrzekła mu, że mu narobi koło pióra. Podobno zawsze dotrzymywała słowa.

– Jeszcze tego samego dnia?

– Czyli wychodziła?

– No... Nie wiem. Może z samego rana?

– Weź ty tego Witka zdobądź na jutro, niech przyjdzie.

– Myślisz, że on ją zabił? – Melka aż rozpromieniła się wewnętrznie. – Kurczę, ale jaja! Super! Bajer, kurwa, ale będzie jazda! Złapiemy go! Hurrra!

Melka, chuda, wysoka, kolorowa, roztrzepana i ubrana jak wielowarstwowy motyl dziewczyna, wykonała kilka zamachów oraz ciosów karate, w tym jedną nogą, a jako że karate nie znała, zaplątała się w swoje spodnicosukienki i padła pod nogi właśnie wchodzącego Mateusza.

Nawet nie zwrócił na nią uwagi.

– Ja też się przydam! – zawołał, zwbiony może nie samą akcją, ale blichтром sławy, który bardzo wiele dawał w porywach podrywów.

– Nie podniecajcie się – rzuciła Ada, patrząc ze zgrozą na tych dwoje nieudaczników. – Po pierwsze nie złapiemy, bo wy w tym uczestniczyć nie będziecie, po drugie to nie on. On jej nie zabił.

– A ty skąd to wiesz? – odburknęła Melka. – Ciotka to jak, kurczę, wyrocznia kryminalistyczna, a może właśnie on!

– Witek? Witek Mąkosiak? O nim mowa?

Mundek wzruszył ramionami.

– O ile pamiętam, jest tylko jeden Witek, zwany naszym Witkiem, pod sklepem monopolowym. To Mąkosiak.

Witold Mąkosiak był znany organom ścigania od zawsze, miał spory i ciekawy dorobek przestępczy, dwa razy siedział w więzieniu, nie grzeszył higieną jamy ustnej oraz innych części ciała.

– No to nie rozumiem. – Mateusz aż się zaperzył. – On tak potrafi przywalić, że można się nogami nakryć na dobre, a w każdym razie gips gwarantowany, jak tylko ktoś z butelki pociągnie za mocno. Wiem, próbowałem, wtedy zeszłego roku. Jak raz spróbowałem, to mi szczękę drutowali.

– Tak, też pamiętam. – Hubert westchnął z żalem, bo w głosie chłopaka słychać było coś w rodzaju dumy. – Ale Marecka z nimi nie piła, a on tylko na alkoholową własność taki uczulony był, a poza tym pięści tak, ale trucizna?

– Tak czy tak, przesłuchać trzeba.

– A teraz... Melanż! – zawołała Melka spod stołu i poszli wszyscy do ogniska, które kusiło zapachami płonących kielbasek, zatkniętych niefrasobliwie na kijach.

– Melanż? A co to, do cholery, jest? – zapytała Ada.

– Ostra popijawa, z której nikt nie wychodzi trzeźwy, i jeszcze się pali tam takie różne, tak piszą w słowniku – Edzio sprawdził w Internecie.

– Jakie różne?

– A ja wiem? Mogą być chyba kielbaski, ja tam nie jestem od tego, popijawa może być, nie po to się pije, żeby być trzeźwym.

– Uuuu, i wy chcecie to osiągnąć dwiema butelkami? Oszaleliście?! – Mateusz roześmiał się złośliwie. – Chodź, Melka, pójdziemy do sklepu. Musztardy nie ma, a poza tym patrz, tu nie ma nic, nawet dużej karkówki! Jabłek, ziemniaków, nic! No i nie ma pianek! Naszych kochanych ramoli trzeba wziąć w opiekę i nauczyć obchodzić się z imprezami! Przecież oni nie mają pojęcia o melanżach!

Czesława Kościuch, bezpośrednia sąsiadka Mareckiej, miała kłopot i nie wiedziała, jak sobie z tym kłopotem poradzić. Dopóki sprawa była prosta, czyli Marecka popełniła samobójstwo, nic nie mąciło jej spokoju, kłopot pojawił się, kiedy ludzie zaczęli w to wątpić. To znaczy nie tak, ludzie mogli sobie robić, co chcieli, Kościuchowa nie przejmowała się nikim i niczym. Gadanie jej nie obchodziło. Policja stwierdziła samobójstwo i było w porządku. Ludzie gadali, że nie, mieli

prawo, ale teraz kiedy to domorosłe biuro śledcze zaczęło się sprawą interesować, wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Domorosłe biuro było nawet aż zanadto domorosłe, a to znaczy, że znało układy i układziki, było stąd, a nawet kiedyś po części służyło w policji, wręcz nie tylko po części, bo i ta wariatka Ada Hill, jako bufetowa, też w policji i policji służyła i była wścibska jak diabli.

Oni jako oni nie mieli większego znaczenia, ale organizacyjnie mogli jednak mieć.

Kościuchowa się bała.

Nie dość, że zaniosiła szarlotkę Mareckiej, nie dość, że podała ją jej przez okno, to jeszcze zdechł jej kot.

Nie Mareckiej, ona kotów nie miała, nie znosiła ich wręcz, Kościuchowej kot. Własny, może nie ulubiony, bo trudno, żeby takie wredne, czarne kaprawookie gówno miauczące mogło być ulubione, ale jednak.

No, nie zdechł, ale umarł. Kot miał tu znaczenie. No ale to jeszcze, bo jak ona tę szarlotkę zaniosiła, to zostawiła ją na talerzyku. A potem ten talerzyk dostała z powrotem.

Do resztek dobrał się kot.

Nie przeżył. Nie to jednak było najgorsze. Najgorsze było to, że u Mareckiej nadal był talerzyk, i to własny talerzyk Kościuchowej. Z resztką szarlotki. To co zjadł kot?

I właśnie to był kłopot – ona zaniosiła talerzyk z szarlotką, odzyskała (w pewien sposób, ale jednak) talerzyk z resztkami, co było nawet logiczne, tyle że u Mareckiej nadal stał ten sam talerzyk z szarlotką. Jakim cudem? Skąd się tam wziął?

Jak się rozmnożył?

No i ona coś widziała.

I teraz nie wiedziała, co zrobić. Mówi się „nie ruszaj gówna, bo śmierdzi”.

Zakopała talerzyk wraz z kotem, ale teraz miała wyrzuty sumienia. Zastanawiała się, czy nie otruła Mareckiej.

Kościuchowa należała do tych bardzo skomplikowanych osób, które nigdy niczego nie są pewne. I nie chodzi o taką zwykłą niepewność, którą przeżywają czasami wszyscy.

U niej to było o wiele bardziej skomplikowane.

Kościuchowa potrafiła pójść do sklepu po musztardę i przez trzy godziny zastanawiać się, czy powinna kupić sarepską czy rosyjską. I rozważała wszelkie za i przeciw, dlaczego tę, a nie inną, która ma więcej octu, a która smaku, która

ostrzejsza, a która ładniej pachnie. Niektóre rzeczy można było rozstrzygnąć po sprawdzeniu składu na opakowaniu. I ona to robiła, a wtedy dopadały ją inne wątpliwości. Zastanawiała się nad wszystkimi możliwymi aspektami. I dochodziła w tym do zaszłości sprzed wieków. Potem przypominała sobie, że w szkole nie lubiła języka rosyjskiego, i już, już chwyciła sarepską, kiedy jej zadziwiająca (nie mylić z dobrą, ona naprawdę potrafiła zadziwić) pamięć (która działała, jak chciała) podsuwała jej wiedzę na temat miasta Sarepta, które też leżało w Rosji. Natychmiast chwyciła musztardę chrzanową, ale zastanawiała się, czy jest sens kupować musztardę chrzanową, skoro można jeść chrzan?

Sam. Bez musztardy.

Po co mieszać?

Kiedy była w tym stanie (a bywała w nim często), wracała do domu z litrową butelką octu i zastanawiała się, kto kazał jej go kupić i dlaczego jest to ocet winny. I czemu on jest winny?

To samo było z szarlotką! Może dodała do niej trucizny bezwiednie? Nie patrzyła, co robi, zamiast cukru dodała arszeniku?

Niby nie pamiętała, żeby miała w domu arszenik, ale w zasadzie niczego nie pamiętała. Może ktoś dodał truciznę przez okno? Może kiedy szła, ktoś ją zagałdał i zamienił ciasto na inne? A może po prostu jakiś wysoko skuteczny chemtrails spadł na ciasto z nieba? A ona to dała Mareckiej?

Mogli to też być kosmici. Jakiś jeden czy drugi niechcący, przelatując nad tym punktem przestrzeni, wypróżnił się wprost w szarlotkę?

Przecież kosmici też muszą srać.

A może to był ich mocz? Mocz kosmitów może zawierać truciznę. To oczywiście.

Czuła, że może być winna, ale czuła też, że tak czy nie, do więzienia iść nie zamierza.

I to było dla niej bardzo ważne.

No i to, co widziała... Hmm... Warto było z kimś o tym porozmawiać, ale na pewno nie z biurem domorosłym czy nie. Nie z nimi, ale tak, żeby do nich dotarło.

– Melka! – zawołała bezgłośnie w duszy i ucieszyła się z pomysłu. Melka, siostrzenica Ady, była osobą, z którą mogła się dogadać.

Prawdę powiedziawszy, była chyba jedyną osobą, która w ten sposób myślała o Melanii. Wszyscy inni uważali, że Melania jest „popierdolona”.

To był ten rodzaj człowieka, który przytulał się do drzew, skakał przez ogniska (nie zważając na płonące czasami spódnice), potrafił płakać nad rozdeptaną mrówką, jedząc kanapkę z szynką i usiłował usłyszeć sfery niebieskie oraz zew krwi. Czyli ogólnie była niedostosowana społecznie i zajmowała się poezją. Jej niedostosowanie oczywiście nie wynikało z poezji, a poezja ma niewiele wspólnego z niedostosowaniem, Melka po prostu chciała być interesująca i dlatego była bardzo egzaltowana, bo to modne. I zawsze przesadzała.

Przez jakiś czas tak sama siebie kreowała, aż zupełnie zapomniała, gdzie jest kreacja, a gdzie prawdziwa Melania, i stała się tym czymś kolorowym, szalonym i niestety nieobliczalnym, co denerwowało ludzi i spędzało sen z powiek rodzinie.

Oraz wkurzało ciotkę i fascynowało Mateusza. Mężczyźni z pryszczami nigdy nie startują do kobiet w pełnym i pięknym makijażu, nie mówiąc już o takich z podrasowanymi atrybutami.

Wiedzą, że nie mają szans.

Dlatego Melkę, szalenie szaloną dziewczynę, a nawet kobietę dość (albo wręcz całkowicie) nieogarniętą uważał za najpiękniejszą na świecie.

Miał pewne zastrzeżenia do jej inteligencji, ale w zasadzie nie była ona najważniejsza.

Nieziszczonym na razie jeszcze marzeniem zawodowym Melki było zostać „kołczerką” internetową, ale chwilowo musiała się wstrzymać „z bólami” z powodu pracy przy kasie w markecie, bo jak tylko napisała jakąś głębszą myśl w stylu Coelho, to zaraz wylewało się na nią morze hejtu i w co drugim komentarzu ktoś kazał jej „wracać na kasę”, zamiast się wymądrzać.

Ludzie są wredni, zwłaszcza kiedy czują, że ktoś jest od nich lepszy albo mądrzejszy.

Postanowiła, że zanim zrealizuje swoje „kołczerskie” marzenie, załatwi sobie taką pracę (choćby na chwilę), do której nikt się potem nie będzie przyczepiał.

Pomysł Ady wpisywał się w jej plany.

* * *

– Wydaje mi się, że powinniśmy im się postawić – oświadczyła Melania, biorąc Mateusza pod rękę, czego strasznie nie lubił, bo to ograniczało jego możliwości podrywu.

Owszem, Melkę uważał za najpiękniejszą, bo wiedział, że ma u niej szansę, ale przecież nie zamierzał rezygnować z treningu. Kto wie, może trafi się jakaś

dziewczyna?

Jednak Melka potrafiła przynosić pecha.

Ktokolwiek prowadzał się z nią, kończył źle. Nie wiadomo dlaczego, ale wszystkim takim facetom przytrafiały się straszliwe wypadki. Jeden odciął sobie palec w maszynce do mięsa, jeden penisa, a jeden nos, jakim cudem (podobno) posłużyła do tego maszynka do mięsa i dlaczego wszyscy wzięli to z ojcem Melanii, który był rzeźnikiem, nie wiadomo, bo ojciec wolałby każdego, kto nie był Mateuszem, ale był też wymagający.

– Co powinniśmy? – zapytał, nie dosłyszawszy.

– Postawić się im? – zapytała w odpowiedzi, choć właściwie była pewna swojego pomysłu.

– To znaczy, jak i komu? – Mateusz zażądał wyjaśnień.

– Ciotce i tym staruchom z policji. Pokazać, że to my jesteśmy przyszłością narodu, że to my mamy pomysły i dzierzmy wiedzę i władzę. Że idzie młode i takie, wiesz, no cellulit precz!

– Pierdolisz! Oni mają cellulit? – zdziwił się chłopak, bo jak dotąd pomyślał, że istnieją mężczyźni, których dręczy ta niewątpliwie damska zhora, nie przyszedł mu do głowy.

– Pewnie! Ciotka na tyłku, oni na mózgu! – odparła ochoczo. Mateusz lubił być dość dosłowny, Melka poetycka.

– Oglądałaś tyłek ciotki?! – Mateusz wydawał się zaszokowany.

– No, a co? Ich mózgów też nie oglądałam, ale wiem!

Jakkolwiek zazwyczaj wyrażał się grzecznie, to w towarzystwie osób sobie podobnych zyskiwał na (niedocenianej przez wuja) kwiecistości języka.

– I co ty pieprzysz z tą policją? Przecież oni nie są z policji!

– Ale byli. Taki przedpotop dinozauryczny, co oni mogą wiedzieć? Przecież oni nawet nie mają kont na Instagramie!

– Coś tam mogą... Mają licencje. Po co im konto na Instagramie?

– To tylko takie stwierdzenie, nie ma cię tam, to nie istniejesz!

– No wiesz, są fachowcami. – Mateusz bronił byłych policjantów trochę chyba tylko z przyzwyczajenia. Melka jednak jakoś się tą obroną nie interesowała.

– A tam, takie sranie, my wiemy więcej albo nie wiemy, ale się dowiemy! Złapiemy gnoja i przyprowadzimy im go w kajdankach!

– Nie mamy kajdanek! – obruszył się Mateusz, jakby brak kajdanek był jedynym problemem. No, czasami jego dążenie do dosłowności go gubiło.

– Ja mam! – Melania rozsunęła fałdy spódnicy i pokazała przypięte do paska kajdanki, różowe, obszyte futerkiem, zdecydowanie przeznaczone do innych czynności niż aresztowanie morderców. – Bo to wiesz, świat należy do nas, trzeba z żywymi naprzód iść, a nie tam takie...

– Wiem, w uwiędłych kwiatów liść? Tak chyba szło. Coś ze szkoły pamiętam. Jasne, ale tu jest potrzebna wiedza i umiejętność dedukcji, a oni ją mają.

– To sobie podpatrzymy, zresztą to tylko stare ramole. Damy radę! – zawołała Melka kwestią ukochanego Boba Budowniczego z bajki jej dzieciństwa.

W ten sposób świat zyskał kolejny podział, może nie jakiś drastyczny, bo taki podział (na starych i młodych) w społeczeństwie istnieje od zawsze, ale jednak w łonie biura pojawił się niepodziewanie.

– A w ogóle to jak to ma się nazywać?

– To, czyli co? Ta agencja? Oni mówią, że to Geriatryczne Biuro Śledcze, ale to powinno się nazywać jakoś bardziej elegancko. Kto wybierze takie biuro? To powinno być coś poetyckiego z nutką makabry. Na przykład...

Nie zdążyła jednak nic wymyślić, bo nagle usłyszeli tupot, i to dość intensywne, lekko poprawiony dyszeniem.

– Melka... Melkaaaa! – zawołał ktoś za nimi i, co oczywiście okazało się nieco potem, ten ktoś to była Kościuchowa.

Do Melki nikt nie mówił na pani, no chyba że w sytuacjach skrajnie oficjalnych, czyli w kolejce do kasy w Biedronce. Poza tym miejscem wszyscy byli z nią po imieniu, a Melka pracowała tam ledwie trzy miesiące i została zwolniona z wielu różnych powodów, jak choćby hodowla kotów na zapleczu marketu.

Według niektórych Melka kochała Mateusza, a Mateusz kochał Melkę, wizja tego związku spędzała sen z powiek rodzicom i rodzinom obojga, bo połączenie genów tych dwojga w ewentualnym potomstwie mogłoby zagrozić trwaniu świata.

Oczywiście jeżeliby to potomstwo zdążyło się urodzić, zanim zrobią coś, co ich zabije. Oboje mieli naprawdę nietuzinkowe inklinacje.

– O jak ładnie wam tak razem pod rączkę... – oświadczyła Kościuchowa, dobiegając do nich i przystając, by wydyszeć z siebie zmęczenie.

Natychmiast odskoczyli od siebie, bo mimo iż się kochali, jakoś nie byli tego świadomi, a każdą ingerencję w ten aspekt swoich kontaktów uważali za zamach na wolność osobistą.

Można nawet powiedzieć, że był to zamach, ale nie na wolność, ale na coś zupełnie innego. Odskakując, Melka wpadła na płot, który jak prawdziwy miejski

plot był jednak ogrodzeniem z metalowych dzid, nadziała się na nie, zraniła się w twarz i straciła okulary. Odskakujący w drugą stronę Mateusz nie wpadł pod samochód, choć bardzo się starał. Przekoziółkował przez maskę i z wdziękiem jednonogiej szafy wylądował po drugiej stronie, narażając się na wiązankę słów uważanych powszechnie za skrajnie obrzydliwe (i obraźliwe też).

– Czemu nas pani straszysz? – jęknęła Melka, rozcierając rozbitą wargę. – Okulary straciłam.

– Zaraz je wyciągnę. – Mateusz przebiegł przez ulicę i zaferował pomoc, wkładając rękę pomiędzy metalowe pręty plotu. Po krótkiej szamotaninie z psem wyjął rękę. Rękaw miał w strzępach, okulary w kawałkach, ale palce były prawie całe.

– Idziemy po musztardę – wyjaśnił, choć nikt go nie pytał, dokąd i po co idą.

Można by pomyśleć, że rodziny zdające sobie sprawę z niebezpiecznego uczucia tych dwojga pogromców świata powinny robić wszystko, by trzymać ich z dala od siebie. Nic bardziej mylnego. Mówią, że rozłąka buduje, a codzienność rujnuje, dlatego obie nieszczęsne rodziny (kochające oczywiście swoje dzieci i pragnące wnuków, ale na litość, żeby te wnuki choć nie srały bombami i nie były groźne dla życia i zdrowia publicznego) robiły wszystko, żeby Melka i Mateusz spotykali się jak najczęściej, żeby jak najbardziej sobie spowszednieć.

Melka obejrzała okulary i westchnęła.

– No i po kłopotcie. Były, nie ma. Najwyżej nie będę obierać ziemniaków, bo sobie nos pokaleczę, ale niech pani powie: dlaczego nas pani goiła?

– Kiedy oni poszli po tę musztardę? – Ada zapragnęła się tego dowiedzieć z powodu braku samej musztardy oraz braku tych dwojga nieudaczników, którzy przecież mogli coś, gdzieś narozrabiać, choć pocieszające było to, że nie słychać było ani karetek, ani syren straży pożarnej, czyli nawet jeżeli coś narozrabiali, to była to jakaś marniutka drobnostka.

– O, już ze dwadzieścia minut temu poszli – odpowiedział Edzio.

– Przecież sklep jest na drugiej ulicy?! – Ada zdenerwowała się nie na żarty. – Żeby tylko nie wpadli na pomysł, żeby gdzieś w krzakach...

– O nie, tylko nie seks! – jęknął Hubert z przerażeniem w głosie i w oczach.

Wuj Mateusza natychmiast wyobraził sobie ciąg wydarzeń. Seks, ciąża, poród, dziecko (ich dziecko!), zagłada świata!

– Idę za nimi!

Kościuchowa, już wysapana, przybrała niewinny wyraz twarzy.

– Nie, no ja tylko tak – mruknęła. – W sumie to chciałam się dowiedzieć, co z tą Marecką. Ustalili już coś?

– Podobno Witek Mąkosiak ją zabił – odpowiedział Mateusz. Nie była to jakaś konkretna wiedza, nie był nawet pewien, czy sam wierzy w to, co mówi, tak sobie rzucił nazwiskiem, żeby zobaczyć, co się stanie.

Kościuchowa ucieszyła się bardzo, wyraz błogości wpelził jej na twarz, a ulga wypłynęła westchnieniem.

– To wspaniale. A już myślałam, że to ja – powiedziała rozweselona – ale co wam powiem, to wam powiem, ja to bardziej myślałam o tym młodym, co go u niej w domu w nocy widziałam, ale jak to Mąkosiak, to nawet dobrze się składa, bo on do więzienia przyzwyczajony, nic mu się nie stanie, jak trochę posiedzi.

Przekonanie, że ludzie, którzy spędzili w więzieniu jakiś czas, o wiele łatwiej i z większą przyjemnością jeszcze raz zechcą powtórzyć to doświadczenie, jest błędne, i to nawet bardzo. To tak samo jak z dentystą, owszem trzeba, ale kto by był zachwycony rwaniem?

– Trochę? Trochę sobie posiedzi? – mruknęła dziewczyna. – No wie pani, to nie takie tam trochę, za morderstwa to potrafią i dwadzieścia lat zasądzić. Ja to bym wolała, żeby to nie był Mąkosiak, bo on taki biedny. Taki nieszczęśliwy, taki samotny. – Melka wpadła w swój ekstatyczny stan miłości bliźniego mimo wszystko.

– Zwariowałaś, Melka? – krzyknął Mateusz. – To pijak!

– No nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pijak był nieszczęśliwy. Nawet w sumie pomaga, daje niezły pretekst do picia. – Kościuchowa знаła życie, ale znała też Melkę, wolała załagodzić sprawę. – Bo po tym, jak mi kot zdechlł...

– Umarł! Pani Kościuchowa, umarł! – Melka poprawiła Kościuchową, choć jej kota nie znała.

– No dobra, ale jak umarł po szarlotce, to już myślałam, że to ja zabiłam tę biedną Marecką.

– Po szarotce? Dała pani kotu szarotkę? To mogło go zabić!

– Jezu! Melka, tobie zepsuły się okulary, a nie aparat słuchowy, mówię o szarlotce, co ją babce zaniósłam, a nie o szarotce!

– Zaniósła pani je... I kot... Gdzie jest ten kot?! – zawołał Hubert, który słuchał wszystkiego z pewnego, oddalonego nieco, ukrycia.

– No jak gdzie? Za tęczowym mostem! – burknęła Melka. – I co w ogóle... E... Mateusz, co twój wuj tu robi? Śledzili nas? – zapytała, nie wiedząc, co się dzieje. Hubert wyłonił się gotów do działania.

– Musimy natychmiast ekshumować kota! Pokażcie mi na Google Maps, gdzie jest ten most. To tutaj czy gdzieś za miastem?

Wszyscy popatrzyli na niego jak na zjawę, bo jego zachowanie nieco oszołomiło obecnych.

– Ale po co komu tęczowy most?! Kot jest w ogródku, ale wykopywać nie dam! Mój kot, mój ogródek, nie dam!

– Nikt się pani nie będzie pytał. Trzeba sprawdzić, co otruło kota.

– Szarlotka – westchnęła Kościuchowa. – Jak mi przyniósł ten talerzyk, taki w biedronki, co to dałam na nim ciasto Mareckiej, to włożył na stół i zjadł. No i natychmiast tak strasznie zamiauczał, zawył, skrzył się i było po kocie.

Westchnęła na okoliczność, choć nie bardzo jej to wyszło.

– Zaraz, zaraz. Kot przyniósł pani talerzyk? – Hubert włączył się w akcję, ale też niewiele rozumiał.

– Nie, kot tylko zjadł resztki! – odburknęła.

– To kto przyniósł?

I tu powstał problem, bo ona tego nie wiedziała albo nawet wiedziała, ale nie pamiętała, albo nawet wyparła z pamięci. Czytała kiedyś, że straszne rzeczy się z pamięci wypiera, a to było straszne, choć śmierć kota też miła nie była, co więc zobaczyła, że to wyparła? Kto jej ten talerzyk przyniósł? Kto ją tak wystraszył?

I czy wystraszył? Czy w ogóle go widziała? Albo nawet ją?

– A żebym to ja pamiętała. Wieszalam pranie, wiało, prześcieradła szalały jak jakieś duchy na wietrze, ktoś podszedł, ja to myślałam, że to ten jej gość był, wyciągnął talerzyk, wzięłam i poszłam do domu, nie patrzyłam, a może patrzyłam, tylko zapomniałam?

– Jaki gość?

– Co jaki gość? – Kościuchowa zdziwiła się, nie rozumiejąc pytania.

– Mówiła pani, że to był jej gość?

– Ale czyj? – Kościuchowa oczywiście znów niczego nie rozumiała.

– Mareckiej. Mówiła pani, że talerzyk mógł oddać gość Mareckiej? – W takich momentach Hubert przypominał sobie, dlaczego czasami tak bardzo nienawidził pracy w policji. Musiał rozmawiać z idiotami albo z oszołomami, i to zawsze grzecznie, nie można było nikim potrząsać, nie wolno było walnąć ani skopać, tylko ładnie, grzecznie. Brrr. Teraz też tak się czuł, miał ochotę strzelić Kościuch-

chową w łeb, może by sobie coś przypomniwała. Niestety, ludzie w przypadku agresji są w stanie przypomnieć sobie nawet to, czego nie było. A nieistniejące wydarzenia i wspomnienia w sprawie nie pomogą. Im nie zależało na zamknięciu sprawy, zależało im na jej rozwiązaniu.

– A tak, no ale to nie mógł być on.

– Ale kto to był?

– No przecież nie wiem, skąd mam wiedzieć? Wiem, że był, ale tylko tyle.

– Był i co?

– I nic, był.

– Mieszkał?

– A ja wiem? W nocy go widziałam, tak na cieniu. Bo on wyższy był od Mareckiej, no i facet, więc różnica była, ale czy u niej spał, czy z nią spał?

– Jak z nią?! – przeraził się Hubert, nieco ostatnio odseparowany od wrażeń seksualnych.

– No bo podobno miała za męża wychodzić? Nie?

– Czyli facet był w jej wieku albo starszy?

– Nie, no co pan, panie Hubercie! Młody był, tak ze trzydzieści coś.

– I...

Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że nie całkiem czterdziestoletni facet może chcieć ożenić się z siedemdziesięciosześcioletką, o ile ona nie jest milionerką, a on tureckim łowcą spadków. W tak zwanych normalnych warunkach taki układ, gdzie to kobieta jest dużo starsza, a męczyzna zdecydowanie młodszy, raczej rzadko się zdarza, no i owszem Marecka była zamożna, ale nie miała milionów.

– Czyli on oddał pani talerzyk?

– Tak podejrzewam, bo ktoś mi go oddał.

– A dlaczego oddawał pani cokolwiek?

– Nie mówiłam? No bo ja zaniósłam szarlotkę Mareckiej.

– No tak. I dała pani jej czy jemu?

– No jej dałam, przez okno!

– A on tam wtedy był? Prosiła go pani o zwrot? Mówiła pani... Nie wiem, cokolwiek?

– Nie, nic, zresztą jego tam nie było. Marecka sama wzięła.

– A pani tę szarlotkę upiekła sama?

– I tak, i nie. Bo ja zrobiłam wszystko, ale dałam do Wilkowej do piekarnika, bo w moim nie działa górna grzałka i ciasto blade wychodzi.

– To było jakieś pieprzone ciasto wędrownie – zdenerwował się Hubert, ale i ucieszył, bo w tej chwili mieli jakieś zaczepienie. Z jednym kłopotem. Szarlotka nie była trująca. Ta nie, ale może ta, która otruła kota, była? O ile kot nie umarł śmiercią naturalną. Hubert z doświadczenia wiedział, że koty, jeżeli już umierają, to chowają się w zacisznych, ciemnych miejscach, rzadko który umiera na stole z pyszczkiem na talerzyku, ale cóż, zdarza się.

– A może ten facet to był wampir romantyczny? – zapytała Melania, kiedy już wracali do domu, nie kupiwszy musztardy. Mieli za to ze sobą Kościuchową, która była o wiele ostrzejsza niż musztarda, zjeść się jej nie dało (z butami czy bez), bo z pewnością by sobie na to nie pozwoliła, ale mogła mieć ciekawą wiedzę dotyczącą sprawy.

– Że jak? – zdziwił się Hubert, nieobeznany we współczesnej terminologii psychologicznej rodem z Internetu.

Istnieją wampiry energetyczne, to wiedział, istnieją chyba emocjonalne, gdzieś o tym czytał, ale o romantycznych nie słyszał, poza tymi z filmu Zmierzch, o którym kiedyś opowiadał mu jeden z młodych ludzi zatrzymanych za obnażanie się w miejscach publicznych.

– No wampir romantyczny żywi się romantyzmem. Wyczuwa kobiety, które kochają czułe słówka, które wierzą w zachody słońca i obrączki z tombaku, wierzą w takie różne serduszką internetowe i delfinki plujące różami, i inne takie, i to stosują, wysysając cały romantyzm z tych kobiet, bo kiedy one już się z takim zetkną i trochę z nim pobędą, to od razu przestają być romantyczne, a jak widzą kwiatki i inne, to gryzą i kopią.

– A, to ten typ – skrzywił się Hubert. – Mnie to się bardziej wydaje, że to oszust, może nawet matrymonialny, bo on nie serduszkami się żywi, ale pieniędzmi. Chociaż jak znał, tak znał. Wampir romantyczny? Może być, ale czy ten on nim był?

– No mógł! – zawołała Kościuchowa. – Nie widziałam jego odbicia w lustrze!

– No to jednak widziała go pani z bliska? Może koło jakiegoś lustra? Mogła się pani mu przyjrzeć?

– Nie, przecież mówiłam, z daleka, przez okno tylko jego cień widziałam.

– No to jak? Dlaczego twierdzi pani, że nie widziała jego odbicia w lustrze?

– No bo nie widziałam! Przecież mówię. – Kobieta się obruszyła całkiem szczerze, ale wzruszyła ramionami. – A wy dwa? – zwróciła się do Melki i Mateusza. – Dalej „oba samce i oba kotne”?

– Że, hmmm?

– No dalej tak koło siebie chodźcie, jakbyście byli z trzech parafii? Kiedy ślub?

– Ich? Nigdy! – warknął Hubert – oni są jak rodzeństwo.

– Też tak myślę – westchnął Mateusz. – Melka jest dla mnie jak siostra i do tego brzydka – oświadczył, bardzo z siebie zadowolony. Wyznania miłosne nigdy mu przez gardło nie chciały przechodzić, a już przy wuju zupełnie.

– No, a Mateusz inteligencją nie grzeszy, ale jak na brata może być.

– Zdurnieli – mruknęła kobieta i chyba chciała coś dodać, kiedy Hubert poczęstował ją kuksańcem pod żebro.

* * *

– A kto po niej dziedziczy? – Ada Hill, nawet szykując „melanż”, pracowała. Fakt, po swojemu, ale pracowała, w tym momencie dodzwoniła się do sprzątającej u Mareckiej dziewczyny, Kaśki Podolek, która chętnie odpowiadała na pytania i należała do dobrze poinformowanych. Był to ten rodzaj dziewczyny, która przychodziła wytrzeć kurze, a kiedy wychodziła, kurze nadal grzecznie sobie leżały na swoim miejscu, ale za to w kuchni piętrzyły się filiżanki po kawie i spodeczki po cieście.

Czasami oczywiście sprzątała, ale zazwyczaj spędzała mnóstwo czasu na pogaduchach, co często było przez ludzi ją wynajmujących o wiele bardziej pożądane niż ścieranie kurzy, które w sumie nie gryzą.

Ludzie niekiedy potrzebują z kimś pogadać, a jeżeli są starzy, schorowani i nie mają jak iść pod sklep czy na targ na plotki, lubią sobie źródło plotek wynajmować.

Marecka do takich osób nie należała, bo nie była obłożnie chora, tak więc Kaśka u niej jednak sprzątała, a że Marecka często wychodziła, dziewczyna sprzątała też po szufladach i szafkach. Było to tylko hobbistyczne zajęcie, bo Kaśka nie kradła, ona jedynie roznosiła ploty.

– A widziałam, widziałam w papierach. Napisała, że syn – odpowiedziała, zadowolona, że jej wiedza może się przydać.

– Jak dokładnie?

– Jakieś prawnicze bla, bla, a potem, że mojemu synowi zapisuję, Waclaw mu chyba, nie? To znaczy nie mojemu, bo ja żadnego syna nie mam, nie tylko Waclawa, ale nawet gdyby, to raczej bym go inaczej nazwała, bo taki Waclaw to naprawdę przeżytek – rozgadała się dziewczyna, chcąc dokładnie wyjaśnić to, co i tak Ada już dawno zrozumiała.

– Zaraz – Ada przerwała jej monolog na temat przyszłej progenitury bezlitośnie i bezzwłocznie – i komu jeszcze?

Ada zakładała, że w takim testamencie może być jeszcze kilku innych obdarowanych. Ktoś z dalszej rodziny, jakiś sąsiad, kochanek albo ktokolwiek, ale może być.

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? Wie pani, jak to się paskudnie czyta taki prawniczy bełkot? Nic nie rozumiałam!

– A jak to się stało, że w ogóle na to trafiłaś? Pokazała ci?

Ada niebezpiecznie wkroczyła na terytorium odrobinę zakazane.

– Nie, no co pani? W szufladzie odkurzałam – obruszyła się dziewczyna.

Mało kto odkurza w takich miejscach, ale Kaśka była bardzo dokładna.

– Czyli synowi zapisała – stwierdziła Ada.

– Czyli jeszcze bardziej nie rozumiem – odpowiedział Edzio, wynosząc koc przed dom na krzesło, bo było już ciemnawo i chłodnawo. I w ogóle paskudnawo.

– A co tu jest do rozumienia?

– Po pierwsze to, że Marecka miała syna, tylko syna, jednego. Nie miała innych dzieci, o ile wiem, to po co pisała testament, skoro i tak było wiadomo, kto dziedziczy? No chyba że jakiś prawnik ją naciągnął, ale to trochę bez sensu. Po drugie to, co tam zapisała, było oczywiste, po trzecie nie znaleźli testamentu.

– Nie rozumiem.

– Ktoś go zabrał. Zniszczył? Może ona sama? Trudno stwierdzić, w każdym razie nie było go w domu.

– Mogła go spalić.

– Ale po co? To nic nie zmieniało. Czy ten testament jest, czy go nie ma, o ile nie było jakiegoś dodatkowego zapisu, to i tak dziedziczy ta sama osoba.

– Tak, i teraz można powiedzieć, że ten syn jest podejrzany.

– Można, ale on podejrzany był przez cały czas, jedyny spadkobierca zawsze jest podejrzany, ale... No, synowa też jest podejrzana, choć nie dziedziczyła, ale na śmierci staruszki też by zyskała. I ich dzieci. To znaczy jej wnuki. Ma dwoje?

– Tak, Joaśkę i Cezarego. Joaśka pracuje na bazarku, ciuchy sprzedaje, a Czarrek nie pracuje. Czaruje, żeby nie było. Mówią, że narkoman.

– I to tyle?

– No tak. Ona rodzeństwa nie miała, a mąż zmarł lata temu. Czyli któreś z nich? Co o tym sądzisz? – Ada rzuciła to pytanie do wchodzącego na posesję, w towarzystwie młodych i Kościuchowej, Huberta.

– Nic nie sędzę, bo pani Czesia wykryła jeszcze kogoś – powiedział zadowolony z siebie Patyczak, wskazując na idącą obok niego kobietę.

– Wampira romantycznego! – zawołała Melka z zachwytem. – Tego jej przysłego męża!

– No tak. Jeżeli istniał jakiś przysły mąż, to sprawa wygląda nieco inaczej. Po pierwsze... Zaraz, zaraz. – Ada szybko znów wybrała numer Kaśki Podolek i bez wstępów rzuciła do słuchawki: – A kiedy ty ten testament widziałaś?

Dziewczyna z drugiej strony linii telefonicznej (było ustawione na głośno) przez chwilę się zastanawiała, by w końcu wydukać.

– Ale ja jej nie zabiłam!

– A tobie co? Pytałam, kiedy ty ten testament...

– Nie, no ona ma rację, ona też mogła ją zabić. Nie wiem, dlaczego miałyby to zrobić, ale mogła – oświadczył Mundek. – W przypadku takich spraw trzeba powiedzieć sobie uczciwie: każdy, kto był blisko ofiary, mógł mieć pretekst albo powód. Są tak różne przyczyny morderstw, że naprawdę nikogo nie można wykluczyć.

Wszyscy spojrzeli na niego w oczekiwaniu na dalszy wykład na temat przyczyn mordowania się ludzi, ale Kaśka, która wszystko słyszała z oddali, choć oczywiście nie widziała, aż krzyknęła, przejęta:

– Nie mogłam, no właśnie mówię, że nie mogłam! A testament widziałam tak z miesiąc temu. Bo ja do niej to raz na tydzień chodziłam, a ostatnio mnie nie było, to Maryśka za mnie poszła, czyli tak, miesiąc.

Ada swoim zwyczajem musiała wszystko kontrolować, układać, sortować i spisywać. Poszła do kuchni, wyniosła korkową tablicę i ustawiła ją na stojaku.

– Czyli jeszcze Kaśka Podolek i Maryśka? Dlaczego? One nie dziedziczyły.

– Kaśka mogła mieć zatarg jakiś? O kradzież czy coś?

– Ona nie kradnie.

– No to o wścibstwo albo... Wiem. Zazdrość! O chłopca. Trzeba ją zapytać, czy widziała u niej młodego chłopca, takiego jakby... No nie wiem – zaproponował Edzio.

– Ja nie widziałam, ale Maryśka tak – odpowiedziała dziewczyna, mimo że uczestniczyła w rozmowie nieco zdalnie. – Opowiadała mi, jak weszła do łazienki, bo miała sprzątać, a tam facet stoi goły cały jak go Bozia stworzyła.

– Uuuu, impreza imprezą, ale trzeba będzie i ją przesłuchać – oświadczył Mateusz, choć właściwie podejmowanie takich decyzji w żadnym calu nie należało do niego.

No cóż, liczył na odmłodzenie towarzystwa. Maryśka i Kaśka nie przekroczyły jeszcze trzydziestki i gdyby przyszły, bardzo ładnie obniżyłyby średnią wieku zebranych i trochę poprawiłyby ogólny poziom urody obecnych, bo Mateusz nie gustował w brodatych byłych policjantach, zresztą w żadnych nie gustował.

Dziewczyna, usłyszawszy słowo na „i”, natychmiast się ucieszyła. Mateusz w ogóle nie lubił policjantów, zbyt często byli facetami i zbyt często mieli do niego jakieś pretensje, trudno gustować w kimś, nawet jeżeli ten ktoś jest kobietą (a w policji też to się zdarza), kto ponurym głosem zadaje pytania w stylu „Dlaczego pan podpalił ten śmietnik?” albo „Jak spowodował pan awarię tych wszystkich urządzeń elektrycznych?”, „Jak dał pan radę obrzygać żarówkę w latarni ulicznej?”.

Mateusz awarie powodował często. Był bardzo ciekawy. W sensie ciekawski. Chciał wiedzieć, czy usmażenie pendrive’a w jajecznicy zniszczy dane (zniszczyło), czy podłączenie saturatora do prądu kopnie (kopnęło, i to bardzo) albo czy biustonosze są dobre do noszenia melonów.

Nie dowiedział się, bo kobieta, której ukraść biustonosz i załadował go melonami, przetrąciła go łopatą.

– To ja wezmę Maryśkę i zaraz u was będziemy – odezwała się przez telefon Kaśka. – Czy ja tam słyszałam Mateusza?

– Tak – odpowiedziała Ada.

– No to zaraz będziemy – ucieszyła się dziewczyna, bo tam gdzie był Mateusz, zawsze coś się działo, a ona była jeszcze za młoda, żeby lubić spokojne melanje.

O ile w ogóle istnieje coś takiego jak spokojny melanz.

Impreza naprawdę się rozkręciła. Przesłuchiwanie ludzi przy wódce to nie jest najlepszy pomysł. Przy takiej liczbie chętnych języki rozwiązują się dopiero około czwartej butelki, na szczęście dziewczyny przyniosły każda po jednej, więc w końcu wszystkim się wszystko rozwiązało.

Wampir romantyczny zyskał na znaczeniu, bo Maryśka stwierdziła, że choć niewiele widziała, facet miał zdecydowanie dużego. Opowieści snute w stanie „po spożyciu” bywają ciekawe, ale często też są nieco podkolorowane, bo ludzie lubią ciekawe historie.

A opisy penisów tym bardziej.

– Spod ręcznika mu wyłaził – wyjaśniła i czknęła – ale nie był rozdwojony – oświadczyła z zadowoleniem.

– A miał być?

– No powinien, bo to wampir był, nie? Ty, Mateuszk, to masz pewnie...

Mateusz nie dał jej dokończyć.

– Nie mam! Oszalałaś?! Nie mam rozdwojonego penisa, czy ty wariatka jesteś, czy jak? I w ogóle odczep się od mojego penisa. Nie mam! To znaczy mam, ale nie mam... – uściślił. Nie mógł pozwolić, żeby w świat poszły wieści, że w ogóle nie ma. Żadnego.

– A nie, ja pytałam, czy masz nasrane, że się z Melką prowadzasz?! – Roześmiała się z żartu, ale to, co powiedziała, wydawało się niezbyt udaną ucieczką od tematu, bo Maryśka zawsze była nim zainteresowana, a on nią jakoś nie. Owszem, raz czy dwa byli na randce, ale Mateusz strasznie się wynudził, po pierwsze dlatego, że romans, na który poszli do kina, uśpił go zupełnie, po drugie potem w kawiarni Maryśka przez cały czas siedziała w telefonie i jeżeli już się odzywała, to tylko na temat mody i makijażu, co go z oczywistych względów mało interesowało, a kiedy w końcu poszedł do łazienki i prawie niechcący wyrwał spłuczkę ze ściany, bo chciał trochę ją wyrównać, powodując potop, Maryśka się obraziła i uciekła, żeby nie płacić za straty. Takiej niewdzięczności Mateusz nie umiał zrozumieć.

To była tylko mała naprawa, a musiał jeszcze za nią zapłacić.

Melania nie była zachwycona dotychczasowymi osiągnięciami Mateusza, bo wydawało jej się, że kocha go jak brata, a brata przecież „żadnej kurwie” nie odda. Dlatego bardzo go strzegła, sprawiając wrażenie zazdrosnej żony.

– Przestańcie! Wiemy, że był tam jakiś facet. To nie ulega wątpliwości, ale jaki był? Młody?

– Młody i ciacho jak się patrzy!

– I on miał się żenić z Marecką? – westchnęła Ada. Ona nie miała zbyt wielkich możliwości matrymonialnych i o tym wiedziała, niemniej była wolnym duchem, więc choć biała suknia ją kusila, a obrączki śniły jej się po nocach, bała się, że zaraz potem doszłoby do tragedii, w której uczestniczyłaby ona i jej mąż, ale to ona trzymałaby w ręku siekiere. A w zębach tasak.

– Czy młody? A kto to wie? Wszyscy gadali, że tak. Ona go trochę ukrywała, bo jak zaczęłam krzyczeć w tej łazience, bo spanikowałam, to wpadła, złapała mnie za łeb, wytaszczyła z tego kibelka i obsobaczyła jak burą sukę.

Scena, jakkolwiek romantyczna, wszystkich rozśmieszyła, bo Maryśka i panika to nie było coś, co zdarza się często, a już z pewnością nie na widok gołego chłopca.

– A wiesz coś więcej? Imię? Nazwisko? Coś może słyszałaś? Cokolwiek, może jak o nim mówiła?

– Nie, no nic o nim nie mówiła, tylko o mnie, że jestem wścibską świnią i na pewno wiedziałam, że łazienka jest zajęta, tylko chciałam zajrzeć. Pogoniła mnie zaraz.

– Czyli to jemu te przysmaki z awokado robiła? – zapytał Edzio, trochę zafiksowany na problemie.

– Kiedy nie. Ona nie umiała za bardzo gotować. Takie zwykle to jeszcze – wtrąciła się Kościuchowa. – Gdyby nie, to po co bym jej przynosiła szarlotkę? Marecka do garów ręki nie miała. Ten jej mąż, świeć Panie nad jego duszą, to chyba z głodu jej umarł, tak gotowała.

– Nie z głodu, nie z głodu, co wyście?! – oświadczyła Melka. – Przecież to był kuzyn mojej kumpeli, ona mówiła, że od grzybów.

– Otruła go? Marecka go otruła i teraz z powodu wyrzutów sumienia otruła siebie? Włooo... To by był motyw! – ucieszyła się Kaśka.

– Nie, sam się zabił.

– Jeszcze jedno samobójstwo?

– To był wypadek. Na motorze. Wypadki się zdarzają!

– No mówiłam, że z głodu! Taki głodny był, że grzybów choć chciał nazbierać, i pojechał, no i się zabił.

Pewne okoliczności zawsze bywają wieloznaczne.

Na przykład jak mąż zdradza żonę, to najczęściej dlatego, że żona jest zołą albo kochanka puszczalska, albo teściowa go wkurzyła, albo tyle pracuje biedak, że musiał się odstresować. Mężowie nie są winni. Tak samo jest z niektórymi przypadkami śmierci.

Wszystko zależy od interpretacji.

Przyczyna i skutek też. W tej konkretnej sprawie dla policji przyczyną były niesprawne hamulce, dla wioski głód, dla Mareckiej to, że mąż chciał jej zrobić na złość, a dla miejscowego proboszcza pijaństwo.

I co za tym idzie, skoro przyczyny były różne, winni też, chociaż w zakresie ogólnym żona. Nie kazała mu naprawić hamulców? Nie kazała, nie nakarmiła? Była wredna, aż musiał spokoju poza domem szukać? Była, no i do tego pił, bo mu piekło z życia uczyliła.

– No ale wyrzuty sumienia mogła mieć – oświadczyła Kaśka. – Jak tam raz byłam, to łąziła z kąta w kąt i marudziła.

– Jak?

– Zwyczajnie, „I co ja teraz zrobię?”, takie coś. To mogły być jakieś wyrzuty.

– No właśnie, bo my cały czas patrzymy na to jak na morderstwo, ale jakby się lepiej zastanowić, to jednak to mogło być samobójstwo – jęknął Edzio. – Nic, naprawdę nic nie wskazuje na zabójstwo, choć też nie bardzo cokolwiek wskazuje na samobójstwo. Z papierów wynika, że Marecka nie chorowała jakoś specjalnie, nie była w depresji, nie głodowała, miała za co i dla kogo żyć. I kupiła awokado.

– Tak, powinnam napisać książkę zatytułowaną Mordercze awokado, to było dopiero! – zawołała Melania, która nigdy nikomu z własnych planów życiowych się nie zwierzała, ale po pijaku potrafiła snuć różne wizje swojej przyszłości, mocno wskazujące na brak realizmu życiowego.

– Byłabyś w stanie? – zapytał zaciekawiony Mateusz, któremu wizja Melanii jako pisarki bardzo się spodobała.

– Nie wiem, ale tylu ludzi pisze, to czemu nie mogłabym ja?

– No, ale większość to pisze romanse albo erotyki, a to mordercze awokado to bardziej na horror wygląda.

– Nie, no erotyk też mógłby być, taki z nekrofilią – stwierdziła Maryśka. – Albo nie, taki jakiś, że facet karmi babkę i to go podnieca. Też może być.

– Przestań, bo robi mi się niedobrze. I w ogóle, oni znaleźli u niej to awokado? Bo skoro to dla wszystkich takie ważne, to pewnie go szukali.

– Tak, było w sałatce z jajkiem, oliwą i cytryną.

– No ale jak? Twierdziliście, że nie jadła nic poza szarlotką?

– Bo nie jadła.

– A gdzie była ta sałatka? Na stole czy w lodówce? – zapytała Ada profesjonalnym tonem. – bo jakby na stole, toby to znaczyło, że może czekała na kogoś.

– Ani w lodówce, ani na stole.

– To gdzie?

– Na głowie.

– Miała sałatkę na głowie? – Kościuchowa aż wytrzeszczyła oczy z wewnętrznego zdumienia. – Jarzynową? Z majonezem? Ktoś jej sałatką przywalił?

– Nie, ona miała tę sałatkę wmasowaną w głowę.

– Że jak? – Kaśka i Maryśka robiły selfie przy ognisku, starannie omijając widoczne gdzieś kielbaski, bo zdjęcia miały mieć wymiar emocjonalny, a przecież nikt się teraz nie przyznaje do jedzenia mięsa, no chyba że stać go na wołowinę wagy, która kosztuje ponad dwa tysiące złotych za kilogram, to wtedy tak, bo hejt z powodu jedzenia mięsa zrównoważyłyby się z zachwytem na temat zamożności.

Zresztą to wszystko było na pokaz.

Kreacja i tyle, można było sobie zrobić zdjęcie z wołowiną ze złota, a w domu jeść tylko kaszanke. Tak przecież zwykle to działa.

Teraz chciały pokazać, że imprezują, i z kim imprezują.

Starych nie pokazywały, ale Mateusz... No, Mateusz miał spore wzięcie.

– Sałatka na głowie? A po co? – zdziwiła się Kościuchowa. – I miała to wmasowane? No ale...

– I o to chodzi! – wrzasnęła Melania znad telefonu. – Wiedziałam, że to jest to! Patrzcie. – Pokazała wszystkim jakieś zdjęcie i aż zatańczyła z radości!

Zdjęcie nic nikomu nie powiedziało, tym bardziej że jej szalony taniec dookoła ogniska sprawił, że trzeba było gasić jej spódnicę.

– No co?!

– Wróżka Emma! – zawołała z radością. – Widzicie?! Znacie?

Nikt oczywiście wróżki Emmy nie znał, bo była jedynie kreacją internetową, ale większość ją znała osobiście, choć nie wiedziała, że zna wróżkę Emmę, a była przekonana, że zna Manuelę Puć, sprzedawczynię z warzywniaka, która bezczelnie oszukuje na pomidorach i rzodkiewce.

– I co ta wróżka Emma cię tak podekscytowała? – Ada zrobiła strategicznie niezadowoloną minę, bo zainteresowanie Melki ezoteryką nie było w rodzinie akceptowane.

– O, tu jest napisane o maseczce energetyzującej na włosy. Awokado, jajko, oliwa i cytryna. Wmasować i czekać, aż zadziała.

– I ona sobie to zrobiła przed śmiercią? I czekała, aż zadziała? I od tego zmarła?

– Nie, nie od tego, ale to jednak nie mogło być samobójstwo – wydedukowała Melka – bo babka chciała się maseczką energetyzować, włosy sobie poprawić, to po co miałyby to robić przed śmiercią?

– No, żeby ładnie wyglądać w trumnie – oświadczyła bardzo poważnie Maryśka.

– Nie, ona była raczej normalna – stwierdził Patyczak Hubert. – Chciała lepiej wyglądać za życia. Tak więc ta kobieta, która do nas przyszła, miała rację. Awokado świadczy o tym, że to było morderstwo.

Impreza z powodu deszczu oraz coraz bardziej moknącego towarzystwa przeniosła się najpierw na taras, a potem do bufetu. Koło północy odpadła Kościuchowa i Kaśka z Maryską zanosły ją do domu. Melka i Mateusz zasnęli wtuleni w siebie na sofie. Nie było sensu ich budzić.

– Ja to już nie mam do nich siły – westchnęła Ada, patrząc to na nich, to na Huberta. – Trzeba tę sprawę jakoś ostatecznie załatwić, bo to się źle skończy. Oni się w końcu połąpią, a wtedy to już nic nie da się zrobić.

To, że Melka i Mateusz byli tak bardzo pokręceni, z jednej strony stanowiło problem, z drugiej cieszyło rodziny. Problem był, i to poważny, bo te dwa dzieciaki, trzydziestoletnie, ale całkowicie oderwane od rzeczywistości, były w stanie uprzykrzyć życie każdemu, ale na szczęście były tak naiwne, że można było nimi kierować.

Melka wywoływała duchy, fascynowała się pomocą amerykańskim generałom, zbierającym pieniądze na chore córki, i pomagała bezdomnym kotom, co może i groźne nie było, gdyby nie to, że miała w swoim pokoju trzynaście kotów, tak dzikich i wściekłych, że wejście tam stanowiło problem, i że Melka czystością nie była.

Koty opanowały wszystkie powierzchnie nadające się do spania, a że dla kota wszystko nadaje się do spania, spały wszędzie. Srały też wszędzie, bo Melka rzadko zmieniała piasek w kuwecie, a koty to czystochy. Jadły dobrze, więc w pokoju Melki panował smród.

Melka była po prostu wariatką. Bardzo często niechcący się podpałała, ale jakoś bez większych zdrowotnych konsekwencji.

Mateusz trochę bardziej przystawał do swojej roli syna i ewentualnie przyszłego ojca.

On się nie podpałał, ale bardzo często podpałał wszystko dookoła. Wysadzał w powietrze różne stworzone przez siebie sprzęty, a także te, których nie stworzył, ale chciał się dowiedzieć, jak działają, choć wysadzenie pralki z całym wkładem mokrej bielizny było wyczynem trudnym do powtórzenia.

Remont kuchni zrujnował rodzinę i poróżnił ją z sąsiadami, z powodu okien, bo huk był tak wielki, że wypadły wszystkie szyby, choć były plastikowe, i ogłuchła seniorka rodu, bo akurat testowała nowy aparat słuchowy.

Sąsiedzi, znając (marną) sytuację materialną rodziny Mateusza, postanowili złożyć pozew o odszkodowanie do producenta pralek, który reklamował swoje produkty sloganem „nawet dla idiotów”. W tym celu chcieli udowodnić, że Mateusz jest rzeczonym idiotą. Niestety jego IQ było tak wysokie, że mógł należeć do Mensy, co nie przeszkadzało mu być nieprzystosowanym do życia.

Bezsprzecznie on i Melka pasowali do siebie idealnie i to spędzało wszystkim sen z powiek.

– Zapłacę im za ten klub i napuszczę Kaśkę, żeby się koło niego zakręciła.

– Ale to nie będzie sutenerstwo? – Hubert natychmiast znalazł wszystkie możliwe „ale” do tego skądinąd całkiem rozsądnego planu.

– Nie każę jej go przelecieć ani zgwałcić, tylko się koło niego zakręcić.

– A Melka?

– No nie wiem, nie mam nikogo... Może po prostu się zestresuje i to wystarczy? A może niech szuka tego faceta, wampira romantycznego, czy co? O, wiem, wróżka Emma powinna powiedzieć, że on jest jej przeznaczony?

– A powie?

– Zobaczymy – oświadczyła, ziewając, co było wyraźnym znakiem, że panowie, choć wcale nie chcieli, powinni się ewakuować do własnych domów.

* * *

Poranek zaskoczył wszystkich, ale najbardziej Adę, bo kiedy weszła do bufetu, zastała wszystkie trzy tablice korkowe z ponaklejanymi dość byle jak, w bardzo przypadkowej kolejności, zdjęciami, rysunekczkami i napisami połączonymi setką kolorowych nici idących jak wiązki laserowego światła od jednego zdjęcia do drugiego, krzyżujące się, w miejscach najmniej prawdopodobnych i opatrzonych znakami zapytania, serduszkami i wykrzyknikami.

Owszem, było tam zdjęcie denatki, ale próżno by szukać zdjęć ewentualnych podejrzanych. Zamiast nich były zdjęcia kilku aktorów, jednego seryjnego mordercy (wycięte z kolorowej gazety) oraz awokado z atlasu roślin jadalnych, który Melka bezceremonialnie potraktowała nożyczkami. Było też ociekające tłuszczem jajko sadzone, usmażone i przypięte szpilkami, oraz kadr z filmu *Drakula*.

– Prawda, że profesjonalnie? – zawołała Melka, wywołując popłoch na twarzy skacowanej Ady. – Widziałam w takim serialu o mordercach. Pięknie, nie?

Ada popatrzyła na zachwyconą twarz siostrzenicy i miała ochotę się rozplakać.

– Wiesz co, Melka? Idźcie wy dziś do klubu poszukać tego wampira energetycznego.

– Energetycznych to znam na kopy, ten miał być romantyczny! – obraziła się Melka.

– Jasne, niech będzie.

– Tylko jak go rozpoznać?

– Czy ja wiem? Pogadaj z Kościuchową, może ona coś zauważyła? Zaraz, zaraz, a ta babka, fryzjerka, czy ona nie mówiła, że facet był bez brzucha i nie łysy? Dobra, chwilowa zmiana planów, idź do fryzjerki, zrób coś z włosami.

– Ale co?

– Co tylko chcesz.

– Zapłacisz?

Powinna była powiedzieć, że w granicach rozsądku, ale coś takiego jak rozsądek u Melki nie istniało.

– Zapłacę – westchnęła – ale ty dowiedz się wszystkiego, co się da. Podobno przystojny, bez brzucha i nie łysy. A i chłopisko.

– Ciotka? Czy to ten sam? – Melka uśmiechnęła się niepewnie.

– No a jak? Ilu miałyby ich być?

– Nie wiem, ale nikt nie myśli o łysinie u chłopaka w moim wieku. Ten opis jakiś nie taki!

– Nie o łysinie, ale może o byciu łysym, że się nie golił na łyso?

– A chłopisko? Tak się o trzydziestokilkulatku nie mówi.

Ada musiała przyznać Melce rację, nikt, widząc młodego chłopaka, w każdym razie nikt w wieku fryzjerki czy tej Ociepkowej nie ocenia go w taki sposób. Mówi się „śliczniutki dzieciaczek”, albo „ładny chłopaczek” albo „milutki”, a nie, że nie łysy albo że przystojne chłopisko.

To nie mógł być ten sam facet, a jeżeli nie ten sam, to czy Marecka miała dwóch adoratorów?

To by mogło powodować pewne zainteresowanie mordowaniem, ale w innej konfiguracji, raczej facet na faceta, a nie żeby któryś zabił Marecką, zresztą kto wie?

– Czy ona przypadkiem ostatnio nie wygrała w totka?

– Nie, a dlaczego?

– Bo te męskie matrymonialne zapędy mnie dziwią.

– Mnie też, ja to patrz – westchnęła Melka żałośnie – niby sroce spod ogona nie wypadłam, a żaden mnie nie chce.

Ada aż się zakrztusiła ze śmiechu. Trudno, żeby ktoś chciał poślubić dziewczynę, która potrafi się podpalić, spaść z drugiego piętra i utknąć głową w gargulcu, i to wszystko jednego dnia. To było bardzo stresujące, ale dotyczyło tylko jej samej, gorzej, kiedy obrażeń doznawali jej partnerzy. Wtedy kończyło się to o wiele poważniej.

Nie byli tak sprytni jak Melka, więc spadali, łamiąc sobie wszystko, urywając mniej ważne części ciała i wydlubując lub wybijając sobie to i owo.

W towarzystwie Melki żaden facet bezpieczny nie był. No, chyba że to był Ma-teusz. Inni mieli przechlapane.

I wcale nie musieli być jej partnerami seksualnymi ani tanecznymi. Sama Ada przez chwilę była partnerką Melki w trakcie karmienia kilkunastu oszalałych z głodu kotów i... obojczyk szlag trafił.

Melka jakoś przemieszczała się pomiędzy pazurami i zębami kotów, jak płomyk albo zwinka, a Ada poszła na kontakt i ucierpiała.

– Znajdź go! – powiedziała w końcu zdecydowanym głosem Ada.

– Ale kogo, męża? – zdziwiła się Melka, bo nie spodziewała się takiej determinacji u ciotki w tej akurat sprawie.

– No męża, przysłego.

– Wiesz, teraz to chyba tylko Mateusz by mnie chciał – powiedziała załamany głosem dziewczyna.

– Oszalałaś?! – krzyknęła w panice Ada. – Chodziło mi o jej, Mareckiej, nie twojego.

– No dobra, dobra...

– A o Mateuszu nawet nie wspominaj! Nie nadaje się! – warknęła, spanikowana samą myślą o możliwości, o której wspomniała dziewczyna.

Melania przeczesła się ręką, jej zmierzwione włosy w kształcie kołtuna naprawdę wołały o fryzjera, jednak Ada zastanawiała się, jaki wpływ ta wizyta może wyrzucić na stan nie tyle fryzury Melki, co całej sprawy.

Odnalezienie tych dwóch, o ile byli to dwaj różni faceci, mogło wiele zmienić.

Ada pozdejnowała z tablic zdjęcia aktorów i poplątane linki. Przypięła kartkę z pytaniami.

Interesowało ją po pierwsze, czy ktoś mógł wejść do domu. I z tego domu wyjść. Tu odpowiedź była prosta – mógł, bo zamek był zatraskowany, więc jeżeli wszedł, wyjście nie stanowiło problemu.

Kto to mógł być? Wszyscy, praktycznie cała okolica, nawet durnowata wróżka Emma, o ile była w okolicy i znała na tyle Marecką, że ta by jej otworzyła.

Czym została otruta Marecka, nie czym w sensie trucizny, ale czym w sensie jedzenia, do którego tę truciznę dodano, bo jeżeli było to morderstwo, to w czymś ktoś jej to podał.

I czy Marecka, zważywszy na możliwość samobójstwa, marną, bo marną, ale którą jednak musieli brać pod uwagę, nie zostawiła jakiegoś listu.

No i ta sałatka.

Czy ktoś, kto zamierza się zabić, robi sobie sałatkę? A właściwie chyba bardziej maskę na włosy?

Wacław Marecki siedział w domu i nie bardzo wiedział, co zrobić, bo śmierć matki dotknęła go do żywego. Nie chodziło o kwestie uczuciowe, bo matki za bardzo nie lubił, ale o pewne kłopoty natury osobistej, bo jej śmierć wszystko mu skomplikowała.

Szczęście było już blisko, a za rogiem majaczył sympatyczny rozwód, a tu ktoś pokrzyżował mu plany.

Ktoś, czyli morderca.

Wacław nie miał już siły do swojej żony. Naprawdę. Nie miał siły ani nawet zamiaru dłużej się z nią użerać. Chciał odejść. Uciec. Rozwieść się. I poczynił ku temu pewne kroki, ale teraz wszystko diabli wzięli.

Żona, która pracowała w markecie na stoisku mięsnym, obrzydła mu już tak dokładnie, że nie miał siły przebywać z nią w jednym pomieszczeniu. Wciąż wydawało mu się, że czuć ją nerkami wieprzowymi albo nieco stęchłymi flakami cielęcymi, nie mówiąc już o specyficznym zapachu wątróbki.

To się za nią snuło, jakby były to perfumy marki Mięcho nr 5.

Mięsny zapach małżonki był uporczywy i trudny do zniesienia, dodatkowo ta surowizna! Brr... Żeby choć ta wątróbka pachniała smażeniną, ale niestety.

Wszędzie czuł krew...

Zresztą to był właściwie tylko taki zewnętrzny pretekst. Takie jego usprawiedliwienie przed sobą samym, on kochał inną.

Dorośle już dzieci nie obchodziły go zbytnio, radziły sobie mniej lub bardziej. On chciał po prostu rozwodu.

Dopóki żyła matka, mógł liczyć na całkowite niezrozumienie z jej strony, awantury ze strony żony, potępienie przez dzieci, ale wszystko to było jakby wliczone w kosztą.

Teraz, niestety, objawiły się dwa problemy. Po pierwsze nagle stał się bardzo zamożny, co żonie z pewnością nie ułatwi wyrażenia zgody na rozwód, po drugie nagle stał się podejrzany, co jemu życia też nie ułatwi.

Zabicie własnej matki, nawet jeżeli to tylko podejrzenie, nie przysporzy mu niczego dobrego, a jego ukochana, ta, z którą miał się związać, będzie musiała nie tylko mu uwierzyć, ale i poczekać.

Strasznie trudno się czeka w tym stanie duszy i w tym wieku.

O ile policja uważała, że matka zabiła się sama, o tyle cała okolica i pół miasteczka uważało, że została zamordowana, część ludzi oczywiście wierzyła

w morderstwo, bo to ciekawsze niż samobójstwo, ale część mogła mieć jakąś wiedzę.

Postanowił pójść do tego nowo otwartego biura detektywistycznego, żeby czegoś się dowiedzieć i żeby oni sami się nim za bardzo nie zainteresowali. Zawsze to lepiej wykonać jakiś atak uprzedzający, jakiś ruch, który da przewagę, nawet jeżeli wcale nie jest konieczny.

Na policję iść nie chciał, bo naprawdę nie wiedział, co miałby im powiedzieć.

Wierzył, że matka samobójstwa nie popełniła, choć w plotki o tym, że wychodzi za mąż, też nie wierzył. Wbrew pozorom taka sytuacja bardzo by mu odpowiadała, bo matka pewnie zostawiłaby majątek swojemu mężowi, a on jako mały, marny gołodupiec miałby łatwiejszy dostęp do rozwodu.

Będąc biednym, miał szansę na szczęście, będąc bogatym niestety nie. Żona by mu na to nie pozwoliła.

Pomyślał więc, że mógłby w sumie zwrócić uwagę tych domorosłych detektywów na własną żonę.

Mogła wiedzieć o wielu sprawach, bo pracowała w sklepie, a ludzie w kolejkach plotkują, mogła mieć donosicieli, bo ludzie potrafią się odwdzińczyć, za sugestię typu „pani nie bierze tego salcesonu, bo tłusty, zaszkodzi pani na cukier”, co oczywiście było interpretowane jako „śmierdzi, zaprzyjaźnionym klientom nie dam”, mogła mieć kogoś, kto za kurze dupki w promocji dał jej cynk, że mąż planuje rozwód, a teściowa ślub. Oba te fakty oddalały ją od pieniędzy, a ona pieniądze kochała.

Czy mogła zabić jego matkę?

Móc mogła, bo nie należała do osób, które uzalają się nad losem niemowląt, staruszek czy bezdomnych kotów.

Muchę bez problemu by skrzywdziła, tłukła je bez litości.

Była wredna do szpiku kości i zachłanna jak mała krowa, ale czy mogła, w sensie – miała możliwość?

Tu niestety, jak mawiał, wiedzy nie posiadał, a chętnie by ją posiadał.

Śmierć matki oddaliła od niego wizję rozwodu i szczęścia z ukochaną, ale też pojawiła się inna opcja. Pojawiło się pytanie: a co, jeżeli Joaśka albo Czarek maczali w tym paluchy?

Niby były to jego własne dzieci, chyba je nawet kochał, ale ich nie lubił, były podobne do żony i podejrzewał je o najgorsze.

Po babce nie dziedziczyły, ale po nim już tak.

Może planowały, że go zabiją?

W pewnych sytuacjach ludzie powinni przestać myśleć, bo wcale im to dobrze nie robi.

Po godzinie takiego myślenia Waław Marecki miał kartkę, na której z lewej wynotował możliwych morderców, a było ich trzydziestu, z prawej zaś możliwe przysze ofiary, ich było nieco mniej, bo ledwie dwadziecia, ale i tak robiło to wrażenie.

Ubrał się i ruszył do domu Ady, po drodze zahaczając o warzywniak.

– Czyli na stole nic nie było? – Ada zapakowała trzy blachy łapówek i wypuściła swoich kolegów na posterunek po wieści. Największą blachę wziął Hubert, bo uważał, że jego misja jest najważniejsza. Szedł prywatnie do patologa. Tamci dwaj też się rozdzielili, jeden szedł do znajomego z drogówki, choć drogówka ze sprawą nie miała nic wspólnego, drugi do sekretariatu, gdzie często urzędowała jego ulubiona aspirant Kozłowska, z którą kiedyś coś go łączyło i której bał się jak diabeł święconej wody.

– Dowiem się, dowiem się wszystkiego – obiecał Edzio – tylko jak teraz myślę, to chyba ta łapówka jest trochę jakby...

– No co? Przypaliła się odrobinę – burknęła Ada. – Idźcie już, a ty, Melka, do fryzjera miałaś iść. Masz tu dwie stowy, powinno wystarczyć!

Hubert wparował z darami do domu patologa, który, choć był jego znajomym, trochę go przerażał. W sumie i patolog, i dom. W domu nigdy jeszcze nie był, ale spodziewał się najgorszego.

Ludzie nie za bardzo kochają ludzi krojących innych, zwłaszcza martwych, ludzi. Niby potrzebne, niby zawód jak zawód, niby nawet medyczny, ale obrzydliwie makabryczny i nie zachwyca.

– Szarlotka? – zdziwił się patolog, rozwijając papier. – To ta mordercza?

– Nie, no coś ty. Zwykła. Ada wczoraj upiekła.

– No to nie świadczy jeszcze o tym, że nie jest mordercza. Ada ma swoje za uszami. Pamiętasz, jak załatwiła pół posterunku bigosem?

– Pamiętam, ale to było niechcący.

– Nie zmienia faktu, w każdym razie idź z tym do saloniku, ja przyniosę talerze. Kawy?

Hubert się ucieszył, bo kawa na kaca była bardzo pożądana, i wszedł do saloniku.

Mimo doświadczenia i wielu lat służby był osobą bardzo wrażliwą. W każdym razie był wrażliwy na makabrę.

Stanął w progu i krzyknął prawie bezgłośnie.

W fotelu, przy stoliku siedział szkielet.

Wyglądał, jakby się uśmiechał. Palił papierosa.

– O ja pierdole – jęknął Hubert – ty nie jesteś normalny!

– Wiem – odpowiedział z kuchni patolog, naprawdę z siebie zadowolony.

Roześmiał się. Słysząc było przez chwilę radosne dźwięczenie przekładanych talerzy.

– Ten papieros, naprawdę... Wiesz... No trochę brak szacunku.

– Papieros? Jaki papieros? – odezwał się zdziwionym głosem patolog. – U mnie się nie pali! Przecież wiesz, jak to wpływa na płuca!

– On nie ma płuc! – odburknął Hubert. Jemu już teraz chodziło tylko o to, że patolog nie powinien w ten sposób zachowywać się wobec szczątków ludzkich.

– Ale Kostek? Oszalałeś, Kostek nie pali! Przecież jest plastikowy, to by mu zaszkodziło! Weź tam Kostka przestaw pod okno, bo się nie zmieścimy – zawołał patolog, zadowolony ze swojego żartu.

Hubert nie wiedział, co ma zrobić, chciał przesunąć szkielet, ale fotel, na którym ten siedział, wydał mu się za ciężki, zresztą był potrzebny, jeżeli obaj zamierzali usiąść. Postanowił złapać szkielet za kręgosłup i go odstawić pod ścianę albo choć gdzieś położyć.

Ze sporym obrzydzeniem podniósł szkielet i podszedł do drzwi balkonowych, uważając, żeby nie zabić się o szafy, szafki, stopy książek i pism branżowych leżących jak popadnie.

– A wiesz, jakie cuda jeszcze wymyśliłem? Zaraz ci pokażę, to dla siostrzeńców na Halloween. Patrz i podziwiaj. Gdzie ja mam tego pilota... – Hubert usłyszał jakieś szuranie szuflad. – O, już mam! – powiedział po chwili patolog radosnym głosem.

Szkielet zaczął wibrować, jego oczy rozświeciły się na niebiesko, a potem dało się słyszeć paskudny śmiech.

Dla kogoś przygotowanego byłby może nieprzyjemny, ale nie straszny.

Hubert nie był przygotowany, dodatkowo powaga sytuacji i miejsca oraz zawód gospodarza nastawiły go na nieco inne wrażenia, a w każdym razie na inny ich kaliber. Ze wstrętem i, co tu dużo mówić, przerażeniem odrzucił szkielet od

siebie, ten wypadł na balkon, a jego wciąż chichocząca głowa odbiła się od bariery, urwała zabezpieczenie i poleciała w dół.

Droga do domu Ady tego dnia wydawała się Mareckiemu drogą przez mękę. Za każdym krzakiem widział morderców albo śledzących go policjantów.

Na dodatek warzywniak był zamknięty, a Mariolka, jego ukochana przyszła żona, czekała na niego przed budą, jakby chciała go o czymś powiadomić.

I powiadomiła.

– Idę do Ady – oświadczyła. – Miałam sen. Na sto procent był proroczy.

Wacław ucieszył się umiarkowanie, bo z Mariolką się nie prowadził specjalnie otwarcie, żeby nie kusić licha. Oczywiście wiedział, że widzi proroczość wszędzie i zawsze, ale na szczęście nie w łóżku.

To znaczy w łóżku też, ale nie w sensie seksu. Tę dziedzinę proroczość omijała tak bardzo, że dwa czy trzy razy spowodowała panikę ciążową, ale na szczęście była to panika nieuzasadniona.

– Co to był za sen? – zapytał Marecki, bo nie mógł nie zapytać, choć ta dziedzina zainteresowań ukochanej wcale go nie fascynowała.

– Twoja matka biegła nago po ulicy, a dookoła niej kłębiła się zamieć śnieżna. Nagość to pomyślność, a śnieg to wieści, czyli powinnam im powiedzieć.

– Ale co?

– No to, że ja widziałam ją z tym jednym takim. Jak byłam w Legnicy, to na ulicy ich widziałam.

– No ale co to zmienia?

– Nie wiem, ale możliwe, że twoja matka wreszcie mnie zaakceptowała.

– Po śmierci? – zdziwił się, bo z jasnych i logicznych względów o swoim rozmianie matki nie informował, więc o akceptacji mowy nie mogło być.

– No, bo ona teraz już jest w zaświatach, więc wszystko wie. Widzi, jak mnie kochasz, więc nam błogosławi!

Niektórzy ludzie zawsze dorabiają sobie teorie do rzeczywistości i niekiedy te teorie nie są nawet spiskowe, ale zazwyczaj też są bezsensowne.

Zaprzeczenie temu, co mówiła Mariolka, nie miało sensu, bo czy matka akceptowała ten związek, czy go nie akceptowała, nie miało znaczenia nie tylko po jej śmierci, ale nawet i za życia. Marecki od dość dawna był dorosły i od dość dawna

nie radził się matki w sprawach sercowych, a tym bardziej seksualnych, jednak to, co powiedziała Mariolka, sprzyjało mu jak najbardziej, więc nie zaprzeczył.

Wtedy z chichotem na Mariolkę spadła świecąca oczami czaszka.

– No i co zrobiłeś?! Zepsułeś mi Kostka! – jęknął patolog. – Po coś ty w ogóle przyszedł? Co?

– Ja w sprawie kota – wyjaśnił Hubert – i od razu ci powiem, że za tę masakrę to mi jesteś winien przysługę. O mało się nie przekreśliłem przez tego szkiele-tora. Dziwaczejiesz coraz bardziej.

Patolog nie odpowiedział. Wyjrzał przez balkon. Pod nim, na ulicy dwoje ludzi wrzeszczało, obrzucając się przekleństwami.

– No dobra. W sumie zrobię sobie drugiego. Co z tym kotem?

– Jest w teczce – wyjaśnił Hubert, pokazując gestem spory czarny przedmiot pod stolikiem, na którym patolog zdążył już postawić filiżanki z kawą i szarlotkę na talerzyku.

– Dziwię się, że jest taki cichy jak na kota i że nie wrzeszczy – zainteresował się patolog.

– Ja bym się zdziwił, gdyby wrzeszczał. – Hubert się skrzywił. – Właśnie go ekshumowałem. Pokroisz mi go?

– O ja pierdołę! – wrzasnęła Mariolka. – Ty mnie jednak nie kochasz! Wiedzia-łam! – zawołała, wściekła i dała Wacławowi porządnie w twarz.

Nie za bardzo zrozumiał, co jego miłość lub jej brak może mieć wspólnego z jakąkolwiek czaszką, nawet latającą, choć zdecydowanie się wystraszył, bo dziki śmiech i błękit przepastnych oczu robiły piekielne wrażenie.

– No co ty? – zapytał, masując sobie szczękę. – Kocham cię, przecież ci mówi-łem! Kocham bardzo.

– A co ona tu robi?

– Ona?

– No ta czaszka od twojej mamuni?

– Zwariowałaś?! – Wacław coraz bardziej zaczynał dostrzegać wszystkie aspekty osobowości swojej ukochanej. Dotychczas bezsprzecznie przeważały

cycki i tyłek. Nagle jednak, choć nie straciły całkiem na znaczeniu, zaczęły blednąć.

Bo w porządku, biust może być nawet genialny, a tyłek cudowny, ale jeżeli głowa, która tymi cudami zarządza, ma takie pomysły, to należy się poważnie zastanowić.

– Zabieram ją! – zawołała Mariolka.

– Ale po co? Zostaw to, ktoś pewnie zgubił. Albo jakieś dziecko wyrzuciło przez okno,

– O nie, nie! To wyraźny dowód, że twoja matka chce mi coś przekazać!

– Ona? A kto?! Przecież to nie jest jej czaszka!

– Na pewno jej! Poznaję po oczach, są takie same jak twoje. No i śmiech też masz podobny. To musi być czaszka twojej matki!

– Dobra, dostarcz go na stół, ja teraz pójdę na dół po czachę – oświadczył patolog.

Hubert zmartwił. Wyjął z torby kota w folii i powstrzymując się od odruchów wymiotnych, położył go pomiędzy talerzykami, po czym postanowił uciec.

Mimo wszystko był zbyt wrażliwy na takie eksperymenty.

Melka wpadła do fryzjera cała w skowronkach i zażądała trwałej oraz szalonych pasemek.

– Jak bardzo mają być szalone? – Fryzjerka popatrzyła na dziewczynę krytycznie, niezbyt pewna, czy da radę sprostać jej wymogom.

– Jak najbardziej. Rób, co chcesz, byle było pięknie.

Piękno jest bardzo względne, dlatego fryzjerka bardzo ostrożnie podchodziła do niektórych zadań.

Są ludzie, którzy za piękne uważają plastikowe kwiaty, i tacy, którzy zachwycają się krasnalami ogrodowymi, więc wolała nie ryzykować, choć Melka nie należała do klientek specjalnie wybrednych czy awanturnicznych.

– Zresztą ja tylko w sumie przy okazji te włosy przyszedłam zrobić, bo ciotka mi kazała. – Melka wzruszyła ramionami. – Chciałam się dowiedzieć, co to za facet, którego podobno widziałas, co z Marecką miał się żenić.

– A kto mówił, że miał się z nią żenić?

– No, ktoś tak mówił. – Melka nie przywiązywała wagi do drobiazgów.

– Ja tylko widziałam, jak razem szli, nie było widać, czy coś, no wiesz, on do niej, ona do niego. To nie tak jak z tobą i Matim.

– No, to znaczy jednak jakoś tak, bo ze mną i Matim to czysta, żywa przyjaźń.

– Aha – burknęła fryzjerka – przyjaźń? Dobra, to u nich też, tylko bardziej. Znaczą mniej.

– Jak bardzo mniej?

– No szli, ale nie pod rękę.

– Ha, bo my to pod rękę chodzimy? Zresztą wszystko jedno. Jak wyglądali?

– Jak stara baba i stary dziad, a jak mieli, do cholery, wyglądać? Jak Meghan i Harry?

– A dlaczego akurat oni?

– A bo coś w nim było z Harry’ego.

– Tego, ło, ło czy Pottera?

– Tego ło, ło!

– Rudy był? – zastanowiła się Melka. – Bo spódniczki w kratę nie uważam za możliwą.

– Tak, masz rację, rudy, ale to właśnie było takie dziwne. Był rudy, ale to było takie dziwne, taki dziwnie rudy, jakby farbowany.

– Facet pofarbował się na rudo? Nie wierzę, chyba by na czarno się przebarwiał bardziej, co?

– No wszystko jedno. Szli, rozmawiali. Dwa razy ich widziałam.

– A może coś usłyszałaś?

– Jasne. Niewykluczone.

– To co to było?

– Niewykluczone, takie słowo, on powiedział, że coś jest niewykluczone.

– A ona?

– Powiedziała coś jak „wolałabym powiedzieć mu to sama”.

– Czyli jednak wychodziła za męża i wolała sama to powiedzieć synowi?

– Niewykluczone – prychnęła fryzjerka.

– A on, ten mąż?

– Ale to miałby być on?

– No jasne. Jak wyglądał?

– No mówiłam, że rudy, ale tak o, to wysoki, nie gruby, ale też nie chudy.

– Normalny?

– A nie, jeżeli tak to ująć, to grubszy niż normalny, taki większy.

– A może coś jeszcze usłyszałaś?

– Nie, ale on dał jej jakąś teczkę. Granatową. I z takim srebrnym czymś, bo specjalnie za nimi poszłam.

Oczywiście, że poszła, bo ploty na temat Mareckiej, jej ewentualne zamążpójście i bogactwa oraz poczynania jej rodziny napędzały życie kulturalne całej dzielnicy, jeżeli nie miasteczka.

Dodatkowo małżeństwo jej syna z pracującą w mięsnym Lušką (co i tak było dla tej dziewczyny awansem społecznym, bo wcześniej Luška była ledwie sprzątaczką, ale, jak to mówiono, umiała pracować tyłkiem) oraz dwoje niewydarzonych dzieci (które ojca miały za nic, pracy się nie imaly, a nawet się narkotyzowały) to wszystko bardzo cieszyło ludzi dookoła, bo sprawiało, że sprawiedliwości dziejowej stawało się zadość, bo patrzcie: taka niby bogata, a syn trafił jak kulą w płot, wnuki takie, że wstyd, więc istnieje jeszcze jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

Ewentualne małżeństwo trochę by psuło ten miły obraz, bo kobieta by mogła być jeszcze szczęśliwa, a to bardzo zabolałoby ludzi dookoła, ale wszyscy podejrzewali, że facet, który by się z nią ożenił, ani chybi ożeniłby się z jej pieniędzmi, a ją samą wsadził do domu starców albo spowodował jakiś wypadek, a o to w pewnym wieku nietrudno.

– Ty, a może ona zapisała mu cały majątek? – zasugerowała Melka podnieconym głosem.

– Ot tak? Przed ślubem? – zdziwiła się fryzjerka.

– No, mogła chyba? – Melka rozwinęła swoją skłębioną wyobraźnię do maksimum. – Wiem! I dlatego ją zabił! Musimy zrobić portret pamięciowy!

– Ale ty umiesz? – Robienie portretów pamięciowych wymaga sporo wiedzy i talentu, o który Melanii nie podejrzewała.

– Ja nie, ale Mateusz umie, on ma takie elektroniczne coś! Zaraz do niego zadzwonię.

Patolog zbiegł przed dom i dopadł Mariolkę oraz Mareckiego zawzięcie kłócących się o to, do kogo należy czaszka. Mariolka w całej swojej ezoterycznej krasie upierała się, że czaszka należy do mamusi Mareckiego i właśnie ich błogosławi. Marecki przyglądał się przepastnym oczodołom, usiłując się ustosunkować do swojego do nich podobieństwa, którym był lekko przerażony.

– Oddajcie mojego Kostka! – zawołał patolog, wpadając pomiędzy nich jak burza, bo choć kontaktów z ludźmi nie lubił, to jednak chciał odzyskać swoją własność.

– To nie jest żaden Kostek, to mamusia! – wrzasnęła Mariolka. – Nie oddam! Jest nasza i właśnie na nas spadła z błogosławieństwem! Czy pan zdaje sobie sprawę, jakie to jest ważne, jakie to jest niezwykle, niesamowite? Mamusia za grobu wpada, żeby nam pobłogosławić? Ja tego tak nie zostawię, ja napiszę do gazet, ogłoszę to światu, opowiem wszystkim.

Święty spokój Mareckiego właśnie szlag trafiał, bo o ile chciał się rozwieść i powtórnie ożenić, to nie chciał o tym opowiadać światu, a już własnej, tej obecnej, żonie tym bardziej, bo to jednak mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje natury tuczonoj. Szczególnie teraz kiedy jego jak dotąd jeszcze obecna i bądź co bądź prawowita małżonka właśnie ostrzyła sobie zęby na spadek.

A więc na całkiem pokaźne sumy pieniędzy, których mogła osiągnąć, jedynie będąc żoną, a to wykluczało polubowne załatwienie sprawy.

– Z mojego balkonu spadła. Nie wygłupiajcie się. To nie jest żadna mamusia, to zwykła plastikowa czaszka! Jest mi potrzebna!

Patolog należał do ludzi bardzo umiarkowanie zainteresowanych kontaktami międzyludzkimi. Dlatego właśnie wybrał taki, a nie inny zawód. Nie ożenił się, bo unikanie kobiet, zwłaszcza tych żywych, weszło mu w krew tak bardzo, że nawet nie był w stanie z nimi rozmawiać. Mariolka za to należała do tych, które potrafią ciąć słowem jak mieczem.

– Won! – wrzasnęła na patologa. – Jest moja! Nie pozwolę sobie odebrać mamusi! I błogosławieństwa! Ona pewnie go nasłała, żeby odebrał mi to, co do mnie prawnie należy.

– Nie należy – mruknął Marecki. – Prawnie jeszcze nie należy – powiedział dość cicho.

Nagle zdał sobie sprawę, co to znaczy być między młotem a kowadłem, i jak bardzo może to być niebezpieczne i groźne dla zdrowia, nie tylko tego psychicznego. Na dodatek Mariolka miała za sobą mamusię, a więc prawo duchowe, a przynajmniej tak jej się wydawało, za to żona miała za sobą prawo ziemskie. Marecki za to nie miał nic. Nawet możliwości odwrotu.

Mariolka złapała czaszkę i rzuciła się do ucieczki. Jak zawodnik rugby, który dopadł piłki i usiłuje z nią uciec z zagrożonego pola.

Czaszka cały czas się śmiała i świeciła.

Wygłądało to tym bardziej makabrycznie, że upchnęła ją sobie pod pachę. Mariolka z czaszką jawiła się trochę, jakby biegła, dusząc kogoś biustem.

– Gównu mi zrobisz! – wrzasnęła jeszcze do patologa. – Podam cię do sądu o nękanie, oszustwo i o preparowanie zwłok, ty konowale pieprzony – dodała, nikiąc w oddali jak makabryczny dusiciel, który okrasza zbrodnie śmiechem szalonego naukowca.

Marecki oniemiał. Wszystko się pieprzyło. Gdyby matka nadal żyła, byłoby w porządku, ale tak? Czekał go koszmar.

Kochał swoją Mariolkę i chciał, żeby została jego żoną, ale w tym wydaniu była zdecydowanie zbyt podobna do tej jednej, którą już miał.

Ponoć ciągnie swój do swego, a ludziom zadziwiająco często zdarza się trafiać na bardzo podobnych partnerów życiowych, choć oczywiście wcale tego nie pragną.

Marecki nie chciał drugiej pierwszej żony. Co to to nie! Chciał słodkiej Mariolki z dużym cycem, a nie wrednego potwora z pretensjami o zapachu wątróbki. Potwór był o zapachu wątróbki, pretensje pachniały siarką i ogniem piekielnym.

Patolog nie miał ochoty ganiać za Mariolką. Chcąc nie chcąc, wrócił do domu. W drzwiach wpadł na ewakuującego się właśnie Huberta.

Jego mina wiele mówiła, ale trudno było się zorientować, o czym dokładnie.

– No co ty, mieliśmy przecież zjeść po kawałku szarlotki. – Wepchnął go z powrotem do saloniku. Na stole stał śmierdzący pakunek. – Co to jest? – zapytał niepewnym głosem.

– Kot. – Hubert wzruszył ramionami. – Sam mi kazaleś postawić go na stole.

– Powiedziałem, żebyś mi go dostarczył na stół. Na stół! Dostarczył na stół do prosektorium! Przecież nie będę kroił go tutaj! Oszalałeś? Zabierz to cholerstwo, bo jeszcze nam szarlotkę zapaskudzi – stwierdził i bez specjalnych zahamowań wpakował sobie do ust pokaźny kawał ciasta.

Podobno ludzie szybko się do pewnych rzeczy przyzwyczajają, a patolodzy i lekarze sądowi mają naprawdę dziwne przyzwyczajenia, ale tego było zbyt wiele.

Hubert mimożę nie był, ale nie dał rady. Zwymiotował, a że starał się to robić dyskretnie, zapaskudził wszystko dookoła, zanim dobiegł do łazienki.

Mateusz dotarł do zakładu fryzjerskiego, dokładnie w momencie kiedy spod wielkiej suszarki wyłoniła się czerwona głowa Melki.

Była wielka, nastroszona, pokręcona i skudłana.

– Coś ty zrobiła? – jęknął. – Wyglądasz, jakbyś miała na głowie bezę z surowych wnętrzności. Czy to musiało być takie czerwone?

Oczywiście każdy ma swój gust i kobiety mają prawo robić ze swoimi włosami, co im się naprawdę podoba, i nikomu nic do tego, ale oczy... Od tego koloru łąawiły mu oczy.

– Oj tam, oj tam, spłucze się. To tylko szampon koloryzujący, ale że robiłam po trwalej, to się trochę włosy przesuszyły.

Melka była zadowolona. Wyglądała zdecydowanie jak wielki krwawy klaun, który włożył głowę wraz z czupryną do pojemnika z surową wątrobą wieprzową.

Melka jednak widziała chyba coś innego, bo spojrzała w lustro i uśmiechnęła się z zachwytem.

Niby miały wyjść kolorowe pasma, ale czerwień była tak mocna, że zabarwiła wszystko.

– Jest pięknie – powiedziała. – Ciotka się ucieszy!

Mateusz oniemiał, ale nie chciał odbierać koleżance radości życia, a podejrzewał, że tego ostatniego niewiele jej jeszcze zostało, bo jak ciotka zobaczy to coś na jej głowie, to dostanie zawału, ale, co niewykluczone, najpierw zabije Melkę.

– Trochę wątpię – mruknął Mateusz. – Mówiłyście coś o portrecie? Pamięciowym? Super. Jeszcze tego nie robiłem. No to zaczynamy! – zawołał radośnie, bo po raz pierwszy mógł wreszcie sprawdzić, jak działa jego nowy graficzny gadżet. Nie, Mateusz nie był uzdolniony plastycznie, ale bardzo wierzył w swoje siły i możliwości, był jedną z ofiar internetowego coachingu. Za głęboko i za mocno wziął sobie do serca wszystkie te rady, które brzmiały mniej więcej „dasz radę, kto jak nie ty, uda ci się, spróbuj”. I o ile w przypadku tego programu nie był to jakiś większy problem, bo rysunek (zazwyczaj) nie zabija, to jednak kiedy próbował zdjąć kota ze słupa wysokiego napięcia bez drabiny i butów z hakami oraz oczywiście bez zabezpieczenia, te internetowe zalecenia kosztowały go wielokrotne złamanie nogi i kilka miesięcy w gipsie. Na szczęście nie dotarł na tyle wysoko, żeby zostać porażony, ale szramy od kocich pazurów nadal miał na plecach i czasami prezentował je napalonym panienkom jako efekty miłosnej gry wstępnej.

Oczywiście nie z kotami.

– Najpierw twarz – oświadczył, jakby w ogóle brał pod uwagę inne części ciała, a przecież nie brał, to miał być tylko portret – to znaczy kształt twarzy, jaki był? Kwadratowy? Trójkątny? Czy może lekko jajowaty?

Ani Melka, ani fryzjerka na obrysach twarzy za bardzo się nie znały, choć ta ostatnia z racji zawodu była nieco bliżej tematu. Jako pierwsza wyrwała się jed-

nak Melka, co dziwiło Mateusza.

– Ta może być – stwierdziła, pokazując jeden z owali, które miały stać się podstawą portretu.

Mateusz był na tyle inteligentny, by z kobietami się nie kłócić, ale czasami to ryzyko podejmował.

– A ty go w ogóle widziałaś? – zdziwił się, bo dotychczas nigdy o tym nie wspominała.

– Nie, no co ty? – obruszyła się Melka. – W życiu!

– No to dlaczego ty wybierasz twarz? – zapytał niewinnie, choć zdawał sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

– No tak sobie. Pomyślałam, że mogłoby to być to. – Melka wzruszyła ramionami. – Jest fajna.

– Nie ma być fajna, ma być podobna.

– Myślałam, że się nada...

– Ty lepiej nie myśl – warknęła Ada, która właśnie weszła, zwabiona podstuchaną rozmową telefoniczną pomiędzy Melką a Mateuszem. – Jezus Maria! – do dała po chwili, łapiąc się za serce. – Co ty masz na tym łbie? Czy to jest mięso mielone? Zdejmij to natychmiast.

– Oj, ciotka, przestań! To afro... coś tam. W kolorze burgunda. Piękne!

– Straszne! Obrzydliwe, naprawdę przerażające! Idź natychmiast do domu i to zmyj! Już!

– Ale... Przecież to szampon koloryzujący. Zejdzcie!

– To niech jak najszybciej choć trochę zejdzie, bo ja cię nie chcę widzieć w tym masakrycznym kolorze! A ty – zwróciła się do fryzjerki – pomóż z tym portretem, ale już! Ja muszę iść do Mareckiej, synowej nieboszczki, i dopytać o wszystkie plany jej teściowej.

– A bo ona je znała? – zdziwiła się fryzjerka, bo miłości pomiędzy starszą a młodszą panią Marecką próżno by szukać.

– Znała, nie znała? Tego nie wiem, ale czasami coś się wie, choć się tego nie wie. – Ada wiedziała swoje, od kiedy przez jakiś czas była przekonana, że z Edziem jest coś nie tak, wiedziała, że coś się stało, czuła całą sobą, że Edziowi potrzeba wsparcia, bo jest jakiś dziwny, a dopiero potem zdała sobie sprawę, że zgolił wąsy. Była to odwrotność sytuacji obecnej, ale wierzyła, że taki stan wiedzy i niewiedzy może działać w obie strony.

Dlatego po rozmowie z synową wiele sobie obiecywała.

Oczywiście do niej też szła z łapówką, ale nie była nią szarlotka.

Ciasto w kontaktach czysto kobiecych ma złe konotacje, wiąże się z tuczeniem i cellulitem, a na dodatek przynoszenie pani domu czegoś, co ona sama powinna umieć upiec, to w dwójnasób obraza, jak umie i jak nie umie.

Wódka nie pasowała. Wino było zbyt babskie. Ada postawiła na krem przeciw przebarwieniom firmy tak znanej, że jej wyroby kosztowały krocie.

Synowa nieboszczki przebarwień nie miała, więc można go było jej dać. Bo gdyby miała, to oczywiście byłaby obraza, zostałyby to potraktowane jako wytykanie palcami i aluzje do tego, że o siebie nie dba.

Melka wyszła z zakładu, ale nie zamierzała oddalać się od Mateusza. Postanowiła przeczekać ciotkę w krzakach.

Ada też przez cały czas aktywnie szykowała się do wyjścia, ale była ciekawa rezultatów pracy nad portretem.

– Myśli pani, że jest po co tam iść? Ta jej synowa cokolwiek powie? – westchnęła fryzjerka z bardzo niedowierzającym grymasem.

– Powie, powie, bo po tym, jak wykryliśmy sałatkę na głowie denatki, to policja zaczyna coraz poważniej myśleć o...

Tu westchnęła i skrzywiła się, nie kończąc.

– O cateringu? – zapytała fryzjerka.

– Nie, o morderstwie. Psycholog się wypowiedział i stwierdził, że osoba, która nakłada na głowę sałatkę, nie zamierza popełnić samobójstwa, to znaczy, może zamierza, ale nie w tej konkretnej chwili.

– Mnie to się widzi, że jak ktoś nakłada sobie na głowę sałatkę, to nie jest normalny, a wariat może wszystko! – zawołała z krzaków Melka.

– Idź stąd! – warknęła Ada.

– Sałatkę? Na głowę? Sobie nałożyła? – zapytała zaszokowana fryzjerka. – Marecka? Stara?

– A coś ty taka zdziwiona?

W zdziwieniu fryzjerki było tyle zaciekawienia, że Ada, która zawsze zdecydowana była pytać dokładnie o wszystko, sama bardzo się zaciekawiła.

– Zaskoczona jestem, bo tak z tydzień przed śmiercią była u mnie i robiła sobie trwałą – wyjaśniła fryzjerka, niewiele jednak wyjaśniając, bo nie było to nic niezwykłego, pół miasta robiło sobie trwałą, a u tej konkretnej fryzjerki przynajmniej jedna czwarta. I to wcale nie same kobiety.

– No i co z tego? To dziwne? – Ada nie umiała jakoś poczuć wagi tej wiadomości. – Dlaczego?

– Oj, pani Ado, pani to Mareckiej nie znała? Przecież ona skąpa była jak rodowita krakuska ze szkockim rodowodem. Nie robiła takich rzeczy. Przyciąć, przeczesać, jakąś płukankę wałnąć i tyle, a tu trwała? A potem jeszcze ta sałatka, ze trzy awokado musiało na to pójść.

– No wiem, że kupiła trzy.

– Właśnie! Pani policzy! Po dwanaście złotych za jedno. Chyba że była promocja w Biedronce, ale i tak drogo. Ona na siebie nigdy nie wydawała.

– Oszczędna była – westchnęła Ada.

– Oszczędna to jest żarówka ledowa, a ona była skąpa jak Ebenezer Scrooge, ale ona, jakby ducha jakiegoś zobaczyła, to jeszcze by chciała na nim zaoszczędzić. Nie, baba miała pieniądze, ale była okrutna, zresztą przede wszystkim dla siebie. Dlatego jak mi za trwałą zapłaciła i się nawet uśmiechnęła, to poczułam, że coś jest nie tak.

– Ale co?

– Może była jakaś podrabiana?

– Ale co było podrabiane? Trwała czy zapłata?

– Marecka!

– Dobra, przestańcie, my tu mamy portret do odwalenia! No, która twarz ci brzmi znajomo, tfu! Wygląda.

Układanie twarzy z takich puzzli wcale nie jest łatwe.

Przez dłuższy czas wybierali owale, potem fryzury, potem nosy, usta, oczy, raz po raz zmieniając to i tamto, w końcu fryzjerka przekrzywiła głowę i spojrzała krytycznie na ich dzieło. Trochę jej własne, trochę wspólne.

– Tak, to jest to! – powiedziała z zadowoleniem.

Ada zawisła nad laptopem.

– Elvis Presley? – zapytała zaskoczona.

Oboje z Mateuszem pochylili się nad laptopem. Byli tak blisko, że aż zakręciło im się w głowach. Fryzjerka na dodatek, pochyłając się nad siedzącym z laptopem na kolanach chłopakiem, nieco wyeksponowała swój obfity biust.

Był wyeksponowany przez cały czas, ale teraz został podstawiony wyraźnie pod oczy, no i nos Mateusza, o ustach nie wspominając.

– O ty, krowo! – wrzasnęła Melka, wyskakując z krzaków, by wałnąć fryzjerkę z całej siły w plecy, co prawda gołą, ale silną ręką.

Biust fryzjerki poderwał się wraz z nią, napał na Mateusza i prawie wybił mu zęby, w każdym razie przyciął mu wysuwający się w czasie pracy artystycznej język.

Fryzjerka odwróciła się jak na komendę i trzasnęła Melkę w głowę. Zwaliała jej już i tak poklejone okulary. Następnie z całą premedytacją kopnęła ją w kostkę nogą obutą w modnego glana.

– No co? Ja ci życie ratuję, a ty mnie kopiesz jak jakiegoś psa? Szerszeń siedział ci na tyłku! – jęknęła Melka i nikt nie był w stanie powiedzieć, czy było to prawdą czy nie, choć gdyby się zastanowić, to taki atak gołą ręką na szerszenia mógł spowodować sporo obrażeń zarówno u tej, na której on siedział, jak i u tej, która waliła.

Pomysł, że Melka zaatakowała z zazdrości, nie zaświtał w głowie nawet samej Melce, choć szerszeń był nieco wyolbrzymiony.

Mateusz, trochę podduszony biustem oraz rezultatami pracy graficznej z fryzjerką, zdecydował się jednak podjąć zadania raz jeszcze.

W końcu możliwe było, że coś z tego wyjdzie.

Edzio, zaopatrzony w szarlotkę, powędrował na posterunek bez większych oczekiwań, ale on lubił działania wyprzedzające. Nie „ja tobie szarlotkę, ty mnie wieści”, choć i tak się zdarzało, ale raczej było to na zasadzie „dziś przyniosłem szarlotkę, jutro bezę, a pojutrze będziesz zmuszona coś mi powiedzieć, bo będzie ci zwyczajnie głupio i nawet jeżeli niewiele możesz, bo to tajemnica, tamto poufne, a to niepewne, to dasz radę coś zasugerować albo jakoś tak o czymś wspomnieć, że szarlotka nie zostanie zmarnowana, a Edzio będzie miał, czego mu trzeba”.

Tu nie było problemu z tuczeniem czy cellulitem, bo dawką słodkości był mężczyzna, więc nie można go było podejrzewać o typowo babskie intencje.

Zresztą na posterunek poszli obaj, Mundek też tam poszedł, uginając się pod ciężarem słodkiej łapówki, ale on zmierzał do innego działu. Najpierw zahaczył o paszportowy, choć nie było mu to do niczego potrzebne, potem obłaskawił kilka koleżanek z drogowki, w końcu dotarł do jednej ze swoich dawnych podwładnych, u której zabawił nieco dłużej.

Kiedy Ada dotarła do domu Mareckiej, tej młodszej, bo przecież nie mieszkały razem, ta czekała na nią bardzo zdenerwowana na schodkach.

Dom był trochę klockowaty, trochę zniszczony, ale był to dom, a dookoła istniał ogródek, nie za bardzo piękny, ale taki na pokaz, kwitły w nim zdecydowanie te kwiaty, które nie wymagały zbyt dużo pielęgnacji.

– Czyli jednak ktoś ją zabił? – wypaliła gospodyni od progu i wprowadziła gościa do saloniku na parterze, w którym królował subtelny, ale wyraźny zapach surowej wątróbki.

Ada pociągnęła nosem, zdziwiona.

– To te patyczki. – Marecka wskazała na żarzące się pałeczki zapachowe. – Pięknie pachną, prawda?

Nie było sensu stwierdzać, że nie. Zresztą nawet nie wypadalo, nie mówiąc o tym, że nikt tego po prostu nie robi, żeby nie robić przykrości gospodarzowi.

– No na to wygląda.

– Że pięknie?

– Że ktoś ją chyba zabił. – Ada pokiwała głową, siadając w fotelu.

– No to będzie na mnie – westchnęła Marecka.

Młoda Marecka, która miała na imię Luśka, była dużą kobietą o urodzie dość pospolitej, zrobioną na szalony blond i ubraną w krzykliwe ciuchy.

– Ale dlaczego ma być na panią? – Ada usiłowała zdobyć zaufanie kobiety, ale to bywa czasami trudne.

– Wacek, mój mąż, dziedziczy – wzruszyła ramionami – więc mogłam zabić dla niego.

– Aż tak bardzo go pani kocha? – Ada pomyślała, że wiele jest kobiet, które dla mężczyzn swojego życia robią wiele głupot, ale zabijanie nie jest w takim wypadku najlepszym pomysłem, bo usługane kobiety, te bardziej czy choćby mniej zakochane, trafiają do więzienia, gdzie mężczyźni nawet ich nie odwiedzają, układając sobie życie z innymi.

– A tam, zaraz kocham, przyzwyczałam się, a on w sumie chłop jak chłop, ani cud boski, ani diabeł. Ma swoje za uszami, ale mordercą nie jest. Chyba – dodała pospiesznie na koniec, tak dla zabezpieczenia.

– A jest pani pewna, że on dziedziczy? – Ada chciała podpytać o testament, ale nie chciała robić tego zbyt otwarcie.

Luśka roześmiała się głośno, ale niezbyt przyjemnie. W tym śmiechu radości nie było.

– Pewna? No, a kto miałby dziedziczyć? – zapytała, wręcz zaszokowana.

– Podobno Marecka miała za mąż wychodzić? – rzuciła Ada, obserwując reakcję kobiety.

– No, ale nie wyszła. – Luśka się uśmiechnęła, tym razem jakby z zadowoleniem.

– Ale miała?

– A bo z nią to się do ładu doszło? Nie wiem! Czasem wydawało się, że tak, czasem, że nie. Czasem coś bąknęła, że ona to teraz będzie nad własnym szczęściem pracować, a nie nad cudzym, a następnego dnia do trumny się kładła.

– To znaczy?

– No te jej takie jęki i kwęki, że ona stara, biedna, że długo już nie pociągnie, a po mojemu to ona powinna i mnie przeżyć, taka twarda była.

– Lubiała ją pani? – Ada zadała to pytanie, choć chyba знаła odpowiedź.

– A da się lubić teściową? – Luśka skrzywiła się z przekąsem. – Ale wie pani, nawet gdyby się dało, to jednak jej nie. Ona była wredna jak mało kto i upierdliwa jak dziecko w kąpielu. A marudna? Strasznie! No i skąpa.

Skąpstwo starej Mareckiej wyraźnie było widoczne w postaci domu, który ona dała młodym zaraz po ślubie. W końcu dom nie był pałacem, a na jego utrzymanie oni sami musieli pracować, ale tak to już bywa ze skąpymi teściowymi.

– A ten jej mąż? – poddała Ada, aby podtrzymać gasnącą rozmowę.

– Ten, co umarł? – dopytała Luśka.

– Nie, ten, co miała za niego wyjść! – Adę interesował nowy mąż, stary, zmarły lata temu, nie powinien był mieć w tym momencie żadnego znaczenia. – No bo skoro taka była, to jak on się w niej zakochał? Gdzie? Skąd go wzięła?

Luśka znów się skrzywiła, ale tym razem z jakimś takim obrzydzeniem.

– Nie wiem, nie widziałam go, ale moim zdaniem on się w niej nie zakochał. Pewnie chodziło o pieniądze. W nich to się zakochać mógł, i to na zabój!

Luśka oceniła sprawę jak zawsze młodsze kobiety zazdroszczące starszym powodzenia, ale tu mogła się nie mylić.

– Bo on, zdaje się, młody był? Młodszy od niej?

– Nie wiem, niech pani pogada z moją Joąską, jest na bazariku, ona chyba go widziała, ale co pani powiem, to powiem, ludzie będą obwiniać mnie, ale możliwe, że to on ją zabił, ten mąż.

Luśka znalazła wreszcie winnego i z zadowoleniem usiadła przy stoliku, nawet nie proponując Adzie herbaty, co było dość niezwykle. Musiała się gdzieś spieszyć.

– Nie miał po co jej zabijać! – Ada zrobiła niezadowoloną minę, jakby była wściekła na tego faceta, któremu nawet nie chciało się zabić narzeczonej.

– Jak to? A pieniądze? – Luśka wiedziała swoje.

– Nie byli przecież po ślubie, nie dziedziczył po niej, a nawet gdyby byli po ślubie, to też nie takie proste, chyba że coś w testamencie mu zapisała.

– Mogła. Ona nie była normalna, a ostatnio to nawet ciuchy zaczęła sobie kupować.

– Co w tym dziwnego?

– Miała siedemdziesiąt sześć lat i nigdy, naprawdę nigdy się nie stroiła, nawet na nasz ślub ledwie wymusiłam na niej bazarową garsonkę za grosze, bo jej było szkoda, a teraz nagle? Ciuchy? Pani zajrzy do jej szafy. Toż to aż...

– A pani zaglądała?

– Nie, ja? No co pani? W życiu nie zaglądałam.

– To skąd pani wie?

– Bo wiem. Nie będę się przed panią tłumaczyć, z policji pani czy co? I w ogóle niech pani już idzie, co mi pani będzie dupę zawracać, ja do pracy zaraz wychodzę.

Wyrzuciwszy Adę, Luśka Marecka z zaciekawieniem zabrała się do oglądania kremu, który Ada jej przyniosła.

Była zdania, że prezent to prezent, nie oddaje się prezentów, bo to nieładnie, zwłaszcza jeżeli są drogie.

Wiele kobiet nie zwraca uwagi na daty na opakowaniach, Luśka też na nie nie zwracała uwagi, zwłaszcza że widziała, jak market obchodzi się z terminami ważności na opakowaniach. Gdyby chcieć to określić, powinno się powiedzieć, że obchodzi się „bardzo swobodnie”. Szczególnie na mięsie.

Luśka zauważyła, że jakoś ludzie nie padają pokotem od zatruc.

Kosmetyków się przecież nie je. Więc nie ma za bardzo po co się im przyglądać.

Krem ładnie pachniał. Wysmarowała się nim dokładnie.

Luśka obejrzała się w lustrze i żadnych przebarwień nie dostrzegła.

Wkrótce, ku jej przerażeniu, ten stan miał się zmienić.

Kiedy Ada wychodziła od Mareckiej po tej niezbyt owocnej rozmowie, koło klombu ułożonego z pobielonych opon wkopanych w ziemię zaczepił ją młody chłopak z dredami i czapką w stylu Boba Marleya.

Od razu wiedziała, że to musi być Czarek Marecki. Narkoman. Skąd wiedziała, że narkoman? Oczywiście z plotek, ale też z powodu jego wyglądu, dredy, Bob Marley – to zawsze kojarzy się jednoznacznie, choć nie zawsze powinno.

Poza tym miał taką minę, jakby właśnie się naćpał.

– Pani od tych, co to Melce pomagają w tej jej agencji? – zapytał chłopak, wprawiając tym samym Adę w osłupienie. Dotąd nie wiedziała, że pracuje dla Melki. Jakoś sądziła, że jest odwrotnie, ale był to szczegół, a stan umysłu tego zac zadzowanego narkotykami chłopaka wiele wyjaśniał.

– No i? – zapytała, nie bardzo chcąc mu tłumaczyć zawilosci struktury organizacyjnej ich biura. W końcu nie było to nic istotnego.

– Sro i! – odburknął i roześmiał się leniwie, co było bardzo dziwne. – Pani nie słucha matki. Babka była w porzo! Naprawdę, oni jej nie rozumieli i srali na nią na każdym kroku, ale babka nie była głupia – powiedział, dziwacznie przekrzywiając głowę, jakby chciał się lepiej przyjrzeć swojej rozmówczyni.

– Nikt nie twierdzi, że była głupia! – zawołała Ada, bo choć wiele o Mareckiej, tej starej, słyszała, to jednak nie to. Mówiono, że skąpa, że cwana, że kuta na cztery nogi, że samego diabła by z kopytami zjadła, jakby jej podpadł, albo może w sałatce, ale nie że była głupia.

– Jak to nikt, pół miasta plotkuje, ale mnie to bardziej chodzi o to, żeby znaleźć tego, kto jej to zrobił – westchnął trochę smutnym głosem, a tego smutku akurat Ada się po nim nie spodziewała.

– Nie wierzy pan w samobójstwo?

– To nie ma dla mnie znaczenia, bo nawet jeżeli to było samobójstwo, to ktoś ją do niego zmusił, a więc trochę ją zabił, tyle że jej własnymi rękami, choć babka taka nie była.

– Jaka?

– No taka, co by się dała z dachu zepchnąć. Tak w przenośni. Ona by prędzej kogoś zagryzła, a potem zrzuciła, no ale właściwie to nie wierzę, ktoś musiał ją zabić, ale nie wiem kto. Najbardziej to mi matka pasuje, ale ona nie miałaby po co.

– Dla ojca? – Ada delikatnie skierowała rozmowę na to, co interesowało ją najbardziej, a o co pytać zawsze najtrudniej, szczególnie samych zainteresowanych.

– Jasne. Bo ona nie wie, że on kombinuje z Mariolką? Wie przecież! Tysiąc kum jej doniosło, zresztą ona też święta nie jest, ma takiego jednego na boku, głupi nie jestem, widzę różne rzeczy.

Bycie postrzeganym jako wiecznie zamulony narkoman ma swoje zalety. Ludzie się nie krępują, sądząc, że albo nie usłyszy, albo nie zapamięta, a w ogóle to kto mu uwierzy? Przy takich osobach ludzie więcej mówią, spodziewając się, że i tak nie będzie w stanie skojarzyć, o co chodzi, mniej się krępują, skoro jest narkomanem, to na sto procent odwał już takie cuda, że nikt nie byłby w stanie go

zaszokować, oraz właściwie przez cały czas przysypia, więc wszystko weźmie za senne majaki.

Ludzie po prostu się nie przejmują jego obecnością, jakby w ogóle go nie było.

– No i widzi pani, na dodatek z babką dało się pogadać – dorzucił chłopak, wzdychając.

– Nie miała nic przeciwko? Temu... no... – wskazała głową na klomb, nie wiadomo dlaczego jakoś łącząc go z narkotykami albo może po prostu z zielskiem, no a zielsko to też trochę zioło, a właściwie odwrotnie.

Cezary roześmiał się znów, ale tym razem nieco mniej leniwie. Zdjął z głowy czapkę razem z dredami, pogładził ręką łysą głowę i puścił oko do Ady.

– Chodzi pani o zioło? Babka niejedną raz sama ze mną zapaliła, potrafiła być wyluzowana. Wie pani, babka miała ciekawe życie i ciekawe podejście do życia, a poza tym umiała zarabiać pieniądze i trzymały się jej, a to rzadkość nie tylko że, wie pani, u kobiet, czy coś o tak, a to w ogóle rzadkość, bo jak tylko ktoś zrobi albo wygra, to mu odbija, a babce, nie.

– A to w końcu prawda, że miała wyjść za męża? – Pytanie to, choć właściwie nie dotyczyło tego, czy babce odbiło, czy nie, to jednak doskonale się w ten temat wpasowywało.

– Moim zdaniem aż taka głupia nie była. Po co jej to było? Znowu opierać chłopca, gotować mu i znosić jego fochy? Jednego już miała. Pijus był, menel straszny, a co ludzie gadają? Że go głodziła i dlatego pojechał na grzyby.

– No fakt, sama słyszałam.

– Bo to miasteczko jest jedną wielką wytwórnią bzdurnych plot. Dziadek miał w lesie bimbrownię, tam pojechał, nachlał się, wracał pijany motorem, dla niepoznaki nazbierał muchomorów. I tyle! Muchomory były dla policji, gdyby zapytała, gdzie się tak ubzdryngolił, albo po co on po pijaku do lasu pojechał. No ale się w walec drogowy wpierdolił, a wszyscy, że z głodu umarł. Biedny, nieszczęśliwy, żona go głodziła.

Fakt, takie plotki Ada słyszała, ale ona doskonale wiedziała, jak działają kobiety. One po prostu tak bardzo nie lubią innych kobiet, że zamiast sobie pomagać czy się wspierać, obrabiają sobie nawzajem dupy, tylko po to, żeby jakiś facet, nawet w sumie martwy, był zadowolony.

Chłopak wydał się Adzie nad wyraz interesujący i wyjątkowo bezkompromisowy, a poza tym rzadko spotyka się ludzi, którzy potrafią spojrzeć z dystansem na swoje własne rodziny.

– Ale dlaczego wszyscy tak...

– Pyta pani, dlaczego wszyscy tak się babki czepiali? Jakby pani nie wiedziała. To proste! Miała pieniądze, nie dawała sobie w kaszę napluć, potrafiła dać w kość każdemu, to nie była biedna babcia z *Czerwonego Kapturka*, którą trzeba ratować! Ona chwila moment i zjadłaby wilka! Teraz to modne są nieszczęsnice. Takie, co to słoika nie otworzą i potrzebujące pytać faceta, czy kupić sobie ciuch czy mopa. I wie pani, co wychodzi? Latają z tym pieprzonym mopem i krzyczą, że są dyskryminowane, zamiast zająć się sobą.

– A skąd ty taki feminista? – Ada otworzyła oczy ze zdumienia.

– To zasługa Melki! – odpowiedział z uśmiechem. – Zarywam do niej bezowocnie od lat, no ale co tam. Biedny żuczek jestem.

Tu poprawił nakrycie głowy, bo dredy zasłoniły mu twarz, przekręciwszy się do przodu.

– Ktoś ostatnio u babki był? – powiedział po chwili raczej niepewnie.

– A skąd wiesz? – Ada dość swobodnie podchodziła do młodych ludzi i raczej rzadko mówiła im na pan, choć i to się zdarzało, ale mówienie pan do tego dźwięka zupełnie jej nie pasowało.

– Z różnych źródeł, ale też z obserwacji, męskie slipy widziałem w ogrodzie na sznurku. Skoro wisały, to ktoś je uprał, a nie była to babka, bo ona nikomu nie usługiwała, czyli ktoś tam pomieszkiwał, ale znowu serca ze złota to ona nie miała, więc nie był to bezdomny, którego przygarnęła, to musiał być ktoś zaznajomiony. Ktoś ważny.

– Przyszły mąż?

– Slipy wyglądały na modne i młode, takie stringowate, więc chyba nie.

– Po gaciach poznajesz wiek faceta? Zdurniałeś?

– Nie, ale to było widać... No, czułem to i jeszcze jakby kogoś widziałem w oknie i na pewno nie był starym dziadem.

Określenie „stary dziad” zmienia się z wiekiem.

– Czyli? – Ada musiała tego dziada jakoś wiekowo dookreślić.

– No, pięćdziesiątki nie miał.

– Bo ja słyszałam, że miała wychodzić za jakiegoś chłopca o trzydzieści lat młodszego od siebie.

Chłopak popatrzył na Adę z niedowierzaniem.

– Babka nie była kretynką! – powiedział bardzo zdecydowanym tonem, ale dla Ady to było mało wiarygodne.

– Może się zakochała?

– Babka? – roześmiał się ze złośliwym niedowierzaniem. – Przecież mówiłem, że nie była kretynką. Pani mnie nie słucha. Owszem, miała swoje romantyczne odbicia, ale nie takie. Książki czytała, czasem wzdychała do tureckich seriali, czasem, ale miała swój rozum.

– No to kto to był? – mruknęła Ada zdesperowanym głosem. – Ktoś z rodziny?

– Nie mamy żadnej rodziny, w każdym razie takiej, którą babka by akceptowała.

– A ty?

– Znaczy co ja?

– Też mogłeś ją zabić – stwierdziła niepewnie, bo jednak nie za bardzo chciała chłopaka zdenerwować albo przestraszyć. No i oczywiście status narkomana sprawiał, że się go trochę obawiała, z takimi to nigdy nic nie wiadomo.

– Ale po co? Żywa babka dawała mi tyle forsy, ile było mi potrzeba, a martwa babka? Bez sensu.

– No ale ojciec odziedziczy, to może coś i tobie by wpadło.

– Mnie? Nie. Ojciec to wpakuje wszystko w pieprzoną Mariolkę, a jeżeliby mu się nie udało, to matka wpakuje wszystko w Joaškę, ja jestem czarną owcą, najchętniej by się mnie pozbyli. Mnie akurat śmierć babki nie przyniosła niczego dobrego. I nie przyniesie – westchnął. – Idzie pani do swojej szefowej i jej powie, na sto procent potwierdzi moje słowa. Melka jest niegłupią dziewczuchą.

– I to ona jest moją szefową? – zapytała złośliwie Ada, trochę jednak dotknięta taką możliwością.

– No oczywiście, to nie wie pani, dla kogo pani pracuje? Melka sama mi mówiła, że zakłada agencję z Mateuszem, ach, ale ja mu zazdroszczę. Też bym chciał!

– Do agencji?

– A tam, praca mnie nie kusi, do Melki.

– Przecież ona jest porąbana! – jęknęła Ada, choć oczywiście z jednej strony nie chciała chłopaka zrażać, z drugiej strony nie nadawał się. No, był narkomanem przecież.

– Co pani opowiada, jest zajejbista.

Chłopak opuścił Adę i wrócił niezbyt pospieszonym krokiem do domu.

Luśka, jego matka, właśnie zaczynała się drapać.

Chłopak popatrzył na nią spod półprzymkniętych powiek i miał ją zapytać, czy te sine wypryski na jej twarzy to efekt zamierzony, czy też jakiś przypadek zwią-

zany z możliwą alergią, ale zrezygnował. Ta wiedza nie była mu do niczego potrzebna.

Ada miała ochotę udusić Melkę.

Początkowo ten układ, o którym powiedział jej Cezary, czyli to, że szefową, ba, nawet właścicielką agencji jest Melka, tylko ją rozbawił, ale potem zdała sobie sprawę, że Melka beczelnie rozgłosiła tę plotkę, jedynie po to, żeby podnieść swoje notowania u facetów. To było żałosne.

Obrzydliwe i paskudne. O ile Ada mogłaby jej wybaczyć, bo to dawało szansę, że nie stanie z Mateuszem na żadnym, a tym bardziej ślubnym, kobiercu i znajdzie sobie innego, rozsądnego, a w każdym razie rozsądniejszego faceta, to jednak Edzio, Mundek i Hubert dostaliby szału, gdyby się dowiedzieli, kto, według niektórych, jest ich szefową.

Mieli dość zasadnicze podejście do pewnych spraw. Kobiety szanowali, a nawet czasami kochali, ale Melka nie była rodzajem kobiety, który mogliby uznać za zdolny do szefowania czemukolwiek i komukolwiek.

W każdym razie nie im. Nie chodziło nawet o wiek czy kolor włosów, ale bardziej o to, że Melka była osobą tak dziwną, że potrafiłaby doprowadzić do szaleństwa nawet manekiny w sklepie z rajstopami, choć nie miały głów, a co dopiero mówić o żywych ludziach.

Dlatego Ada zawzięła się w sobie, wściekła się porządnie, wpadła do domu, przebiegła przez bufet i chcąc skorzystać z ubikacji, wpadła do łazienki.

– Ja jej dam, kurwa, zajebistość! – warknęła, nie wiedząc, że ta domniemana zajebistość Melki, którą tak zachwalał Cezary, objawi jej się w sposób zaiste krwawy.

Łazienka nie była zamknięta.

Ada wpadła tam i stanęła jak wryta.

W wannie było pełno krwi. Melka leżała z zamkniętymi oczami. Z jej głowy też spływała krew, zostawiając na podłodze czerwone plamy.

Wyglądało na to, że ktoś Melkę albo skatował i utopił, albo tylko skatował, a ona utopiła się sama, albo...

– O ja pierdołę! – wrzasnęła Ada.

– Czego tu włączysz bez pukania? – wrzasnęła Melka, zakrywając sobie biust, choć nie musiała, bo i tak nie było go widać w tej czerwonej topieli. – Sama mi kazałaś splukać tę farbę!

– Ale ty wyglądasz jak zaszlachtowana! Jakbyś leżała w wannie pełnej krwi.

– I to mnie martwi.

– Krew?

– Nie, cała farba zesła. Widzisz? Tyle forsy poszło w diabły.

Ada spojrzała na splątane kłaki Ady i zauważyła, że w większości są fioletowozielone, choć gdzieniegdzie jeszcze widać trochę czerwieni.

– No to teraz będziesz świetnie się prezentowała w klubie – burknęła Ada – jako moja szefowa szczególnie – dodała, patrząc na dziewczynę złośliwym wzrokiem.

Melka nawet się nie spieszyła.

– Cezary? – zapytała z uśmiechem.

– Cezary – odparła ciotka. – Masz mi coś do powiedzenia?

Spodziewała się tłumaczeń, jakichkolwiek, ale jednak, a tu Melka ją całkowicie zaskoczyła.

– Bo, ciotka, wy to takie techniczne starocie jesteście! Wszyscy! Co do jednego! Ty to tylko byś szarlotkę na łapówki piekła, a oni? Normalnie tylko łążą i węższą, ale nic więcej, a ja to jestem młoda krew!

– Właśnie widzę! – westchnęła, zdając sobie sprawę, że Melka ma trochę racji, ale też trochę jej nie ma, bo wiedza, jaką posiadali Edzio, Mundek i Hubert, to coś nie do przecenienia.

– Z młodymi się nie dogadacie, a kto teraz morduje? Myślisz, że starocie? Starocie to przed telewizorem siedzą albo krzyżówki rąbią i co? Do klubu pójdziesz i będziesz wypytywać? Ludzie śmiechem cię zabijają. Ja to co innego!

Takie teksty są niegrzeczne, w stosunku do kobiety to praktycznie samobójstwo, a już w stosunku do własnej ciotki mogą grozić katastrofą, ale Melka była za młoda, żeby to wiedzieć.

– Nie żebyś, wiesz, już się do niczego nie nadawała, wnuki mogłabyś bawić, ale nie masz, a w twoim wieku co ci zostało? Szydelko?

– Ja ci dam szydelko! – wrzasnęła Ada, zamachnęła się, pośliznęła, chciała walnąć Melkę w twarz, ale się zachwiała i podjechała do wanny, po czym zgięła się w pół i zanurkowała w czerwieni.

– A widzisz! – ucieszyła się Melka. – Masz już nawet problemy z chodzeniem.

Ada w tej chwili miała problemy z oczami. Coś ją załało. Może nie krew, ale było blisko.

– Ten kot, co go wykopaliśmy w ogrodzie tej sąsiadki Mareckiej, miał cukrzycę – oświadczył Hubert, wchodząc do bufetu z zadowoleniem na twarzy.

Minęło kilka godzin, zanim się oczyścił, przebrał i odchorował masakryczne spotkanie z patologiem, a teraz właśnie dostał od niego SMS-a.

– Hubert, co ty pieprzysz? – zapytał go Edzio, który dosłownie chwilę wcześniej zasiadł przy stoliku, rozkładając jakieś papierzyska.

– Nie chcecie wiedzieć, czego się dowiedziałem?

– Chcemy, ale cukrzyca tego kota nie jest nam do niczego potrzebna, zmarł z powodu cukrzycy?

– Nie, został otruty tą samą substancją, którą znaleziono u Mareckiej.

– A, czyli jednak szarlotka?

– Na to wygląda.

– To jak to się mogło odbyć?

– Zwyczajnie, wskoczył na stół, zżarł i padł!

Popatrzyli na niego z dezaprobatą.

Tu powstał problem, bo jeżeli szarlotka otruła kota, zresztą kto o zdrowych zmysłach daje kotu szarlotkę, to by znaczyło, że były dwie. Ta zatruta i ta czysta, którą znaleziono na stole przed martwą Marecką.

– Sąsiadka przyniosła jedną i podała ją przez okno, ktoś przyniósł drugą. Która była zatruta? Ta pierwsza, czyli zabiła sąsiadka, albo ta druga, czyli ktoś inny, ktoś, kto wiedział, że sąsiadka ją przyniesie.

– Niekoniecznie – wtrąciła Melka w całej swojej makabrycznie kolorowej postaci, bo jej włosy wyglądały jak włosy wielokolorowego klauna. – Z szarlotką jest tak, że ma wnętrzności.

– Ty też masz i co? – warknęła Ada złośliwie.

– I nic, moje się nie liczą, a z szarlotką to jest tak: podnosisz wierzch, dosypujesz czegoś, zakrywasz i już. Wcale nie trzeba dodawać trucizny w trakcie pieczenia. To mogła być nawet ta sama szarlotka. Ktoś odkroił kawałek, nafaszerował, podał Mareckiej, a drugi kawałek zostawił na potem, żeby zmylić policję.

– To by znaczyło, że nie otruła jej sąsiadka.

– Sąsiadka w ogóle nie powinna jej truć, bo nie miała po co. Przecież nie dziedzicy, nie miała z nią wiele wspólnego.

– No, ogrodzenie miały wspólne, ale było dziurawe – stwierdziła dziewczyna, wzruszając ramionami.

– Przestań, Melka! To są pierdoły!

– Wcale nie! Sąsiedzi potrafią się nienawidzić!

Wszyscy zamilkli jak na komendę, bo rzeczywiście dotąd pod uwagę brano tylko sprawę dziedziczenia, czyli pieniędzy, ale przecież to nie musiało być wcale to. Czasami motywy zbrodni są o wiele mniej logiczne, niż się zdaje. Ludzie potrafią zabijać z różnych, czasami najbardziej błahych, powodów.

– Może chodziło o kota, który miauczał po nocach? – zaproponował Mateusz, który, żeby zabrać Melkę do klubu, zjawił się w stroju tak poszarpanym, że aż wszystkich zatkało.

– Nie, kot nie był Mareckiej. Zresztą, kto by zabijał za kota?

– No, była kiedyś taka sprawa – stwierdził Mundek. – Tylko nie chodziło o kota, ale o psa, no i ten pies pogryzł dziecko i to dziecko trafiło do szpitala, i ten jego ojciec podpalił komisariat, bo uważał, że policjanci, jak poszli sprawę badać, to się dogadali z tamtym właścicielem psa, ale on, ten pies, to nawet nie był jego.

Takie teksty w stylu Radia Erewań często się zdarzały Mundkowi.

– Nie ma psa, nie ma dziecka, nikt nie podpalił posterunku, co nam to daje?

– Nic, ale rzeczywiście trzeba przeświecić kontakty Mareckiej z sąsiadami. Podobno z Kościuchową to nawet dobrze żyły. Inaczej by jej Czeška nie przynosiła ciasta. Nawet chyba razem w sanatorium były...

Słowo „sanatorium” w niektórych kręgach, szczególnie tych policyjnych, ma wielkie znaczenie, bo jest to miejsce łowów i zbrodni, często małżeńskich, wielkich miłości i wielkich nadziei, nienawiści bo „turnus mija, a ja niczyja”, a ona, krowa, sobie chłopą przygruchała, oraz bardzo często miejsce, gdzie krzyżują się drogi oszustów i ich ofiar, oszustów bardziej finansowych niż matrymonialnych i ofiar często bardzo naiwnie wierzących w szczęście na stare lata.

– Trzeba to sprawdzić.

– Dobra, ja też coś mam. Wiecie, że na stole żadnego listu nie było, to znaczy listu samobójczego, czy jak kto woli pożegnalnego, ale było coś innego. Trochę to dziwne, ale patrzcie.

Wyjął z wyświechtanej teczki kserokopię czegoś, co wyglądało jak dość pomięty list, ale chyba było ulotką. Taką byle jaką i nie drukowaną na porządnym papierze, tylko na zwykłym papierze do drukarek, mocno wymemłanym i pomiętym.

– Czytajcie.

Wszyscy pochylili się nad kartką.

„Ludzie, obudźcie się. To, co się dzieje, to wszystko wina ciemnych sił. One wpływają na wszystkich i na wszystko. Margaryna powoduje wypryski na genita-

liach i owrzodzenie ud, pomidory świecą w ciemnościach, ale nikt ich nie kroji po ciemku, jabłka są modyfikowane genetycznie i stanowią pierwsze nadrzewne ryby słodkowodne, ale ich jedzenie powoduje łysienie kwadratowe. Nie wolno jeść jeży, bo szkodzi to na mleko matek karmiących, ani też jeżyn, bo one są pochodną jeży i sodu. Tak, sól to Na, jeżyNa...

Powietrze, woda, ogień, to wszystko zabija.

Uważajcie na oddychanie.

Czy wiecie, że naukowcy odkryli, że w powietrzu obok tlenu znajduje się azot? Tak nas trują!”.

Tu kończył się tekst, ale widać było, że przeszedł on przez wiele rąk ludzi, którzy przejmowali się wszystkim, ale z pewnością nie higieną.

– Przeczytała to i postanowiła ze sobą skończyć? – podsumował Mateusz. – Ja często też tak mam. Czy ona była szurką?

– Szurką?

– Nie, szurką, no taką... No bo szur to taki oszołom, wariat, który wierzy we wszystko.

– A co to ma do naszej sprawy?

– Widzicie oderwany róg?

Widzieli, choć właściwie to karteluszką miała oderwane i naderwane mniej więcej wszystko.

– Otóż ten róg trzymała w zaciśniętej dłoni – oświadczył Edzio. – Dziwne, prawda? Tak jakby ktoś chciał jej to wydrzeć, a ona nie chciała puścić.

– I potem zostawił to na stole? Niemożliwe. Może rzeczywiście coś trzymała, ktoś to coś jej wydarł, zobaczył, że ma w ręku fragment, a nie mógł lub nie chciał jej go zabierać, więc postanowił zostawić coś, co było naderwane, coś, co miał pod ręką.

Wszyscy się z tym zgodzili.

Melka i Mateusz już wychodzili do klubu, ale jednak ten ostatni się odwrócił i stwierdził:

– Ten bełkot moim zdaniem bardziej świadczy o mordercy, musiał to mieć przy sobie, niestety nie wiemy dlaczego, wcale przecież nie musiał w to wierzyć.

– To po co mu to było?

– Znalazł na chodniku i nie było tam kosza? Znajoma mu dała? Chciał coś pod nogę od stołu podłożyć?

Ada nie słuchała. Przez cały czas przeżywała to, co powiedziała jej Melka.

Kobiety są pamiętliwe, a Ada była w tym względzie kobietą plus. Plus we wszystkim, w pamiętliwości i obrażaniu się też. Dlatego stwierdzenie Melki, które wciąż dudniło jej w głowie, nie dawało jej spokoju. „Do klubu pójdziesz i będziesz wypytywać? Ludzie śmiechem cię zabiją. Ja to co innego!”

Nie mogła sobie tego darować, dlatego zadzwoniła do Kościuchowej.

– Pani Czesiu, ubiera się pani! – zawołała do telefonu.

– Ale że jak? Ubrana jestem przecież, jeszcze się nie kładłam.

– Elegancko się pani ubiera! – rozkazała Ada.

– Elegancko, ale jak? Jak do kościoła, ale bardziej na ślub czy na pogrzeb?

– Do klubu idziemy – oświadczyła Ada – włoży pani coś zajebistego.

– Czyli?

– Nie wiem, coś ładnego z dekoltem? Może? No wódkę i tańce proponuję – oświadczyła Ada, chcąc zadać kłam wrednym słowom Melki. Ada nie była starociem. Jeszcze nie! Jeszcze długo, długo nie. No i ten klub trochę ją kusił.

* * *

Joaśka, wnuczka Mareckiej, był wściekła, że w rodzinie już wszystkich przestuchano, a jej nie. To bardzo ją zaniepokoiło, bo według niej mogło znaczyć dwie rzeczy: albo ją podejrzewają i zostawiają ją sobie na deser, żeby szybko i spektakularnie ją zamknąć, albo nie biorą jej w ogóle pod uwagę, bo jest za głupia, żeby mordować.

I jedno, i drugie spędzało jej sen z powiek.

Bo skoro nawet nie sprawdzili jej alibi, to coś było nie tak. Uważali ją za morderczynię albo za kretynkę.

Obie możliwości były dla niej nie do przyjęcia.

Nie miała zamiaru tego znosić.

Przesłuchali nawet Cezarego, zwykłego narkomana, a jej nie wysłali wezwania, ani na policję prawdziwą, ani choćby do tego durnego biura śledczego, które pewnie niczego nie wymyśli, nie odkryje, ale jednak trochę się liczy w środowisku.

Kiedy Cezary wpadł na bazar, gdzie Joaśka siedziała za straganem z ciuchami, i zawołał na cały głos, że go przesłuchiwali, natychmiast zrobiło się zbiegowisko. I to jakie!

Na bazarze istnieje ścisły podział towarowy. Sprzedawcy się go trzymają i wiedzą, że bieliznę i ciuchy sprzedają kobiety, raczej starsze i grube, młode w bieliz-

nie się nie sprawdzają, owszem ruch jak na dworcu, ale dochody żadne. Chińską, śmieciową elektronikę i ryby sprzedają faceci, bo latarka z paralizatorem kupiona u baby nie będzie działać. Dlatego więcej jest jednak sprzedawczyń niż sprzedawców, toteż w chwili kiedy Cezary ogłosił, że został przesłuchany, zebrało się koło niego mnóstwo kobiet. Kilka nawet z darami.

– Czareczku, masz tu gruszczykę! – zawołała jedna z pań, zdecydowanie była panią, a nie dziewczyną, choć robiła wszystko, żeby to ukryć.

Cezary zyskał natychmiastowy rozgłos i zachwył.

– I co? Co mówili? O co pytali? – Kobiety prześcigały się w zadawaniu pytań, na które chłopak chętnie odpowiadał. Robiło się już późno i trzeba było związać stragany, ale wszystkich bardziej interesowało przesłuchanie niż zabezpieczenie towaru, mimo że zbierało się na deszcz. Wyglądało też, że zbiera się na burzę, ale aplikacje pogodowe tego nie potwierdzały.

– Pytali mnie, czy babka miała za mąż wychodzić – powiedział, trochę się krzywiąc, żeby dać wszystkim do zrozumienia, że w coś takiego nie wierzy i że samo pytanie o coś takiego uważa za głupie.

– A, no, ja sama też słyszałam, jak mówiła – powiedziała jedna z kobiet – nie tak dawno temu...

– Co znowu pani słyszała? – burknął zaskoczony Cezary, bo nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. O tym, że połowa miasteczka mówiła o zamążpójściu babki, owszem, mógł ktoś słyszeć, ale że sama babka o tym mówiła? To było dziwne i nierealne.

– No szła z jakimś takim facetem i tak jakoś gadała z nim, że ślub, małżeństwo, a potem dzieci i że ona to rozważała, ale potem się zdecydowała i teraz jest zdecydowana.

– Ale na co?

W takich sytuacjach ludzie dopowiadają sobie wszystko, co możliwe i co niemożliwe.

– No chyba na ten ślub i dzieci była zdecydowana, a na co innego?

– No jak, ona już nie mogła mieć dzieci, była na to za stara – oświadczył Cezary.

– Może nie wiedziała? A może to, wiesz, tak bywa, że kobiety rodzą nawet po siedemdziesiątce, tak o na przykład w Indiach? – Kobieta wyraźnie brała stronę zmarłej Mareckiej. – Ja uważam, że ona się po prostu zdecydowała na ślub i ktoś ją zabił, żeby do tego nie dopuścić.

Taka możliwość oczywiście istniała, tym bardziej że śluby zawsze wszystko komplikują, pół biedy, kiedy zawiera się je w młodym wieku, kiedy nie ma się jeszcze majątku, ale w wieku podeszłym? Kiedy wszyscy czekają na spadek?

– Właśnie.

– Wcale nie właśnie, przecież ona mogła już dawno za ten mąż wyjść! Ja wiedziałam, miała pod pachą taką granatową teczkę jakąś ze srebrnymi takimi, no takim czymś. I na tym było napisane „Akt”, a pod tym coś jeszcze, ale nie doczytałam, bo nie było widać.

– Jezu! To może być racja! – krzyknął Cezary – Muszę złapać Melkę! Mówiła, że będzie w klubie! – Możliwość, że babka za ten mąż już wyszła, bardzo go zaintrygowała.

– Idę z tobą! – oświadczyła Joaśka, która w ten sposób mogła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Załatwić sobie przesłuchanie, a przynajmniej coś w rodzaju przesłuchania, i załatwić sobie Mateusza.

Mateusz był ważniejszy.

Joaśka szybko zanurkowała w ciuchach, wzięła co ładniejsze, podczepiała metki i wcisnęła je na siebie z pomocą brata, choć właściwie powinna użyć łyżki do butów.

Od dawna już kombinowała z ciuchami w taki właśnie sposób, co według niej czyniło ją najlepszą partią w miasteczku i najlepiej ubraną dziewczyną w okolicy, według innych czyniło z niej daltonistkę ze skłonnością do przesady, bo nic tak nie pogrubia jak za małe ciuchy. Zresztą ciuchy i tak składały się z prawie samych dekoltów i cekinów, więc wszyscy się im przyglądali z ciekawością, aż pewnego dnia włożyła dwie pary złotych stringów zamiast bluzki, była to taka majtkowa moda z TikToka. I byłoby jako tako, gdyby te stringi nie pękły, „uwalniając” w tańcu zdecydowanie potężny biust, który roztańczonym łukiem znokautował didżeja.

Joaśka była cała złota. I wtedy, i teraz. Teraz, jak tylko wylazła z zaimprovizowanej w budzie przymierzalni, była ubrana jak stróż w Boże Ciało. Żeński stróż. Złoty, żeński stróż.

Albo złoty cielec w formie baleronu. Bo było i złoto, i dużo ciała pomiędzy.

– Idziemy?

– Idziemy? – rzuciła Kościuchowa, która też ubrała się jak żeński stróż w Boże Ciało, tyle że nie była złota, ale fioletowa, gdyż fioletowe garsonki królowały na

weselach od dawna i dlatego na bazarach można je było kupić praktycznie przez cały czas i na każdym kroku. Najczęściej były paskudne i miały baskinki, żaboty i wstawki z koronek. Można je było nabyć też w wersji bordowej oraz czarnej, ale czarne bardzo oblażyły kłakami, a wszędzie można było trafić na kocią sierść. Jasných garsonek nikt nie chciał, bo na weselach podawano jedzenie, a barszcz czerwony o północy zawsze zbierał swoje żniwo.

Owszem, można było też kupić i coś innego, może nawet modniejszego, ale nie dla osób w tym wieku i w tym stanie tuszy.

I duszy.

Kościuchowa była kobietą o kształtach bogini płodności. Miała spory brzuch, spory biust i całkiem potężne nogi.

Wiek też robił swoje.

Ada również do ułomków, albo ułomek, nie należała, ale ona, widząc ciuchy Melki, postanowiła trochę się ubraniowo odmłodzić, dlatego włożyła trochę ciasne spodnie, w których jej dolne odnóża przypominały dwie suszone szynki wolno dojrzewające. Do tego dodała chustkę. Tylko tyle. Chustka stanowiła coś w rodzaju bluzki. Porządnie zawiązana na plecach, a potem na biuście, nie miała prawa się rozwiązać, bo Ada by się chyba spaliła ze wstydu.

– Pani taka goła idziesz, pani Ado? – zapytała, zaszokowana widokiem nagich ramion towarzyszki, Kościuchowa. – Wstyd jakoś.

– A gdzie tam, przecież nie do kościoła na ślub idziemy, tylko do knajpy! No i co ja na tych ramionach mam, żeby wstyd był? Cycki?

– Goliznę?

– Trzeba się wyluzować. Przecież do klubu idziemy!

– Do tego mordatego? Znaczy z tym pyskiem nad drzwiami?

– Właśnie.

– Sama gówniarzeria tam chodzi – stwierdziła niepewnie Kościuchowa, ale też uśmiechnęła się odrobinę, bo kusiło ją, by zobaczyć, co tam się dzieje. – Po co my tam?

– Po to, że tak! – obruszyła się Ada. – Idziemy pić, nie ma dyskryminacji! Będziemy tańczyć. Poszalejemy!

– A Zenka puszcza?

Możliwość, że ludzie tańczą do czegoś innego niż disco polo, do Kościuchowej się nie przebijała. No bo jak to tak? Ma być skocznie, radośnie i jakoś tak do rytmu i do humoru. Zresztą ona tańce odprawiała tylko na weselach, a tam królowała właśnie Zenek. Raz doszło nawet do rękoczynów, bo młodzi postanowili, że

Zenka nie będzie, że ma być elegancko i inteligentnie, to się matka młodego wkurzyła i pobiła matkę młodej. No ale to było już po kilku głębszych i wtedy młodzi puścili Zenka, bo zdali sobie sprawę, że bez jego skoczności wszyscy zamiast tańczyć, za bardzo skupiają się na konsumpcji, konsumpcja grozi wybuchem, a oni wojny domowej nie chcieli.

Obie panie wyszły na drogę ku przeznaczeniu, podrygując i dodając sobie otuchy. Właściwie można by powiedzieć, że nie tyle szły, ile się toczyły.

Niebo zasnuło się chmurzyskami, ale nie zapowiadano żadnych większych kaktlizmów.

Nawet żadna z nich nie dostała alertu ani od RCB, ani od miasta, ogłaszającego, że zbliża się burza albo wichura i trzeba usunąć z balkonu doniczki. Często takie dostawały.

Kiedy wreszcie znalazły się pod piramidą, do której w sumie nie było daleko, usłyszały charkot, jęki i coś, co przypominało wycie potępionych.

– To chyba nie Zenek? Może choć Sławomir? – zapytała zawiedziona Kościuchowa.

– Chyba nie, ale my najpierw musimy się napić, a jak się napijemy, to zobaczymy.

Weszły do środka i natychmiast ogłuchły. W chwilę potem dostały oczopląsu.

Laserowe światła siekły tłum, skowyt zagłuszał wszystko, dudniły basy.

Ada i Kościuchowa przepychały się przez tłum na sali, żeby przejść do baru.

Był to dość dziwny układ, ale podobno właścicielowi zapewniał spore dochody, bo jak już ktoś do baru się przedarł, zostawał w nim dłużej, bo bał się ryzykować drogę powrotną.

Muzyka huczała, dudniła, waliła, zgrzytała i wyła.

Jedyne, czego nie można się było w niej dosłuchać, to melodii, ale podobno teraz melodia się nie liczy.

Po dłuższej chwili, bo nie umiały się zdecydować, w którą stronę mają się przeciskać, Kościuchowa złapała Adę za rękę.

– Chyba mam zawał – zawyla jej do ucha – bo coś serce jakoś dziwnie mi wali.

– Aaaa nieeee! – wrzasnęła Ada, żeby tamta ją usłyszała. – To basy!

– Kielbasy? – odwrzasnęła Kościuchowa, przepychając się z Adą. – Może być, jak jest, to zjem! Pomoże?

– Nie mam! Wódka, idziemy pić! – odwrzasnęła Ada.

– Ale ja umieram! Ani chybi umieram! – wrzasnęła Kościuchowa, czując uderzenia serca w całym swoim wielkim ciele. Zawróciła i na wszelki wypadek rzu-

ciła się do ucieczki, tratując osoby podrygujące za nią.

Takie zachowanie zawsze powoduje reakcję. Pierwszą jest panika.

Ta natychmiast ogarnęła kilka osób znajdujących się w pobliżu, kilka tych, które właśnie zostały stratowane, oraz ochroniarza, który oczywiście był na miejscu, ale nie był zbyt trzeźwy, jak zresztą nikt z obecnych.

Coś tęczowego majaczyło z daleka, jakby tańczyło na jakiejś murze. Podskoczyło, spadło, podskoczyło znowu.

– Ciotka! – wrzasnęła Melka z oddali, bo zamieszania i jego przyczyn nie dało się nie zauważyć. Rzuciła się przez tłum do Ady, też potrącając kilka osób. Docełowo chciała pomóc, ale pomoc w jej wydaniu bywała zawsze katastrofalna.

Za nią biegł Mateusz. Biegł po ludziach, depcząc, kogo popadło. Coraz większa liczba ludzi doznawała obrażeń.

Podbiegł do stanowiska didżeja, żeby coś zrobić z lampą. Chciał ją chwilowo wyłączyć. Przesunął jakąś wajchę. Nacisnął jakiś guzik. Przesunął suwak.

Zawyło.

Lampa szalała.

Coś chrobotnęło.

Nikt nie wiedział, czy chrobot był wewnętrzny, czy zewnętrzny. Brzmiał jak łamane kości.

W chwilę potem na zewnątrz dało się słyszeć huk.

Jakimś cudem rozpętała się burza. Pewne wydarzenia bywają po prostu ze sobą powiązane i choć nikt w to nie wierzy, są jakby zapowiedzią kosmaru. Burza, której być nie powinno, bo nie zapowiadała jej żadna aplikacja pogodowa, postanowiła jednak się zjawić.

Huknął grom.

Wielka głowa faraona zachwiała się, zgrzytnęła i zleciała znad drzwi, blokując przejście.

Pisk i wrzask spotęgował ogólny chaos.

Głowa nie była tak całkiem kamienna, na jaką wyglądała, była ze styropianu pokrytego gipsem, była jednak pod tym gipsem pokryta metalowym drutem, bo inaczej gips mógłby się nie trzymać.

Uderzenie pioruna rozpałiło drut do czerwoności, topiąc styropian.

Kiedy przebrzmiał huk, wszystko ucichło, bo wywaliło korki.

Kilka osób odetchnęło z ulgą, w tym Kościuchowa, która przestała umierać. To znaczy przestała umierać na serce, bo przestała czuć jego bicie we wszystkich

częściach ciała, zaczęła umierać na stratowanie.

Leżała na podłodze niedaleko wejścia, pokonana tak jak i Joaśka, a Melka i Ada stały nad nimi. Obok jęczał Cezary z nogą uwięzioną w sztucznej rzeźbie przedstawiającej Anubisa, w którą się wbił, padając.

Wszystko tu było bardzo sztuczne, z papieru, gipsu i gąbki, dlatego, choć uwięziony, raczej nie był ranny.

– Po co tu przyszłaś, ciotka?! – wrzasnęła Melka – Musiałaś wszystko zepsuć! Ja tu rozmowy prowadziłam, ludzi przesłuchiwałam!

Ten rodzaj pracy wywiadowczej wydał się Adzie niemożliwy, mimo że i ona czasami, kiedyś, prowadziła rozmowy w swoim policyjnym bufecie, w którym bywało głośno, ale nie aż tak. No i nikt nie podrygiwał.

– W tym wrzasku? Na rurze? – Ciotka popatrzyła na nią z niedowierzaniem, zastanawiając się jak takie przesłuchanie mogło wyglądać, kto mu się przysłuchiwał, kto co usłyszał i ile z tego będzie plot.

– Oj tam, to nie był wrzask, tylko muzyka!

Pojęcie muzyki bardzo ewoluowało od czasów młodości Ady.

– I czego się dowiedziałaś?! – sapnęła wściekle, chcąc wyraźnie dać dziewczynie do zrozumienia, że kłamstwo nie popłaca.

– A tego, że babka Marecka nie chciała wyjść za męża! – powiedziała Melka poważnym głosem, w którym przebijała duma tak wielka, że aż ją było i widać, i czuć, bo biła od dziewczyny łuna zachwytu i samozadowolenia.

– Też mi cud – prychnęła Ada. – Na dwoje babka wróżyła? Nie, albo chciała, albo nie chciała. Nawet mi z takimi rewelacjami nie wyskakuj.

– Otóż nie! Ona za ten mąż już wyszła! – wykrzyknęła wściekle dziewczyna. – Za Antoniego Bobika.

– Niemożliwe! – jęknęła Ada, choć to nazwisko w tym momencie nic jej nie mówiło. – Skąd takie wieści?

– Pół to od Joaśki, jej wnuczki, a pół to od tego ochroniarza, co teraz leży przed wejściem i jęczy, bo go głowa przytłukła.

– Nie rozumiem.

– Pokazałam mu nasz portret, powiedział, że to Antoni Bobik. Podobny bardzo. I podobno tu przychodził często. Forsą szastał.

– Z babką Marecką? – Ada okazała niedowierzanie.

– Nie, no bez. Chociaż kelnerka to mówiła, że ten nasz portret to trochę podobny do księcia Harry'ego, a trochę do takiego jednego z filmu, no ale Marecka z księciem chyba się nie zadawała, a z aktorami to już na pewno.

Sytuacja była patowa, ale Ada chciała wszystko jakoś ogarnąć po swoim.

– Wyczołgajcie się stąd w kierunku baru, tam jest spory korytarz – zaordynowała Ada – no szybko, Joaśka, Ada i pani, pani Czesiu, a ty, Melka, pomóż im. Mateusz, idź zamów wódkę, żeby nam miejsc nie zajęli.

– Nie ma światła.

– No to co. Mają chyba świeczki?

Przejsie do baru było rozwiązaniem tymczasowym, ale chyba jedynym w tym momencie i rzeczywiście większość rozsądnych osób o tym pomyślała.

Uszkodzenie głowy nad wejściem i korki, które wywaliło, nie spowodowały żadnej większej katastrofy. Owszem, przyjechała straż pożarna, ale tylko po to, żeby stwierdzić, że nic się nie dzieje. Karetka zabrała ochroniarza, ale też nie dlatego, że był ranny, po prostu nie byli pewni, czy jego stan wynika z uderzenia w głowę czy z ilości wypitego alkoholu, nie mogli ryzykować.

Ludzie podzielili się na tych, którzy uciekli w panice, tych, którzy nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, i tych, którzy poszli lub podczołgali się do baru.

Było przyjemnie cicho.

Nie była to prawdziwa cisza, ale w porównaniu z wcześniejszym wrzaskiem modnej, nowoczesnej muzyki była kojąca i cudnie łagodna. Barman dostał od właściciela rozkaz odrobienia strat.

To znaczy, skoro pieniądze za wejściówki trzeba będzie zwrócić, to chociaż na alkoholu trzeba zarobić, dlatego lał się strumieniami. W świetle świec było nawet romantycznie.

– Ja panią przepraszam – usłyszała w pewnym momencie Ada i zobaczyła barmana, który podszedł do niej, trzymając coś w dłoni – to chyba dla pani.

– Ktoś postawił mi drinka? – Ada oczywiście o takich sprawach czytała, ale jeszcze nigdy sama nie była tak potraktowana, tym razem liczyła na taki właśnie cud, szalony rozwój wypadków, wielką miłość od trzynastego wejrzenia i ogólnie początek nowego świata. Kobiety są romantycznie naiwne. Jednakże to, co barman trzymał w dłoni, w żadnym wypadku nie mogło być kieliszkiem.

– Nie, jakiś facet mi to dał. Kazał pani przekazać – stwierdził oschle, jakby rola doręczyciela nie za bardzo mu pasowała.

– Ale skąd pan wie, że chodzi o mnie? Pokazał mnie palcem? Czy jak? To dlaczego nie podszedł sam?

– No powiedział, żebym to dał ciotce tej dziewczyny z tęczę na głowie.

– I dokładnie tak powiedział? – zdziwiła się Ada.

– Nie, dokładnie to powiedział: „Daj to ciotce tej w chuj pierdolniętej dziewczuchy, z tęczowym kołtunem na łbie”. Pasuje? – zdenerwował się barman.

– W chuj pierdolniętej? Dziewczyny? Bardzo obrazowe... To znaczy w co pierdolniętej? Bo ona, że tak powiem, nie ma rzeczonoego narządu? – zapytała lekko już wstawiona Ada.

– Ja jej w gacie nie zaglądałem – obraził się barman.

Ada zauważyła, że coraz częściej to nie ona jest odniesieniem dla Melki, tylko Melka dla niej, co bardzo jej nie odpowiadało. Nie lubiła grać drugich skrzypiec, nienawidziła być tłem, nie uważała, że jej czas minął. Poczowała się trochę obrażona.

– Ale co to jest? – zapytała poirytowana.

– Nie wiem, nie czytałem, może wiersz miłosny? – Wzruszył ramionami. – Powiedział, że ma dość tych pierdolonych podchodów.

– Podchodów? Jakich podchodów? – Ada znów się zdenerwowała, ale tym razem chyba wyczuła, że to coś ma wiele wspólnego z ich sprawą, to znaczy nie z ich, ale ze sprawą Mareckiej.

– A ja wiem? Powtarzam tylko, co powiedział. Bierze to pani?

Ada wzięła do ręki kartkę i rozłożyła ją na blacie. W świetle świecy widać było, że jest porządnie zmiętolona, utłuszczona i niewyraźnie napisana, jakby na kolanie, zresztą kartka to był jakiś paragon ze sklepu i właśnie na jego odwrocie to napisano.

Widniał na nim adres.

Ulica Sądowa 3/4 dopisek: czekam jutro.

Wiadomość i adres nic jej nie powiedziały, nic zresztą nie powiedziały nikomu z siedzących przy stoliku osób.

– Ale kto to był? – zapytała Ada, bojąc się, że barman odejdzie, nie udzieliwszy jej odpowiedzi na to jakże istotne pytanie.

– Nie wiem, przyszedł, dał, wzięłem. – Wzruszenie ramion umknęło wszystkim, bo poza kręgiem świecy było ciemno, ale oświetlona płomieniem twarz wyrażała całkowitą niewiedzę.

– Nie znał pan tego, kto dawał? – Kościuchowa aż pisnęła z oburzenia.

– Nie! Ja wbrew pozorom nie znam wszystkich w miasteczku, ale był z jakąś babką, ją to chyba znam, ale nie wiem dokładnie skąd. Była tak zrobiona, że nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Zresztą z kobietami w klubie to jednak jest przegięcie. Rzadko wyglądają tak, jak wyglądają. Brwi to potrafią mieć takie, że

zajmują pół czoła, a potem jak się taką spotka, okazuje się, że wygolone. Oczywiście też.

– Golać sobie oczy? – jęknęła Kościuchowa, pewna, że już niczego nie jest pewna.

– Nie, no nie golać, ale oklejają sztucznym futrem.

– Fuuuuj... – mruknął Cezary.

Ada schowała kartkę do portfela, który starannie schowała do kieszeni spodni, bo torebki przy sobie nie miała.

Była na to za rozsądna. Knajpa i torebka to jest coś, co niby pasuje, ale tylko wtedy, kiedy chcesz zostać bez kluczy i kart kredytowych.

– Żadna z tych? – Ada powiodła ręką po towarzyszących jej kobietach. – Może z Joašką pan go widział? Albo...

– Nie, no niech pani nie przesadza! Aż taki ślepy nie bywam – fuknął zaszokowany.

Oczywiście, gdyby widział Kościuchową, to choć jej nie znał, jakoś by ją rozpoznał, a w każdym razie zauważył. Nie mieściła się w średnim wieku klienteli, nawet poza starszy wyłaziła bardzo, więc pewnie by ją zapamiętał. Poza tym ciuchy, w weselnych garsonkach do klubu się nie przychodzi, no i twarz. Kościuchowa piękna nie była.

– A co jest na tej Sądowej? – zapytała Melka, chcąc się włączyć do rozmowy.

– Nie wiem, ale to zwykła dzielnica, bloki tam są. To znaczy nie takie nowe, takie stare kamienice ponemieckie, ale to to samo. Często tam chodzę, bo tamtędy idzie się do rynku, tego naszego bazaru – wyjaśniła Joaška, starannie przyklepując i przyglądając zagniecenia i rozdarcia na ciuchach. – Szlag!

Nowiutkie ciuchy Joaški, właśnie nielegalnie wypożyczone ze straganu na tę okazję, miały zostać oczywiście zwrócone tak, żeby ani właścicielka straganu, ani żadna z klientek się nie zorientowała, że były używane, ale w tym momencie było to już niemożliwe, wręcz nierealne. Poodpadały z nich całe połacie cekinów, popruły się szwy, a gdyby tego było mało, to powstały jakieś dodatkowe dziury, przez które wcale nie apetycznie prześwitywały dodatkowe połacie ciała.

Joaška była niepokieszona.

– No i teraz będę musiała zapłacić za ten podarty chłam. Jedna durna impreza, a tyle kosztów i nawet się nie pobawiłam. To wszystko wasza wina! – wrzasnęła do Ady – Mogliście mnie przesłuchać wcześniej, nie musiałabym tu leżeć.

Ten atak wyraźnie związany z brakiem przesłuchania bardzo wszystkich zdziwił.

– Ale dlaczego? Masz jakieś ciekawe wieści? – zapytała Ada, nie licząc na cuda.

– Nie mam, ale jak wszyscy, to wszyscy! Też powinnam, żeby nie było, że gorza jakaś jestem. Że potem się będą ze mnie koleżanki śmiały, że moją własną babkę zamordowali, a mnie nawet zapomnieli przesłuchać, jakbym była jakaś nedorobiona. Że się nie liczę! Wcale a wcale! Że nawet policja mnie w dupie ma, ale co tam policja, nawet wy...

Żalność aż wylewała się z jej głosu i była dość komiczna, jeszcze nigdy Ada nie spotkała się z czymś takim, ale jak to w życiu bywa, wcale nie wzięła tego za dobrą monetę.

Niektóre zachowania są właśnie na to obliczone, żeby robić z kogoś niewinnego głupka i mają przykrywać całkiem winnego mordercę. Ludzie myślą, że jak ktoś się popłacze, to już każdy mu odpuści.

Ada zamówiła kolejne drinki, tym razem bez palemek, bo przed chwilą jedną o mało nie wydlubała sobie oka.

Postanowiła ten cały klub, czyli to wyjście, włożyć w koszty. Trudno. Teraz kiedy miała w portfelu tę dziwną kartkę, uważała, że może to się na coś jednak przydać.

A tu dodatkowo wreszcie ludzie zaczynali się rozluźniać, drinki robiły swoje, światło świec łagodziło obyczaje, a rozmowy zaczynały się kleić.

Atmosfera była ważna. A nawet najważniejsza i właśnie się rozgrzewała. Dotychczas kręcący się dookoła ludzie znikali, bo nie wyglądało na to, że cokolwiek poza barem będzie dzisiaj jeszcze działać, a nie każdy chciał pić za takie ciężkie pieniądze.

Bary w takich miejscach są bardzo drogie.

– Zabiłaś ją? – Melka zwróciła się do Joaśki i podeszła do sprawy o wiele bardziej profesjonalnie niż Ada.

– Babkę? Moją babkę? Ja? Zdurniałaś? Po co? – Joaśka zdziwiła się nieco bełkotliwie, ale raczej szczerze. – Czyli mnie przesłuchujesz?

– Tak, no? Jasne, właśnie przesłuchuję – westchnęła Melka. – Zabiłaś? Choćby dla pieniędzy?

– Nie no, kiedy pieniądze na ojca szły, a on by mi nie dał, w Mariolkę wpakuje wszystko, jak tylko coś dostanie, o ile matka mu łba nie urwie wcześniej, ale ja babki to bym nie zabijała, to by było durne!

– Ty się, kurwa, ode mnie odwal, tylko Mariolka to, Mariolka tamto, samo zło! – zawołała zainteresowana z ciemności przy którymś ze stolików. – A co to ojciec, ubezwłasnowolniony? Rozwody jeszcze istnieją!

Joaska prychnęła. Postanowiła ją zignorować, pociągnęła ze szklanki jakiegoś odjechanego drinka o dziwnej nazwie. Nie istniały tu drinki ogólnie przyjęte, tu serwowano własne. Ten nazywał się „dreszcze niespokojne”. I wzbudzał dreszcze aż trzy razy, raz z powodu ceny, drugi smaku, trzeci kolorowych wymiotów. I wszystko to było bardzo niespokojne, bo człowiek niepokoił się o stan konta, stan wątroby i cenę malowania ścian w łazience.

– No a gdyby tak wyszła za męża? – zdziwiła się Ada takim podejściem dziewczyny, która nie wyglądała, jakby zbyt wiele czasu spędzała na myśleniu.

– No i co? Toby wyszła. Babka nie taka durna, żeby coś komuś za życia zapisywać, zwłaszcza obcemu chłopu, a i do zakochiwania się też za bardzo się nie nadawała. Nie było sensu jej zabijać, w każdym razie nie z tego powodu.

– A może wiesz, z jakiego był sens ją zabijać? – burknął Cezary.

– No ja tam nie wiem, ale coś, że Bobik w tym siedział? – stwierdziła niepewnie, bo niepewnie, ale jednak wyraźnie, dziewczyna.

– Jaki Bobik? – zapytała Kościuchowa, bo nazwisko było jej całkowicie nieznane.

– No, coś mówiliście, słyszałam, że się z Bobikiem prowadziła? Czy to nie jest ten mafiozo? Ten, co go szukali, że niby coś? Nie wiem, napady?

Wszystkich nagle olśniło.

Olśniło ich też, że ilość wódki wypitej w barze nie za bardzo pozwoli im wrócić piechotą do domu.

Trzeba było zamówić taksówki.

Kościuchowa ledwie trzymała się na nogach, Joaska postanowiła ucześcić się Mateusza, na co niezbyt chętnym okiem patrzyła Melka.

Joaska jednak na Mateusza miała wielką ochotę. Oczywiście w tej chwili była to ochota chwilowa i wcale by nie była od szybkiego numerka choćby w ubikacji, ale ogólnie nawet by się z nim umówiła, gdyby poprosił. Ona sama poprosić mogła, bo się szanowała. Uważała, że seks to seks, ale zaproszenie na randkę powinno wyjść od chłopaka, bo dziewczyny nie będzie szanował.

Co nie zmieniało faktu, że można mu było jakoś ten pomysł podsunąć. Choćby robiąc awanturę komuś innemu.

– No czego chłopu blokujesz?! Pół miasta na niego poluje, a ty tylko się nim bawisz – warknęła Joaska do Melanii. – Przecież ty nawet z nim nie sypiasz, weź sobie Czarusia!

Melka popatrzyła na Mateusza krytycznym wzrokiem. Był świetnym kumplem. Uwielbiała go, ale seks? Hmmm.

Po raz pierwszy pomyślała, że mogłaby spróbować, ale nie zamierzała tego po sobie pokazywać.

– Oj tam, pieprzysz, jak pół miasta? Jak? Na Mateusza? Poważnie? Ale dlaczego?

– Dla srego! – warknęła Ada, widząc, jak drobnymi kroczkami Melka zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo pożądanym towarem jest Mateusz. No w sumie nie towarem, facetem, ale też... – Taksówki są, jedziemy! Znaczy idziemy. Pani Czesiu?

Pani Czesi nie było.

– Gdzie ona, do cholery, się podziała?

– Może poszła do kibla?

Jakkolwiek taki samotny wyczyn w przypadku Czesławy w ciemnościach, do tego nieznaną terenu, obolałej i mocno wciętej, wydał się wszystkim niewykonalny, to jednak przez chwilę na nią czekali. Potem postanowili czekać czynnie, rozpoczęli poszukiwania.

Niestety one też nie dały rezultatu. Melka wróciła z łazienki, oczywiście nigdzie nie znalazła Kościuchowej.

– Porwał ją ktoś czy jak? – westchnęła, zmęczona, bo poszukiwania ją znudziły.

– Za duża – mruknęła Joaśka. – Gdzie by ją ktoś porwał?! Może sama poszła?

Poszukiwania za barem, pod stołami, a nawet w nieczynnej, ciemnej szatni też nie dały rezultatu.

Kościuchowa zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu albo choć w ciemnościach. Co ciekawe, nikt tego nie zauważył. Niby siedziała w kącie, niby świece nie oświetlały za bardzo pomieszczenia, niby nikt właściwie nie zwracał na nikogo uwagi, a ona sama odzywała się rzadko, ale jej zniknięcie było niepokojące.

– Co się z nią stało? – zapytała właściwie sama siebie Ada, rozglądając się dookoła. – Przecież... No, nie wiem? Polazła gdzieś? Sama?

– Pewnie poszła do domu! Żle się poczuła czy jak? Mogła wyjść się przewietrzyć, a potem zdecydowała, że wraca, jeszcze nie jest tak późno, żeby się bała czy coś.

– Zawieź ją do domu i wracaj! – rozkazała Ada, kiedy taksówka, którą jechała wraz z Mateuszem i Melką, zatrzymała się pod jej domem. – Będziesz tu potrzebny.

– A ja? – Melka też chciała być potrzebna, ale Ada jej nie chciała.

– Oczy mi łzawią, jak na ciebie patrzę – warknęła. – Idź się jakoś domyć z tej farby. Jutro pogadamy.

Ada wysiadła i wpadła do bufetu, w którym czekali na nią wszyscy. Edzio już trochę przysypiał, Mundek ziewał, a Hubert właściwie szykował się do wyjścia.

– Wiecie, kto to jest Bobik? – rzuciła im od progu Ada.

Popatrzyli na nią, uśmiechając się szeroko. Oczywiście, że wiedzieli.

– Bobik? Antoni? No to tutejszy mafiozo – odpowiedział Edzio. – Każdy go zna.

– Tutejszy mafiozo? Jak bardzo tutejszy i jak bardzo mafiozo?

Te pytania były ważne, bo nie każda Elżbieta jest królową, a nie każda Wenecja leży we Włoszech. Ada mimo pewnego otarcia się o sfery przestępcze jakoś o mafii w Prasławcu nie słyszała, to znaczy o bandach, grupach przestępczych (czasami nawet jakoś zorganizowanych), idiotach, którzy rozwalali przystanki – tak, ale nie o mafii jako takiej.

– Tutejszy chyba od urodzenia, a mafiozo trochę jak z koziej dupy trąba, ale usiłuje nadrabiać legendami.

– To znaczy?

– Okradł kiedyś kasę jakiegoś jarmarku, to zaraz poszło, że obrabował bank. Kradnie, napada, jeszcze chyba nie zabijał, a po co ci on?

Tu Ada opowiedziała dokładnie, co jej powiedziano, oraz podała dziwny adres. Zdążyła się go już nauczyć na pamięć, zresztą był jednym z tych łatwiejszych.

– Myślisz, że on mieszka na Sądowej?

– Nie wiem. Może mieszkać, a może być tylko zameldowany albo nie być, a może to w ogóle nie chodzi o niego. Nie wiadomo, czy to on.

– A co mógłby mieć wspólnego z babką Marecką?

– Wszystko i nic.

Ludzie czasami, a może, kto wie, nawet często, w każdym razie zbyt często wyciągają pochopne wnioski i wcale nie chodzi tu tylko o zazdrosnych mężów, którzy widząc żonę z jakimś facetem koło samochodu, nie chcą wierzyć, że to mechanik samochodowy, ani o żony, które, sprawdzając mężowski telefon i widząc SMS o treści „No i stało się, jestem w ciąży”, wcale nie wierzą, że chodzi o siostrę.

Ludzie, widząc, jak ktoś rozmawia z kimś, od razu wyciągają daleko idące wnioski.

Dlatego dwie obce osoby rozmawiające ze sobą na przystanku autobusowym mogą jednym wydawać się przyjaciółmi, innym wrogami, jeszcze innym współ-

nikami, a mało kto pomyśli o tym, że po prostu umilają sobie rozmową oczekiwaniem na autobus.

– Mogli się znać?

– Mogli, ale mogli też się nie znać. Po pierwsze chodzi o ochroniarza, a on był narąbany, po drugie o ten portret, a on był niedorobiony, po trzecie... Nie ma co gdybać. Sprawdzimy jutro.

* * *

Mateusz i Melka mieli pomysł, i to dokładnie w tej kolejności. Najpierw on, potem ona, ale pomysł był bardzo interesujący.

– O której to jest rano? – zapytał Mateusz, kiedy jeszcze nocą zjawił się u Melki i nawet jej nie obudził, bo po kolorowych drinkach dopadły ją „dreszcze niespokojne” i targały ją jak piosenkowy sad, bo wydzierały z niej wszystko, co się dało, włącznie z owocami, które tego dnia zjadła.

– Kurwa – jęknęła – nie wiem. Już? Teraz?

– Nie no, teraz jest druga w nocy, od trzeciej jest rano, nikt nie mówi przecież „trzecia w nocy”...

– No, ale o co kaman? Ledwo żyję.

– Postanowili, że tam pójdą rano, Edzio, wujek Hubert i Mundek, a ja pomyślałem, żeby być przed nimi.

– Ale że teraz? Nie dam rady.

– Nie, no coś ty, dlatego pytam, podejrzewam, że dla nich rano to jest mniej więcej dziesiąta? No, może dziewiąta?

– I co z tego?

– No to my pójdziemy o ósmej?

– Dlaczego?

– Żebyśmy to my odkryli, o co chodzi! To proste! Ja też chcę działać, też chcę coś robić, a nie być popychadłem, odwieź, przywieź, pozamykaj. Chciałbym wejść do czynnej służby detektywistycznej, ale staruchy nie dają. Bo wiesz, ja licencji nie mam, jeszcze nie mam, ale jakbym pracował, wykazał się i tak dalej, to mógłbym wyrobić, a ty co? Kawę chcesz parzyć jak ciotka?

– No co ty – obruszyła się Melka między jednym odruchem wymiotnym a drugim, na dodatek oba były skuteczne.

Parzenie kawy należy do czynności mało poważanych i nieprzecenianych, ale wiele kobiet potrafiło na nim nie tylko zarobić, ale i wiele się dowiedzieć, tyle że

trzeba trochę doświadczenia życiowego, żeby to zrozumieć.

A tego ani Mateusz, ani Melka nie mieli.

Przetrwali jakoś do rana na kanapie, wpatrzeni w wielobarwne smugi w miednicy, które to smugi powodowały kolejne smugi, bo ta miednica była swoistym „perpetuum rzygile”, trochę się też do siebie przytulali, żeby było im ciepłej. Z odrazą oczywiście.

Rano, już o siódmej trzydzieści (chcieli wstać o szóstej, ale zaspali), nieco odświeżeni ruszyli na ulicę Sądową.

Puste miasto dźwięczało stukotem kroków, było nawet miło tak iść i się nie bać, że ktoś zobaczy ich zmiętolone kaczki i chorobą pokacową twarze.

– I co zrobimy? – zapytała Melka.

– Dowiemy się, czego ten ktoś chciał od twojej ciotki.

– Nie sądzisz, że skoro jej kazał przyjść, to ona powinna zjawić się u niego, a nie my?

– Sądzę, nie sądzę, nie jestem od sądenia. Tak czy tak, my się dowiemy i doprowadzimy go do biura. No, do domu Ady, a tam chociaż nas pochwała. I pokazemy, że wiele jesteśmy warci, że my mamy potencjał i w ogóle. Nie?

Weszli do klatki, w której domofon nie działał, bo był wyrwany z bebechami, widocznie komuś przeszkadzał.

Dość cicho podeszli na pierwsze piętro.

Zobaczyli na wpół otwarte drzwi.

Pchnęli je.

Rano, tak koło dziewiątej z minutami, po pobieżnej odprawie trzech byli policjanci, tym razem bez kobiecego wsparcia, bo jednak Ada nie zamierzała im towarzyszyć, choć karteczka skierowana była właśnie do niej, poszli na Sądową 3/4, żeby porozmawiać z tym, kto tam mieszkał. Mieli zamiar poprosić tę osobę, by udała się z nimi do domu Ady i tam wszystko wyjaśniła albo żeby choć powie-działa, o co chodzi.

Skąd kartka, skąd pomysł wezwania Ady i dlaczego ten ktoś po prostu do niej nie przyszedł. W końcu tutaj Ada była na tyle znana, że każdy wiedział, gdzie mieszka, a jak nie wiedział, to mógł się dowiedzieć, i to bez kłopotów.

I, co najważniejsze, czego dotyczyła sprawa. Ta sprawa, o której chciał poroz-mawiać z Adą.

Bo przecież to coś mogło wcale nie dotyczyć babki Mareckiej i jej domniemanego zabójstwa.

Mogło chodzić o sto tysięcy innych spraw, jak choćby zgłoszenie, że sąsiad pali starymi kaloszami albo że w piwnicy załęgły się szczury, choć oczywiście tak bardzo w te kalosze i szczury nie wierzyli. Po prostu profilaktycznie brali je pod uwagę, żeby się nie rozczarować.

Kamienica była narożna, stara i dość odrapana. Numer trzeci znaleźli bez problemu, zwłaszcza że były tam tylko trzy klatki. Czwarte mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze, bo na każdym piętrze były tylko dwa numery.

Zadzwonili.

– Wiesz, ja to czuję, że coś będzie nie tak – stwierdził Hubert. – Powinniśmy przyjść tu wczoraj.

– Dlaczego?

– Bo on albo ona nie żyje, została zamordowana? – westchnął Mundek.

Zapukali. Nadal nic.

A jednak usłyszeli jęki.

– Taaak, ojjj, oooo – jęczało coś bardzo sugestywnie.

– Seks?

– Może i seks – zgodził się Hubert.

Edzio walnął głośniej. Też nic nie dało. W akcie desperacji nacisnął kławkę.

Mieli rację.

Kiedy weszli, w pokoju przy biurku dostrzegli mężczyznę. Był im całkowicie nieznany. Siedział z roztrzaskaną głową i wyglądał tak, jakby na nich czekał.

Dookoła pełno było krwi, na ścianach widniały specyficzne rozbryzgi, jakby ktoś z rozmachem majtał pędzlem umoczonym w posoce po to, żeby ozdobić i sufit, i ściany, albo tłukł biednego faceta z zapamiętaniem godnym jakiejś potwornej wściekłości.

A mimo to w pokoju właściwie panował porządek.

– Szlag! Trzeba wezwać policję! – jęknął Edzio. – Sami tu niczego nie dotykajmy, przecież to jakaś masakra.

– A ja coś czułem! – pochwalił się sam przed sobą Hubert.

– Lepiej nawet o tym nie wspominaj, wiesz, jak oni reagują na takie przecucia.

Wszyscy trzej wiedzieli.

– Taaak, ojjj, oooo – zajęczało coś bardzo sugestywnie, jakby w przedpokoju.

Odwrócili się.

W przedpokoju, całkowicie wtuleni w szafę stali Melka i Mateusz.

Nie, nie uprawiali seksu, ale byli tego bardzo blisko.

– Odpiardoliło wam?! – wrzasnął Hubert i potrząsnął obojgiem tak mocno, że świat zewnętrzny wreszcie do nich dotarł. – Co wy tu robicie i... dlaczego?!

– Oooooj, oooooj, tak, tak się bałam – jęknęła Melka. – To straszne... Nie mogę się otrząsnąć, ta krew jest wszędzie. O Boże...

– Potworne...

– I dlatego uprawialiście tu seks?! W szafie? Zdurnieliście?! Jesteście obrzydliwi, tu są zwłoki! – wrzasnął Edzio, całkowicie zniesmaczony sytuacją.

– To nie był seks, ja ją tylko pocieszałem. Właśnie przez te zwłoki!

– Przecież nikt się ich nie spodziewał.

– Dlaczego nie wezwaliście policji?

– Wiedzieliśmy, że wy zaraz tu przyjdziecie.

Zwyczajnie tak się przestraszyli, że rzucili się sobie w ramiona ze skutkiem śmiertelnym. Nagle Melka zauważyła urok Mateusza, a on doznał poparzeń trzeciego stopnia od tego, jak była gorąca. Nie wróżyło to dobrze.

– Won! – wrzasnął Hubert. – Nie macie prawa się macać w takiej sytuacji! W ogóle nie macie prawa! Ojciec ci da! Zobaczysz. – Wuj Hubert zrugnął Mateusza. – A ty od ciotki taki opieprz dostaniesz, że...

– Może będziecie się od naszych spraw odpieprzyli? To nie był seks! Nie! Nie był! To był stres! – wrzasnęła Melka – Wezwaliście policję?

Ada poczuła, że wczorajszy dzień nie zakończył się tak, jak powinien. Postanowiła zadzwonić do Kościuchowej.

Nie chciała jej obudzić, ale bardzo chciała się zorientować, gdzie się wczoraj podziała.

– Coś dzwoni! – zawołała Melka i z głupotą nowicjusza, który nie wie, że jak się czeka na policję, nie należy niczego dotykać, podniosła leżący w przedpokoju telefon, na szczęście przez chusteczkę, i podała go Edziowi.

Wściekł się jej głupotą, ale właściwie nie było już sensu się krygować. Odebrał.

Ada mocno się zdziwiła.

– Co ty robisz u Kościuchowej? I dlaczego odbierasz jej telefon? Miałaś być na Sądowej!

– No i jestem – odparł Edzio.

– No i co tam? Kościuchowa też tam jest?

– Nie, ale jej telefon chyba tak.

– To trzeba będzie... Zaraz, telefon? Tylko?

– Nie licząc zwłok, to tak.

– Czyich zwłok? Kościuchowej?

– A coś ty? Nie, jej zwłok nie ma, chyba, bo nie wchodziliśmy, ale są inne, jakiegoś faceta. Nie znam go zupełnie, nikt go nie zna. Nawet Mateusz i Melka.

– Oni też tam są?! – wściekła się Ada, bo jakoś tak wyszło, że tylko ona nie uczestniczyła w tym makabrycznym spędzie, i to na własne żądanie – Co oni tam robią?

Było to pytanie retoryczne, na które odpowiedzi się nie spodziewała, no może jakiejś w stylu „przyszli przypadkiem” albo „spotkaliśmy ich po drodze, to weszli”. A jednak uzyskała odpowiedź, i to dość niekonwencjonalną.

– Co robią? Teraz już nic – westchnął Edzio.

– Czyli wcześniej coś robili? Co?! Mów natychmiast!

– Uprawiali seks! – wrzasnął z oddali nieco wściekły Hubert. – Policja jedzie.

Rzeczywiście wszyscy, prawdopodobnie oprócz ofiary, bo nie wiadomo, jak z tym jest, usłyszeli jęki policyjnej syreny.

– Co wy tu robicie?! – wrzasnął aspirant Koziółek, widząc swoich byłych starszych kolegów i dwoje młodych adeptów sztuki detektywistycznej stłoczonych w korytarzu i zadeptujących, z pewnością celowo, ślady zbrodni i zbrodniarza.

Ada nie wiedziała, co ma zrobić. Iść na Sądową czy do Kościuchowej, zdecydowała się na to drugie.

Sądowa mogła poczekać, a nawet jakby co, trudno się było spodziewać, że idąc tam, dowie się czegoś więcej niż z relacji tych, którzy już tam byli. Za to Kościuchowa, jej wczorajsze zniknięcie i sprawa z telefonem domagały się porządnego wyjaśnienia.

Jeżeli jej telefon był na Sądowej, to już wiadomo, dokąd ona wczoraj poszła.

Dziwne, Ada wcale jej o to nie podejrzewała.

A jeżeli tam znaleziono zwłoki, a ona tam poszła, to możliwe, że... No tak, telefon to nie ręka czy noga, ale jednak rzecz bardzo osobista.

Już miała wychodzić z domu, kiedy zadzwonił Edzio.

– Przywieź tę cholerną kartkę, co ją wczoraj dostałaś, bo nie chcą nam uwierzyć, że przyszliśmy tam ze sprawą. Chcą nas w morderstwo wpakować.

Policjanci byli znani z tego, że próbowali za wszelką cenę sprawy wyjaśniać jak najprościej i jak najszybciej.

Chcąc ratować swoich kolegów i współpracowników, pojechała na posterunek.

* * *

– I tak całym tabunem, w pięć osób zjawiliście się u faceta z samego rana? – Przesłuchujący ich już w tej chwili razem, po wcześniejszych przesłuchaniach indywidualnych, na których nie dowiedział się niczego konkretnego, to znaczy w każdym razie nie tego, czego tak bardzo pragnął, położył kartkę na stole.

Była zabezpieczona folią. Obok leżała też fotokopia, którą podsunął pod nos Edziowi.

– Tak, dokładnie tak!

– Po co?

– Żeby się dowiedzieć, czego od nas chce!

– Kto?

– No ten ktoś.

– Ale dokładnie kto? Nazwisko, imię?

– A skąd mam wiedzieć, kartkę podał nam barman. Było ciemno, nie znał tego, kto mu ją dał.

– A wy?

– A skąd mielibyśmy znać? Nawet nie widzieliśmy, ani kto, ani kiedy mu ją dawał. Równie dobrze barman mógł sam to napisać.

– Po co?

– A cholera ich wie – mruknęła Melka, budząc konsternację. Była cały czas wtulona w Mateusza.

– Ich?

– No ich – powtórzyła, wzruszając ramionami, dziewczyna o tęczyowych kołtunach, bo tego, co miała na głowie, włosami nazwać się nie dało.

– Jakich ich? Bo tu pani Ada mówi, że podał jej to barman, a był tylko jeden, więc skąd wzięła pani to rozmnożenie?

– Znikąd. Przecież wiadomo, że babkę Marecką jakaś szajka załatwiła, a nie jeden. Ktoś jakiś... To zbyt skomplikowane.

– I to miało coś wspólnego z babką Marecką i jej samobójstwem, jak rozumiem?

– Nie, nie rozumie pan, to nie było żadne samobójstwo! – prawie krzyknęła.

– I dlatego poszliście zabić tego biednego faceta?

Popatrzyli na siebie, skonsternowani.

– Nikogo nie zabiliśmy. Zresztą jeżeli to był ten Bobik, to możliwe, że ktoś z mafii go zabił, a my trafiliśmy przypadkiem.

– Bobik? Jaki Bobik?

– Antoni.

– Nie, ten facet nie nazywał się Bobik – wyjaśnił aspirant Koziółek.

– O, ale jaja, nie Bobik? Poważnie? A jak się nazywał? – Edzio chciał być grzeczny, ale też zależało mu na informacjach, które przecież czasami można było zdobyć nieoficjalnie i niepostrzeżenie.

– Krzysztof Marecki.

– Marecki? – krzyknęli wszyscy naraz, włącznie z Melką i Mateuszem, nie wyłączając Ady. – Poważnie? Marecki? Przecież to niemożliwe! Facet musiał być z jakiejś rodziny albo co. I ktoś go załatwił z powodu babki Mareckiej i ja wiem nawet kto – dokończyła kobieta, zdecydowana powiedzieć wszystko, co wie. – Kościuchowa. To jej telefon.

Wskazała na także leżący w folii na stole aparat.

– No, rzeczywiście mężczyzna samobójstwa popełnić nie mógł, załatwić się ciosem łomem w głowę samemu nie ma szans. W każdym razie nie sześciami ciosami.

To stwierdzenie niestety było bardzo prawdziwe, ale w tej chwili wszyscy zaczęli się fascynować morderczymi możliwościami Kościuchowej.

– Polazła tam i załatwiła biedaka – oświadczyła Melka.

– Ale skąd by wiedziała?

– I tu jest problem. Ona była z nami, kiedy barman oddał mi tę kartkę.

– Widziała ją?

– Nie wiem, było ciemno, ale raczej tak, bo co?

– Bo to. – Aspirant podsunął im kartkę. – Widzicie ten paproch? To nie jest „a” i w adresie nie widnieje ulica Sądowa. Chodziło o Sadową!

– To skąd się tam wziął ten Marecki?

– Mieszkał tam, ludzie mieszkają w różnych miejscach – mruknął z przekąsem.

– Zaraz, twierdzicie, że ktoś go zabił celowo, chociaż się pomylił? To się nie zgadza, nie ma szans. Tak się nie da. Albo ofiara była celem, bo nazywa się Marecki i adres jest w porządku, albo ofiara to przypadkowy mężczyzna i pomyłono adres.

– Przypadkowy, a nazywa się Marecki?! Bzdura!

Mateusz poprosił o dostęp do laptopa, udostępniono mu go. Pogrzebał chwilę w sieci. Nie zajęło mu to nawet zbyt dużo czasu.

– W Google znalazłem takich ponad dwa tysiące, a w samym Prasławcu dwustu ośmiu. To jednak mogła być przypadkowa ofiara... – powiedział zmęczonym głosem.

– Tak czy tak, albo jedno, albo drugie – stwierdził aspirant Koziółek. – Jadę pod ten drugi adres. Wy tu na mnie zaczekacie.

– A może ja bym mogła? – zapytała Ada.

Jej status był w porządku, ze względu na to, że nie była obecna na miejscu zbrodni, a na dodatek była adresatką wiadomości, która wszystko rozpoczęła, więc pozwolił jej sobie towarzyszyć. Miała alibi, choć nie było jeszcze wiadomo, kiedy mężczyznę zabito.

– I jak pani myśli, co tam zastaniemy?

– A skąd mogę wiedzieć? – odburknęła, niezadowolona z takiego pytania – Ktoś mnie tam wzywał, ale kto i po co, nie mam pojęcia. W ogóle to dziwne, bo do klubu poszłam pierwszy raz od lat, nikogo poza swoimi i Kościuchową o tym nie powiadomiłam, więc ten ktoś musiał działać pod wpływem impulsu. Nie mógł się mnie tam spodziewać w żadnym razie.

– A kto wiedział o adresie?

– Kartkę komentowaliśmy wszyscy dość głośno. Adres też. Więc cały tabun ludzi, których nie widziałam, bo w barze było ciemno. Każdy, kto tam był, mógł go usłyszeć.

– I to by się zgadzało, bo jeżeli ktoś usłyszał ten adres, podkreślam, usłyszał, to mógł coś przedsięwziąć, ale że postanowił zabić, nie wiedząc kogo? To też dziwne.

– A zakłada pan, że ktoś celowo postanowił zabić kogoś, o kim wiedział tylko tyle, że chce się ze mną spotkać? Głupie, nie? Przecież to nie musiało być związane z Marecką, z jej zabójstwem, czy jak tam chcecie samobójstwem, to mógł być podryw. Zwyczajnie, ktoś chciał mnie poderwać?

Ada oczywiście zdawała sobie sprawę, że na podryw (i porywy serc) w swoim wieku i przy swojej tuszy ma marne szanse, przynajmniej w takim miejscu, ale miała rację. Ktoś, kto postanowił zabić, zrobił to na podstawie tylko i wyłącznie jakiegoś przeczucia.

Nie chciał dopuścić do spotkania, oczywiście nawet gdyby to miała być tylko randka, to mógł istnieć ktoś, kto mógłby nie chcieć do niej dopuścić, jakaś żona czy narzeczona, ale Ada zdawała sobie sprawę, że to jest i głupie i skrajnie naciągane.

Trzeba było, i to poważnie, brać pod uwagę, że istnieje ktoś, kto nie chciał dopuścić do spotkania Ady z kimś. Jakimś kimś, kogo nie znał, czyjego adresu nie znał, a jednak uważał, że to spotkanie może być dla niego niebezpieczne.

Było to aż tak bzdurne, że wręcz prawdopodobne.

– No a nazwisko? – Policjant nie szukał u Ady wiedzy, sam doskonale zdawał sobie sprawę z różnych zależności i przypadków, ale chciał podtrzymać rozmowę, a poza tym czasami w takiej sytuacji komuś wyrwie się nieświadomie coś, co może zmienić bieg rzeczy, lubił słuchać, ale że nie interesowały go choroby ani ceny w marketach, umiejętnie kierował rozmowy na tematy, które mogły go zainteresować.

– No, nie wiem. To już zupełnie... Przecież to musiałby zrobić jakiś debil, bo gdyby rzeczywiście Marecka wyszła za mąż, to, o ile by chciała, zmieniłaby nazwisko, ale jej mąż nie zmieniałby go na Marecki, zresztą to się da sprawdzić, chodzi mi o coś innego, o to, że ten morderca jest debilem albo my czegoś zupełnie nie rozumiemy.

– Mam nadzieję, że nie rozumiemy – westchnął policjant. – Z debilami sprawa jest o wiele poważniejsza, niestety. Nie dość, że są chaotyczni i nielogiczni, to jeszcze trudno za nimi nadążyć, a ja nie chcę tu jakiejś masakry. Pani sobie zdaje sprawę, z czym to mogłoby się wiązać?! Przecież to już wygląda makabrycznie, jakby ktoś mordował, kogo popadnie! Jak leci! Wolę zakładać, że coś w tym jest, a my po prostu nie rozumiemy!

Mógł oczywiście zakładać, co chciał, życie musiało to zweryfikować, teraz jednak dojechali właściwie na miejsce i na tego typu rozważania nie było za bardzo czasu.

Ulica Sadowa istniała, co skonstatowali z zadowoleniem, i była to zbieranina maleńkich domków, takich dwurodzinnych, podany numer zobaczyli już z daleka. Tyle że nie był to numer trzy przez cztery, ale trzydzieści cztery.

Po prostu domki nie miały żadnej wewnętrznej numeracji, bo nie były podzielone na mieszkania.

Dom, o którym mowa, był niezbyt nowy i niezbyt piękny, ale wiele sobie po nim obiecywali. Zaparkowali przed bramą, weszli na posesję, doszli do drzwi.

Zapukali.

– Policja, otwierać! – wrzasnęła Ada z zachwytem.

– Aaaaa! – wrzasnęło coś na tyłach, łupnęło, a potem dodało straszliwym głosem: – O ja pierdołę! Nogę złamałem.

Policjant złapał się za głowę.

– Zdurniała pani?! Przez takie durne odzywki człowiek mógł się zabić! Przestraszyła go pani!

– Tylko przestępcy boją się policji. – Ada się skrzywiła, choć z pewnością nie miała racji.

– Za to wrzasku boi się każdy! – burknął policjant.

Pobiegli za dom.

– Chciał pan uciec? – zapytała złośliwie Ada, którą aspirant miał ogromną ochotę dzielić swoją policyjną pałką, bo zachowywała się jak dziesięciolatek, który z zachwytem włącza syrenę radiowozu, jeżeli mu tylko na to pozwolić albo choć pokazać guzik.

– Co pani? Jak uciekać? Fotowoltaikę naprawiałem, liści nasypało po wczorajszej burzy, chciałem je zmieść – westchnął mężczyzna. – Z dachu spadłem przez wasze wrzaski! Czego ode mnie chcecie? Debile! – rzucił i splunął.

– No bo ja wczoraj w klubie dostałam karteczkę, że mam...

– A no tak, kuźwa... To pani? No tak, słyszałem, że się pani zabójstwem babki Mareckiej zajmuje? – Mężczyzna trochę się uspokoił, a nawet jakoś ucieszył.

Aspirant Koziółek aż jęknął przy takim postawieniu sprawy, bo przecież był w mundurze, to do niego powinien był to powiedzieć ten facet, a tu takie coś.

– No, niby tak. – Ada zerknęła na policjanta z ukosa, nie wiedząc, jak się z tego wywinie, bo nie wyglądał na zadowolonego.

– No właśnie, kuźwa, bo nasza policja to tylko zawracaniem dupy się zajmuje, za przeproszeniem – wymówił to tak, jakby „przeproszeniem” było tylko bardzo formalnym stwierdzeniem, że facet chce powiedzieć swoje, ale nie chce kłopotów. – A ja to chciałem z panią pogadać, bo ja się z Marecką widziałem dwa czy trzy razy.

Teraz Ada przyjrzała się mężczyźnie. Tak jakby...

– Pan to jakby do jednego takiego podobny... – stwierdziła, zamyśliwszy się odrobinę.

– Wiem, kuźwa, wiem. Stefan jestem, Paraciej – przedstawił się – ale na weselach jako sobowtór Elvisa robię, tfu, znaczy występuję, nie pracuję i broń Boże, kuźwa, nie zarabiam – dodał pospiesznie, bo pewnie skarbówki o swoich dochodach nie zawiadamiał.

Ada wraz z policjantem przyjrzeni się puchnącej nodze mężczyzny. Nie wyglądała pięknie. Zresztą tak jak i on sam do pięknych nie należał. W ogóle był średni we wszystkim, nawet włosy miał bardzo średnio gęste i był średnio młody, to znaczy dla Ady, dla Melki pewnie byłby staruchem. Miał koło czterdziestki, może ponad.

– Trzeba pogotowie, bo jeszcze chwila i mu but wybuchnie – westchnął policjant i zadzwonił po pomoc.

– Ale co z tą Marecką? – zapytała Ada, chcąc wiedzieć dokładnie, o co chodzi. – I dlaczego pan sam nie podszedł, przecież ja nie gryzę! W klubie bym panu nic nie zrobiła.

– Kiedy ja, kuźwa, nie byłem w klubie! Dałem adres ziomkowi, barmanuje tam, żeby dał Melce, a ona miała przekazać pani – zaczął się trochę jakby tłumaczyć. Rzeczywiście to nie wyglądało za dobrze, a jeszcze w związku z tym, co się stało pod bardzo podobnym adresem, wcale dobrze to nie wyglądało.

Swoją drogą przypadek ma w życiu niektórych ludzi zdecydowanie wielkie znaczenie, bo kawałek herbacianego fusa, a może odnóże zdechłego pająka, które usadowiło się niechcący pod literą „a”, całkowicie zmieniając adres, po prostu zabiło tego nieszczęsnego faceta, który tam mieszkał.

– A po co?

– Po to, kuźwa, żeby z panią pogadać.

– To niech pan szybciej gada, bo jak znam życie, zaraz wyląduje pan w karetce – pośpieszyła go Ada, chcąc się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dobra, co racja, to racja. Kuźwa. Bo widzi pani... Babka dowiadywała się u mnie, co zrobić z testamentem – wyjaśnił, wzdychając, ale zrobił się zdecydowanie czerwony z bólu.

– Nie jest pan prawnikiem? – nagle zapytał policjant. – Bo nie rozumiem. Dlaczego? Po co? Dlaczego u pana? Jest pan?

– Nie jestem, kuźwa, co to to nie! – westchnął i jęknął z bólu.

Ludzie w policji nie znają życia. Jak ktoś taki jak Marecka poszedłby do prawnika, kiedy z prawnikiem nie można się dogadać? Przecież oni są jak jakieś maszyny do prawniczego bełkotu, a na dodatek każą sobie jeszcze płacić.

I idzie człowiek tam, wyczeka się, w poczekalni przestraszy, usłyszy kosmiczną mowę, potem kosmiczną sumę. Z mowy zrozumie może dwa słowa, i to wtedy jeżeli zostaną użyte takie jak „paragraf” albo „akt”, a i tak zrozumie, że się kobieta rozebrała, dysk jej wypadł i w paragraf ją wygięło.

Dlatego wszyscy wolą się radzić wszystkich, byle nie byli prawnikami, co skutkuje kłopotami, ale przynajmniej człowiek pojmuje, co do niego mówią.

Marecka widocznie radziła się Elvisa.

– No i co z tym testamentem? – zapytała Ada.

– No, kuźwa, chciała go napisać. – Mężczyzna wzruszył ramionami i zawył z bólu.

– Mam nadzieję, że się pan tego nie podjął? – warknął ostrzegawczo aspirant Koziółek.

– Oczywiście, że nie. Kazałem, kuźwa, jej iść do notariusza jakiegoś. Bo ona synowi wszystko chciała zapisać. Jezu, jak to cholerstwo boli! – zawył. – To była tylko taka, kuźwa, przyjacielska porada.

– Ale to żeś jej pan poradził. – Ada roześmiała się złośliwie. – Przecież to bez sensu, tak czy tak, on po niej dziedziczy, więc w sumie nawet nie musiała tego testamentu spisywać. Po co? Niepotrzebnie naraził ją pan na koszty.

Na ulicy zajęczała i po chwili zamilkła karetka.

Jechała na sygnale chyba tylko dlatego, że została wezwana przez samego aspiranta Koziółka, bo inaczej na pewno nie słyhać by jej było z daleka ani nie przyjechałaby przed wybuchem buta, który już zaczynał się wybrzuszać. Noga puchła paskudnie i bardzo szybko.

Nie wiadomo było, czy to złamanie, czy to skręcenie, ale coś z tą nogą było nie tak.

Ratownicy podeszli do leżącego z całym kosmicznym sprzętem i zaczęli się nim zajmować dość intensywnie, co wywołało jego wrzask.

– Nie, no w takich łapciach na dach? Szkoda, że nie w crocsach, bardziej by się połamał – wyzłośliwił się jeden z nich.

– Nie, nie ma pani, kuźwa, racji – jęknął połamaniec. – Ona musiała zrobić ten testament – dodał. – Musiała, bo to było ważne.

– Ale dlaczego? Przecież nikt inny po niej nie dziedziczył. Jeżeli ma się jednego jedynego spadkobiercę, nie ma sensu robić testamentu, bo i tak wszystko mu przypadnie. Nikt inny nie dziedziczy...

– No właśnie, że dziedziczył. Jej syn!

– To ja już nie rozumiem. Coś pan motasz, albo to z gorączki, albo na łeb pan upadł – westchnęła Ada. – Chciała, żeby dziedziczył syn, ale dziedziczył po niej syn, więc napisała, żeby dziedziczył syn, bo mógł odziedziczyć syn. To jest chore!

– Wcale nie. Ona miała dwóch synów!

Trzask zamykanych drzwi karetki nie pozwolił na zadawanie dodatkowych pytań, ale aspirant Koziółek wiedział, do kogo dzwonić.

– Teraz to ja jakby rozumiem – stwierdziła Ada. – Ale ta dziewczucha mówiła... Nie, no, był testament, ktoś go ukradł, teraz to wydaje się logiczne.

– Syn?

– Tu mamy spory wybór: syn, synowa, wnuki. Bo jeżeli ona miała ich wydziedziczyć, to byłby motyw.

– Nie taki znowu wielki, jest przecież zachówek.

– Ciekawe, dlaczego nikt nam o tym synu nic nie powiedział – zdziwiła się Ada. – Pewnie jakiś marnotrawny czy co? A pojechalibyśmy może teraz do Mareckich? Żona raczej w pracy, ale może Mareckiego zastaniemy.

Odeszła na bok, udając, że musi sobie biustonosz za rogiem poprawić, i zadzwoniła do Melki.

– Bierz, kogo chcesz, i jedź na bazar popytać o Marecką, jak ona z domu była, skąd pochodzi, gdzie mieszkała.

– Policja nie znajdzie?

– Znajdzie, ale nam nie powie, to po pierwsze, a po drugie, nie będziemy wiedziały, kto wiedział, a mnie nie tylko informacje interesują, ale i ploty, nie mówiąc już o tych, którzy je roznoszą.

W tym momencie Ada pojęła też coś, czego dotąd nie pojmowała. Zawsze ją dziwiło, skąd się biorą podwójne nazwiska, żeńskie nawet rozumiała, męskich nie bardzo. No bo żona może nazwisko męża dołączyć do swojego z takich czy innych względów, choćby dlatego, że to modne, choć połączenia bywają czasem zaskakujące, ale u mężczyzn tak się zdarzało bardzo rzadko, ale nagle zrozumiała – teraz o Elvisie połamańcu nie myślała inaczej jak „Stefan Kuźwa Paraciej”. I to naprawdę niezłe brzmiało.

Wróciła do aspiranta Koziółka nieco zaróżowiona.

– No już jestem, to jak?

– Ma pani całkowitą rację, pojedziemy tam, my sobie z nim pogadamy, a potem sprawdzi się w bazach, co wiadomo.

– A ten Marecki to nie był Marecki? Znaczy syn?

– Hmmm – policjant skrzywił się nieco niepewnie – nie no, chyba nie, choć kto wie? Bo czy to był syn z tego samego ojca? Zresztą nie gdybajmy. Jedźmy.

Melka złapała Huberta i kazała się zawieźć na bazar, a ten, choć za taksówkę nie chciał zazwyczaj robić, tym razem miał ochotę z nią pogadać, a właściwie przemówić jej do rozumu.

Do tego bufet w domu Ady nie był dobrym miejscem, bo ktoś mógł tam wejść, a najbardziej mógł tam wejść Mateusz, choć niby nie musiał, ale mógł, a w tej chwili zajmował się instalowaniem komputera i komputerów w pokoju przyjęć, który miał być gotowy na moment, kiedy naprawdę ruszą z działalnością, dlatego śmiali się, że instaluje „komputer i komputery”, bo jeden działał naprawdę, a reszta robiła wrażenie.

Jeden był tylko po to, żeby wyświetlać wygaszacz ekranu, taki fajny z rybkami akwariowymi. Drugi migał światełkami i nie robił nic, trzeci od czasu do czasu sam się włączał, wyświetlał napis „uwaga, ważna wiadomość” i gaśł.

Ada uważała, że ten jest najważniejszy, bo robi świetne wrażenie, jakby byli w centrum jakichś spektakularnych wydarzeń.

Dlatego Hubert zdecydował się podwieźć Melkę.

Oczywiście, gdyby ona sama wiedziała, jaki wykład umoralniający ją czeka, poszłaby piechotą, nawet gdyby odległość wynosiła kilkanaście kilometrów. Nie lubiła umoralniania.

Nikt tego nie lubi i zazwyczaj ani nie ma ono sensu, ani żadnych skutków nie odnosi, ale ludziom w pewnym wieku wydaje się, że jak wszystko wytłumaczą, to przecież każdy powinien zrozumieć i się zgodzić.

Takie na przykład porady, jak „Weź się w garść”, „Wam młodym to się w dupach poprzewracało” albo „Nie będzie ten, to będzie inny” jeszcze nigdy nie odniosły pożądanego skutku, a i tak ludzie w pewnym wieku wciąż je stosują.

Jeszcze gorzej jest z nakazami i zakazami.

Te odnoszą skutek odwrotny.

Poza tym Melka była wolnym duchem, jak to się teraz mówi, robiła zawsze, co chciała, nosiła zawsze, co chciała i nie przejmowała się niczym, nawet własną matką czy ciotką, które owszem kochała, ale to nie zmieniało faktu, że chciała żyć po swojemu.

To jej życie po swojemu wywoływało często pewne niedogodności, ale wołała to niż nudę. Pewną w tym wypadku niedogodnością był Mateusz, szczególnie

ostatnio, bo nie był nudny.

Właśnie dlatego. Gdyby, jak większość chłopaków, których spotykała, wstawiał jej durne teksty na podryw i liczył, że ona się w nim zakocha, to problemu by nie było. Melka z podrywami sobie radziła. A Mateusz nie dość, że był do rzeczy, to jeszcze nie był głupi. A to niestety kusi.

Po ostatnim wypadku dodatkowo okazało się, że, no... jakby... pasują do siebie. Cieleśnie.

Tego nie można było odrzucić.

A tu takie coś.

– Musisz sobie dać spokój z Mateuszem – zaczął Hubert – to nie jest chłopak dla ciebie!

Takie teksty zazwyczaj odnoszą odmienny skutek. Melka natychmiast pomyślała, że właściwie, skoro tak jej go zabraniają, to może w tym Mateuszu jest coś szczególnego.

Naburmuszyła się nieco i w jej głowie powstała myśl wręcz genialna. W całowaniu był świetny, może spróbować czegoś więcej?

– A czemuż to nie dla mnie? – zapytała hardo, a niczego niespodziewający się Hubert poszedł w to bez zastanowienia.

– Oboje jesteście tacy pokręceni. Dzieci z tego nie będzie, a jak będą, to nie wiadomo, co z nich wyrośnie. Zrozum.

– Ale ja nie zamierzam mieć dzieci! Gdzie? Dzieci? Ja? W życiu! – odburknęła Melka.

– No ale wiesz, matka Mateusza i mój brat, oni chcą mieć wnuki. Musisz o tym pomyśleć.

– Nie, nie muszę! – roześmiała się Melka. – To jest, do cholery, moje życie, oni swoje już przeżyli, nie będą mi mojego układać!

– Ale nie z nim! – jęknął, tracąc grunt pod nogami.

– A właśnie, że z nim! Ja się do waszego życia nie wtrącam! Zostawcie moje życie i moją dupę w spokoju! I moje dzieci! I Mateusza! I w ogóle odpieprzcie się ode mnie!

Dom Mareckich był otoczony siatką, nieco już zardzewiałą, a furtka zamykana była jedynie na nieśmiertelny drut. Wyraźnie nikt tu ani monitoringu, ani innych zabezpieczeń nie stosował.

I raczej nie miał po co. Był to jeden z tych średnio zamożnych domów, z których włamywacze nie mieli za bardzo czego wynosić.

Dlatego aspirant Koziółek i Ada weszli na posesję bez problemu, zostawiwszy samochód na ulicy.

– Tylko, pani Ado, bez popisów! – Policjant pogroził jej palcem. – Nie chcę, żeby znowu ktoś zrobił sobie krzywdę.

– Oj tam, oj tam, zaraz krzywdę, zleciał to zleciał, to nie moja wina, ale tych łapci, w których laził po dachu. Fotowoltaikę, tfu, deptał czy jak?

Koziółek nie odpowiedział.

Dom był chyba pusty i w miarę cichy.

I to ostatnie jednak trochę ich zdenerwowało, bo był cichy, ale nie całkiem.

Ktoś w nim jęczał bardzo żałośnie.

– A jednak! – westchnął policjant. – Teraz wszystko rozumiem. Ktoś chciał zabić jednego Mareckiego, zabił drugiego! Jakiś pomór na tych Mareckich czy co? Musimy chociaż tego jednego uratować!

– Nie, no chyba nie ma potrzeby! – Adzie te jęki z zabójstwami się jakoś nie kojarzyły.

Kojarzyły się za to z czymś bardzo przyjemnym, choć sadystką ani masochistką nie była.

Pewien rodzaj jęków sam w sobie, choć żałośliwy, nie jest wcale wołaniem o pomoc, ale policjanci miewają swoje zboczenia zawodowe. Jednym z nich jest dopatrywanie się wszędzie przestępstw i ofiar.

– Ktoś chyba jest ranny! – stwierdził Koziółek, wychwytyjąc swoim policyjnym uchem coś, co go zaniepokoiło. – Płacz? Ktoś się skarży?

To akurat było możliwe, bo gdzieś z tyłu domu słychać było właśnie takie jakieś ciche, jękliwe zawodzenie.

– Nie wiem jak pani, ale mnie to się nie podoba.

– Nie, no podobać to mnie też się nie podoba – odpowiedziała zgodnie z prawdą, bo zajrzała przez okno i w lustrze dostrzegła coś, co bardziej jej się z przyjemnością niż z mordowaniem skojarzyło, ale fakt, podobać się jej nie podobało.

Cudzy seks nie bardzo ją kręcił, zwłaszcza teraz kiedy nie uprawiała własnego, jednak nie powiedziała o tym policjantowi, żeby o niej źle nie pomyślał.

Rozmowy o seksie są w ogóle w porządku, ale niekoniecznie z prawie obcymi policjantami, młodszymi o pokolenie albo i o trzy.

Przeszli za dom, gdzie zobaczyli otwarte odrobinę okno tarasowe.

Policjant oczywiście uznał to za oznakę włamania. Może nie takiego chamskiego, gdy ktoś wyważa drzwi czy rozbija okna, ale na przykład wykorzystuje otwarte drzwi, które ktoś zostawił przez przypadek albo zapomnienie.

Włamanie skojarzył z napadem, napad z bronią, broń z ofiarą, ofiarę z jękiem, jęki z Mareckim i był zadowolony. Wszystko mu pasowało. Wyciągnął wnioski. Były pochopne i z założenia błędne, ale on się tym nie przejmował.

– Ten ktoś może mieć broń! Musimy interweniować! – oświadczył, zachwycony swoimi intelektualnymi osiągnięciami.

– Nie musimy! – mruknęła Ada, ale było już za późno.

– Policja! Otwierać! – wrzasnął aspirant. Nawet nie walił w drzwi, bo były otwarte, w sumie i tak lepiej, niż gdyby krzyknął coś w stylu „jesteście otoczeni” albo „poddajcie się i wyjdźcie z podniesionymi rękoma”.

– Aaaaa! – wrzasnęła chyba kobieta, po wysokości pisku tak właśnie to odebrali, a potem wrzasnął drugi ktoś.

– Dusi ją! Dusi! – wrzasnął policjant, widząc dwa ciała w sytuacji dość w sumie jednoznacznej, a gdyby tego było mało, to widać było dwa gołe tyłki i całkowity brak noży.

Ada zaczęła mieć pewne wątpliwości co do jego edukacji seksualnej.

Mimo wrzasków na podłodze nadal kotłowały się dwa ciała usiłujące się chyba rozłączyć. To było dość szczególne.

Nie dawały rady.

– Wstawać! – wrzasnął Koziołek, z przyjemnością pogarszając sytuację. – Co pan tu robi?!

– No przecież mieszkam, Boże kochany, mieszkam! Marecki jestem! Mariolka, Jezu, puść mnie! – wrzasnął facet piskliwym głosem.

– Nie trzymam cię, debilu! Ona cię trzyma! – odwrzasnęła kobieta nazwana Mariolką, jakby ta konwersacja przeznaczona była dla sąsiadów z drugiej strony osiedla.

– Kto go trzyma? Kto? – Koziołek się rozejrzał z niepokojem. – Tu nikogo nie ma! Niech pani przestanie się wygłupiać. Jaka ona?

– Moja pusia! – wrzasnęła Mariolka.

– Jaka pusia... A... – Policjant wreszcie zrozumiał. Spłonął jak prawiczek. To znaczy zapłonął się, ale tak bardzo, że jego twarz wyglądała na ogniście czerwona.

– Prawiczek? W tym wieku? – szepnęła do siebie Ada, tak żeby nikt jej nie usłyszał, ale nie była w stanie się powstrzymać. – Mogłabym napuścić na niego

Melkę!

Na podłodze nadal rozgrywał się dramat.

Najgorszy z możliwych w dziedzinie seksu. I dość wstydlivy.

Pewna dość rzadka przypadłość dotknęła tych dwoje na dywanie w salonie pod wpływem stresu. Jakoś tak się zaklinowali, że stanowili w tej chwili jedność, ale nie byli tym specjalnie zachwyceni.

Stresu się spodziewali, właśnie po to tu przyszli, w końcu tu mogła ich dopaść żona, nie było to bardzo prawdopodobne, ale dodawało pewnego smaczku ich wyczynom, tylko wrzask policjanta załatwił ich na cacy.

Teraz stres gonił stres.

– O Boże, moja żona! Luśka zaraz może wrócić – jęknął Marecki. To się wcale nie spodobało Mariolce. Poczuała się jakaś taka oszukana.

– Przecież powinno ci być wszystko jedno, wreszcie będziesz mógł się rozwieść! – krzyknęła równie głośno co wcześniej, ale z wściekłością w głosie.

– Przestań, debilko – odparł nieostrożnie Marecki. Kochał Mariolkę, a nie kochał żony, co było oczywiste, faceci tak mają, ale kochanki to kochanki, a żony to żony, łatwiej zmienia się jednak kochanki.

Oczywiście to, co się czuje, i to, co się mówi, bywa często rozbieżne, ale istnieje całkiem spora grupa młodych, niekiedy nawet nie bardzo głupich dziewcząt, które wpatrzona w gruby portfel kochanka, nie widzą brzuszka, a ładny samochód likwiduje łysinę, pierścionek za każdy dodatkowy podbródek też robi swoje.

Jednak to nie jest najważniejsze. O wiele ważniejsze, jest, że żona go nie rozumie, że wcale ze sobą nie śpią i że on się rozwiedzie, jak tylko coś... Miną święta, dzieciaki skończą szkołę albo coś innego.

Jak będzie odpowiedni czas. Naiwne nie wiedzą, że odpowiedni czas nie nadejdzie nigdy, że one odejdą, zostaną zastąpione, a może urodzą troje dzieci, a odpowiedni czas jakoś nie będzie chciał nadejść.

Wacław Marecki Mariolkę poślubić chciał, ale kiedyś, nie teraz. No i bez awantur, a teraz kiedy dostanie spadek, Luśka mu na to nie pozwoli. Lubi luksus.

Posiadanie pieniędzy, to znaczy ewentualny spadek po matce, Mareckiemu sprawę komplikowało.

Mariolkę cieszyło, ale ona nie miała tu nic do gadania. Zresztą wszelkie konwersacje na leżąco były trochę nieeleganckie.

– No wstawajcie, do cholery! – wrzasnął aspirant Koziółek. – Nie mogę już na to patrzeć!

– Nie da się! – westchnął Marecki. – Zaklinowało mnie. Żeby tylko Luśka nie wpadła do domu, bo mnie wypierdoli na zbity pysk! – powiedział z wielką i nieostrożną szczerością, po czym dostał w pysk z równie wielką szczerością od Mariolki.

– Obiecałeś! Ty chuju niemyty! Obiecałeś, zboku pierdolony! Miałeś się ze mną ożenić!

Mariolka w miarę nabierania coraz większej wściekłości nabierała też brzydkich naleciałości językowych.

Ada i Koziółek stali za gołym tyłkiem Mareckiego i patrzyli na równie goły tyłek nieco mniej widocznej Mariolki i zastanawiali się, co robić.

Zakleszczenie się penisa w pochwie bywa traktowane jako żart, dowcip albo zabawna historyjka, prawda jest jednak taka, że takie zakleszczenie zdarza się czasami niektórym parom i wynika z silnego stresu w trakcie seksu.

Za ten seksualny efekt specjalny powinni podziękować aspirantowi Koziółkowi, bo to on tego stresu im dostarczył. Ponieważ zakleszczenie uniemożliwia wyjęcie członka z pochwy, oboje partnerzy niestety są pozbawieni możliwości ruchu, przemieszczania się, a nawet, co najciekawsze, ucieczki. I ta niemożliwość jeszcze bardziej przeraża, stresuje i zakleszcza.

A wizja żony, nawet bez wałka, nie ułatwia sprawy.

– To co, wzywać pogotowie czy klucz ich w tyłki jakąś igłą? – zapytała Ada.

– Po co klucz? – zdziwił się Koziółek. – Jakieś BDSM im pani chce zafundować? Zboczenie? O to chodzi?

– Żadne zboczenie, to podobno pomaga – stwierdziła Ada – ale słyszałem, że polanie wrzątkiem też.

– Jezu, tylko nie to! – wrzasnął Marecki, wiedząc, że jak w jednym, tak i drugim przypadku spotka to właśnie jego i będzie bolesne. – Zero igieł, zero wrzątku! Nawet nie próbujcie!

Nagle Ada pomyślała, że jakoś można by wykorzystać ten moment intymności. Zdjęła ze stołu obrus, koronkowy, ale jednak, i zarzuciła go na nagi tyłek Mareckiego. Przesłuchanie na golasa, no nie, to nie pasuje i potem można mieć kłopoty z całym tabunem prawników.

– Pan ma brata, panie Waławie? – zapytała Ada znienacka i ten nienacek przywalił w delikwenta bardzo mocno.

– No wie pani co? I pani wierzy w te bzdury? Przecież pani znała moją matkę?! – jęknął, jakby zaszokowany.

Policjant jednak ucieszył się, że Ada wylapała dla niego ten genialny punkt zaczepienia.

– No, ja nie znalazłem, nie wiem w ogóle, o czym pan mówi – wtrącił swoje trzy grosze, chcąc jak najwięcej się dowiedzieć niby mimochodem, ale jednak dla dobra sprawy.

– Że niby moja matka miała syna jakiegoś, nieślubnego? Przedślubnego? Nie, ona nic takiego nie mówiła, zresztą ona była chodzącą świętością! Za seks to by ludzi na stos skazywała, a gdyby mogła, toby babom... no te, p... no, zaszywała, żeby się nie puszczały. Matka była taka bardziej rąbnięta w tym kierunku.

Nie od dziś wiadomo, że kobiety, które najwięcej krzyczą, mało mleka dają, to znaczy krowy, ale jednak czasami kobiety są zwykłymi krowami, takimi wrednymi.

Seksistowski wydźwięk tego stwierdzenia jest jednak swego rodzaju prawdą. Kobiety nie lubią, kiedy inne kobiety bawią się zbyt dobrze. Niektórzy mężczyźni też nie, ale im można to jednak wybaczyć.

Za to ten rodzaj kobiet to takie, które same poszalały w młodości i wiedziały o seksie więcej niż niejedna współczesna młoda kobieta nawet niektórych profesji, a kiedy wiek łapie je w kleszcze, zaczynają być bardziej papieskie niż wszyscy papieże razem wzięci, i ci żywi, i ci martwi naraz.

I nagle zaczynają się interesować życiem i dupą wszystkich kobiet dookoła.

Kobiet, facetów nie ruszają. Faceci to mogą wszystko, bo im wolno, bo im przejdzie, bo nie zmydli się, bo muszą się wyszaleć, a kobiety mają być jak zakonnice.

Buźka w ciup, ręce w małdrzyk, a ciało w worek pokutny.

Więc wcale nie jest trudno spotkać taką świętobliwą matronę, a potem dogrzebać się w jej życiu i nieślubnych dzieci, i innych grzechów.

– Czyli miała? – zapytał Koziołek z nadzieją.

– Nie, chyba nie, nie wydaje mi się – wystękał Marecki, dzielnie pracując nad uwolnieniem się z kleszczy namiętności.

– Miała – jęknęła Mariolka spod Waclawa, poruszając się odrobinę i wreszcie jakby ciut uwalniając swojego partnera, ale stres związany z istniejącym czy też nie bratem znów ich zakleszczył.

– A skąd ty wiesz? – warknął Marecki. – Skąd w ogóle ci to do głowy przyszło? Moja matka to była straszna kobieta, ale święta też.

– Taka bardziej świętojebliwa – burknęła Mariolka. – Za panienki to się puszczała fest, naprawdę.

– Ale skąd ty masz takie wieści?! – Marecki obrażania matki nie znosił, choć on sam czasem miał ochotę ją zadusić. Jak jeszcze żyła, oczywiście, bo po śmierci, wiadomo, to już była musztarda po obiedzie.

– No jak to skąd? Od twojej żony! – odburknęła Mariolka, szczerze zdziwiona, że on nie wie takich prostych rzeczy.

– Przecież ty nie znasz mojej żony! – wrzasnął Marecki, a szok podszedł mu do gardła wielką ognistą kulą.

Przerażenie znów go unieruchomiło, ale powoli sprawa zaczynała go puszczać.

– Jasne, że nie znam, to znaczy przecież, że znam, nie muszę z nią kawek pić, żeby się z jej mężem pieprzyć – podała facebookową receptę na dobry związek. – Ona w sklepie coś powie, ktoś coś przyniesie, ktoś coś doda. Każdy zna twoją żonę! Dlaczego ja miałabym jej nie znać?!

Takie tłumaczenie było oczywistością. Odetchnął. Niestety, nie dane mu było zbyt długo cieszyć się tą niespodziewaną ulgą.

Zadzwoił telefon. To znaczy nie, zaryczał.

– Rroooooarrrr – wychrypiał dzwonek bardzo głośno.

– Jezu, niech pan mi poda komórkę, bo jak nie odbiorę, to mnie obije – jęknął Marecki, słysząc, że dzwoni żona, na której numer ustawił bardzo ciekawy dzwonek. Ryk Godzilli.

Policjant podał mu ryczący telefon dość niechętnie, ale rozumiał przesłanie. Mężczyzna, nawet jeżeli nie jest żonaty, rozumie takie zagrożenie.

– Tak, kochanie? – wysapał rozkosznie spod obrusa Marecki. – Czego potrzebujesz, kiciuniu?

Nie przełączył się na głośnik, ale po jego minie widać było, że bardzo się przejął.

Mariolka zrobiła taką minę, jakby chciała zwymiotować. Marecki kwilił nadal.

– Nie, no co ty? Jak to w domu? Nie, nie, to znaczy tak, jestem w domu, ale kochanka? Jaka kochanka? Nie, sąsiadka ślepa jest! Policja przyjechała. Poważnie, jak chcesz, to dam ci policjanta do telefonu – powiedział, pokazując palcem, żeby Mariolka nie ważyła się odetchnąć – i pani Ada jest. To może o nią chodziło. Przyjechali zapytać, czy mam brata. Rozumiesz? Taka głupota...

Zamilkł.

Coś przez chwilę w słuchawce bulgotało. Po czym Marecki zbladł.

– Kto? Mirek Próchno? Ten menel?

I w tym momencie go puściło.

– O ja pierdolę – jęknął i stoczył się z Mariolki.

Marecki rozłączył się, ale był tak blady, że zanim podciągnął spodnie, musiał usiąść.

– Nie, nie, zaraz, nie rozumiem. To nie może być prawda.

– Ale co? – zapytała Ada, bo przecież nie słyszała, co mówiła żona Mareckiego, choć tak jakby się spodziewała. Wolała jednak usłyszeć to od samego Mareckiego, to zawsze co innego niż własne przypuszczenia. Bo gdyby się zastanowił, to stwierdzenie wcale nie musiało dotyczyć brata.

„Kto? Mirek Próchno? Ten menel?” wykrzyczane przez Mareckiego mogło być na przykład odpowiedzią na stwierdzenie, że Próchno kupił pół kilo szynki parmeńskiej, że utopił się w fontannie albo że się zeni.

Mogło, ale nie było.

– No, Luśka powiedziała, znaczy żona – skierował swoje tłumaczenie do policjanta, który imienia jego żony mógł nie znać – że Mirek Próchno jest moim bratem. Wiecie, ten spod monopolowego. Niemożliwe. W ogóle, że brat i że on? Nie, no... Jakim cudem?

– Może się pomyliła? – zapytał ugodowo policjant, czując, że bardzo trudno jest uznać takie wieści za dobre.

– Luśka? Ona się nigdy nie myli! No chyba że przy wazeniu, ale tak to nie, a i przy wazeniu to się właściwie nie myli, tylko jaja sobie robi. Bo wie pan, ona zna wszystkich. To znaczy nie tak, że zna, ale ma doświadczenia.

– Przez te nerki, te nerki cielęce? – zanuciła Ada na melodię przeboju o oczach zielonych nieco zgryźliwie, ale Marecki pokręcił głową.

– Ale gdzie? W markecie? Nereczki cielęce? Niech pani zapomni, luksusów tam nie prowadzą. Co pani, nie, ona przez to, że ma podejście do ludzi, to zawsze się czegoś dowie.

– A do teściowej miała podejście?

– Nie za bardzo, kochać to się nie kochały, ale to jednak był normalny układ, teściowa i synowa nie powinny się kochać, bo to niebezpieczne.

– To skąd by wiedziała? O tym bracie, czy ja wiem?

Koziołek zadzwonił po coś na posterunek, po chwili jednak znów był obecny duchem, bo ciałem nigdzie się nie ruszał.

– Spokojnie, zaraz się wszystkiego dowiemy. Jest możliwe, że to pana brat, ale to przecież jeszcze nie jest jakiś większy problem.

– No jak nie jest? Wstyd na całe miasto! Pan sobie wyobraża? Próchno? Panie kierownika, złotówczyne? Da pan na piwo, szefie? Mirek moim bratem? No toż

ja się powieszę!

Ada go rozumiała, ale do samobójstwa nie chciała go zachęcać.

– A tam wstyd, wstyd to kraść i z gębą po kweście chodzić, a tu przecież chodzi o spadek! – Ada powiedziała coś, czego nie powinna była mówić.

– Ale jaki spadek? – Marecki otworzył szeroko oczy i spojrzął na Adę tak zaszokowany, że aż wszystkich ten jego szok zaszokował.

– No bo jeżeli to jest brat, to może coś dziedziczyć po matce. Logiczne. Dzieci dziedziczą po rodzicach. Nie zawsze, to fakt, ale zazwyczaj tak.

– Ale tak to chyba nie działa.

– Nie wiem w tej chwili, jak to działa, ale ktoś wspomniał coś o testamencie. A jeżeli w testamencie go wymieniła?

– No to teraz mogłabym zrozumieć jego zniknięcie.

– Ale przecież Próchno nie zniknął? – zdziwiła się Mariolka.

– Testament zniknął.

– Może to Luśka? – podsunęła usłużnie Mariolka.

– Co Luśka?

– Ona mogła go ukraść – stwierdziła z zadowoleniem.

– Niech tak pani nawet nie mówi – Koziołek pokręcił głową – bo to by znaczyło, że ona mogła też zabić swoją teściową.

– No mogła, nie mogła, mnie to wszystko obojętne – burknęła dziewczyna.

– Ale Mirek Próchno też mógł ją zabić – stwierdziła Ada – jeżeli wiedział? To aż za dobry motyw, on ciągle jest bez grosza. Mógł chcieć się wzbogacić.

Stali tak nieco już rozluźnieni i mniej więcej ubrani. Nie mieli zamiaru niczego więcej rozważać. Niestety. Do pokoju od strony tarasu wpadła Luśka. Wiodła ją ciekawość, więc wzięła godzinę wolnego, bo ona też była ciekawa, co też policja ma nowego do powiedzenia.

– O. – Stała jak wryta na progu salonu, a właściwie tarasu, i dzikim głosem ryknęła, wskazując na Mariolkę. – Co tu robi ta kurwa?! Wacek, ty żeś ją do naszego domu na harce...? Ty? Żeś, ja ci normalnie jaja oberżnę! A ją zabiję jak sukę! – rozdarła się teatralnie, wygrażając Mariolce, jakby ta dziewczyna była wszystkiemu winna.

– Tylko bez gróźb karalnych, szanowna pani! – zawołał aspirant Koziołek. – Tylko bez gróźb!

– Pan się zamknie – mruknęła Luśka. – Mój dom, moje prawo! Won mi stąd! – wrzasnęła do Mariolki. Maj hołm is maj szale! – wrzasnęła tekstem z Internetu,

którego nie rozumiała.

Jak zawsze w takich przypadkach winna była oczywiście kochanka. Nie mąż, bo on biedny i omamiony, tylko że Mariolka do w ciemię bitych nie należała, przynajmniej w tym względzie. To znaczy w sprawach damsko-męskich całkiem nieźle sobie radziła. W innych średnio, a jeżeli chodzi o matematykę, to mniej więcej wiedziała, że coś takiego istnieje.

– Zamknij ryja, ty stara purchawo! – Mariolka wzięła się do rzeczy bardzo dosadnie, dolewając oliwy do ognia. – Dom? Twój dom? A bierz go sobie. Ty suko niemyta, wątróbką śmierdzona! Ty, ty... mięsna wywłoko! – zakończyła z zadowoleniem.

– Czekał ty, będziesz jeszcze chciała schabu bez kości po promocyjnej cenie, gównu dostaniesz!

– A wsadź go sobie w dupę, tak jak i ten dom. Nikomu nie jest potrzebny!

– Mnie jest – jęknął Marecki – przecież muszę gdzieś mieszkać! Przestańcie obie! – Mężczyzna w obliczu kobiety maleje (normalny mężczyzna, nie mówimy o damskich bokserach), a w obliczu dwóch kobiet z nim związanych i posiadających wiedzę o tych powiązaniach znika jak topniejący śnieg.

– Ja? Ja mam przestać? Możesz mieszkać u mnie! – wyskoczyła z ofertą Mariolka.

– Ocipiałaś?! Dlaczego miałbym mieszkać u ciebie? – Nie do końca go zainteresowała, Mariolka miała kawalerkę i babcię maniakalną zbieraczkę. Raz nieopatrznie u niej został na noc, spał w kuwecie. To było jedyna powierzchnia płaska wolna od uzbieranych przedmiotów.

– Miałeś ją rzucić! – rzuciła Mariolka, licząc, że to wreszcie załatwi sprawę.

– Mariolka, przestań! Zdurniałaś?! Przecież ona mnie zabije! – zawył Marecki, który zaczął znikać jeszcze bardziej, zwłaszcza że Luśka rozglądała się za bronią.

Właśnie się szykowała do ataku. Nie ma nic równie wściekłego jak zdradzona kobieta, która wie, że jest zdradzana, i przez jakiś już czas przymyka oko, tłumacząc sobie, że on wróci, on zrozumie.

Kiedy to przymykane zbyt często oko nagle się otworzy, ma siłę rażenia młota pneumatycznego.

I co ciekawe, jeżeli tylko ma okazję, wcale nie atakuje mężczyzny, ale przyznę wszystkie nieszczęścia – kochankę.

Złapała wysoką lampę stojącą z okrągłym kloszem i rzuciła się na Mariolkę, miło by nawet powiedzieć, bezbronną Mariolkę, bo to by lepiej wyglądało, a w wiadomościach byłoby ciekawsze, ale Mariolka też była uzbrojona. Uzbroiła

się bardzo szybko. Chwyliła wazon ze stolika. Niby lampa miała większy zasięg, ale wazon miał właściwości miotające. Dźganie lampą zrealizowano natychmiast z okrzykiem żeńskiego wikinga.

– Ssss pierdalaj, ty kurwo, złodziejko mężów.

Zostało odparowane rzutem w klosz i miało zakończyć się z brzękiem, ale zakończyło się wrzaskiem. Trajektorja lotu wazonu nie pokryła się z zaplanowaną. Mariolka była marna z balistyki.

– O ja pierdołę, zabiła mnie! – jęknął Marecki.

Wazon trafił go w głowę.

Nie wiadomo, czy Mariolka celowała w głowę. I ewentualnie w czyją. Wiadomo, że w nią trafiła.

Za to lampa z brzękiem się rozłupła, co oczywiste, okrągłe klosze są delikatne, a że Luśka nie pokusiła się o wyciągnięcie jej z kontaktu, a zapalała się na klask (lampa, nie Luśka), trafiła żarówką w zęby Mariolki, lampa zapaliła się, zgasła i spadła na ziemię, wraz z jednym z nich.

– Suuko! – wrzasnęła Mariolka.

– Niech pan coś zrobi! – krzyknęła Ada.

Koziołek, którego zamurowało, nagle się ocknął i ruszył do walki, ale był sam wobec dwóch furii.

Ada nie zamierzała się wtrącać.

Koziołek najpierw dostał drugą lampą przez łeb, a potem kopa w klejnoty. To Mariolka, zażawiona po stracie jedyńki, nie widziała już, kogo kopie.

– Dość tego! Jestem policjantem! Nie ma pani prawa!

– Też mi problem – mruknęła Luśka.

– Atak na funkcjonariusza w trakcie wykonywania czynności – wyrecytowała Ada. – To może kosztować sporo i czasu, i pieniędzy!

– Mam czas! – odburknęła znowu Luśka, bo tego dnia nie zamierzała już wracać za ladę mięsną. Niby obiecała, ale życie jednak jest ważniejsze niż praca, a miłość małżeńska wymaga poświęceń.

– Chodziło mi o czas w więzieniu. – Ada wyjaśniła, o co dokładnie jej chodziło.

Marecki, biedny Marecki, o którego walczyły dwie zawzięte harpie, uciekł.

Wiedział, że którakolwiek zwycięży, będzie miał przechłapanę.

Zwycięstwo Luśki oznaczało bardzo dużo domowych kłopotów, cichych dni, a może i rękoczynów, też cichych, ale to po wyjściu wszystkich. Zwycięstwo Mariolki oznaczało, że zechce ona wygzekwować obietnice, szczególnie te zwią-

zane z rozwodem, co, tak czy tak, doprowadzi do bardzo poważnych domowych kłopotów, cichych dni, a na pewno i rękoczynów.

Wolał przeczekać, a poza tym musiał coś wypić.

Mówi się, że woda wysusza. I to prawda, jeżeli chodzi o skórę, ale awantury wysuszają duszę i trzeba ją nawodnić, a najlepiej nawódczyć.

* * *

O tym, że jest synem Mareckiej, Mirek Próchno dowiedział się, wychodząc z mięsnego, i poszedł zrobić awanturę ojcu, że zdradził matkę z Marecką (tak sobie wykalkulował) oraz obojgu rodzicom, bo wreszcie mógł im rzucić w twarz, że to przez nich się stoczył, przez nich pije i wszystko, co mu się zdarzyło, jest wynikiem traumy, którą mu zafundowali.

Takie postawienie sprawy zawsze kusi. To coś, co wcale nie wywraca życia do góry nogami, to coś wreszcie wszystko prostuje. Wreszcie widać, kto jest winny i dlaczego.

I wreszcie ci durni, wredni starzy, którzy wciąż ci tłuką do głowy, żebyś nie chlał, nie ćpał, albo żebyś się nie puszczała, muszą zamknąć gębę, bo okazuje się, że to ich własna wina!

Jakie to jest cudne! Jakież wspaniałe.

I nie tylko chodzi o to, że to ich wina, co jest wręcz wyzwalające, ale też i o to, że człowiek już wie, że on sam za nic nie może być obwiniany, bo to wszystko stało się zupełnie wbrew niemu.

– A więc to prawda! Jestem adoptowany! – krzyknął, wchodząc do domu i walc pięścią w drzwi szafy, bo drzwi do pokoju miały szybę, a on nie chciał się pokaleczyć.

– Co ty znowu wymyśliłeś, synek? – zapytała go matka, nawet nie bardzo staruszka.

– Znowu się nachlałeś czy może jakiś odlot masz? – zapytał ojciec. Nie był zaniepokojony, zdążyli się oboje przyzwyczaić do tego, jak żyje ich syn.

– Powiedzieli mi w mięsnym, że jestem synem Mareckiej! Że mnie od niej wzięliście! Adopcja czy jakoś tak!

– Synek, zjedz zupy, co? – zaproponowała matka tonem z reklamy batonika.

– Nie chcę twojej zupy! Nie jesteś moją matką! – wrzasnął Próchno tekstem połowy nastolatków tego świata i kilku wkurzonych kotów z Internetu.

– Jestem, niestety jestem – westchnęła kobiecina.

– Adoptowałaś mnie! Wiem o tym. Teraz nie chcesz przyznać się do tego, jak bardzo mnie skrzywdziłaś, jak wielką traumę przez ciebie przeżyłem, to przez ciebie jestem tym, kim jestem.

Mirek rozejrzył się po domu i stwierdził, że wszystko teraz rozumie. Jego rodzice wzięli go, żeby go wychować, z czystego egoizmu, bo jak można decydować się na dziecko, jeżeli nie ma się dla niego na złotą obrózkę wysadzaną diamentami?!

A nie, to chodziło o kota, ale z obrózką czy bez, przecież to była skrajna nędza! Ledwie cztery pokoje, ani pół kominka, telewizor jedynie czterdzieści dwa cale, jedna łazienka... Nie, ci ludzie byli skrajnie nieodpowiedzialni i kto, do cholery, dał im na wychowanie dziecko? Istotę ludzką, która potrzebuje wszystkiego, co najlepsze?

Próchno pomyślał, że mógłby pozwać rodziców o odszkodowanie. Potem mógł pozwać ośrodek adopcyjny o to, że nie sprawdzono należycie rodziny, do której został oddany. Ojciec nie był nawet alkoholikiem, matka zajmowała się domem i do tego pracowała jako nauczycielka. Matematyki.

No tak, takim ludziom nie daje się dzieci na wychowanie! Matematykom nie powinno się dawać dzieci, oni są nieobliczalni!

Potem pomyślał, że właściwie śmierć jego matki, tej biologicznej, której nienawidził, bo była skąpą suką, kiedy jeszcze nie była jego matką, a którą na pewno kochał, bo przecież podświadomie wiedział, więc ta jej śmierć może mu przynieść pewne korzyści, a pewne korzyści, jeżeli są finansowe, zawsze przyciągają inne.

Bo jak ziomale będą chcieli się z nim napić, to postawią, przecież on stawał nie będzie, bogaci tak nie działają.

Postanowił, że natychmiast pójdzie na policję i powie, co wie na temat śmierci matki.

Bo tak się złożyło, że coś wiedział.

To znaczy dotychczas go to nie obchodziło, ale teraz?

No i przyspieszenie sprawy przyspieszy podział spadku.

A to już coś, z czym się nie dyskutuje.

Bo on widział nie tylko to, jak Kościuchowa przyniosła ciasto, bo widział, nie chciała mu dać, ale może i dobrze, skoro było zatrute?

Widział też kogoś u matki, tak u matki, mamuni, tak sobie teraz ładnie to potwarzał.

Teraz pomyślał, że jednak dzisiejsza wyprawa do mięsnego, po skrawki dla kota, nie była takim złym pomysłem. Chciał strawy fizycznej, dostał duchową.

– Skrawki jakieś dla kota macie? – zapytał niby od niechcienia, zapuszczając żurawia na lady za sprzedawczynią.

Kota nie miał, ale skrawki wędzone można było zjeść z chlebem, a surowe podsmżyć na ognisku.

– No i pomyśleć, syn Mareckiej, a żebrze jak jakiś... – rzuciła jedna ze sklepowych.

– Ale Mareckiej? Jak to? Syn? – zapytał, nie wiedząc, kogo dotyczy ta przemowa.

– A tak to! – odburknęła ta sama sklepowa. – Syn, własny, rodzony.

– Że Wacek?

– Weź ty się odwal od Wacka, co? – wtrąciła się Luśka. – Ten syn, co go była do adopcji oddała.

Wtedy zrozumiał.

Nie, Próchno nie żebrał. Gdyby chciał, to matka, znaczy ta kobieta, która go adoptowała, natychmiast by go nakarmiła, ba, nakarmiłaby i jego kolegów, i to niejedną raz, może nie mogliby się zjawiać codziennie jak on na obiad i ciasto, ale trzy razy w tygodniu na pewno by ich nakarmiła, i to całkiem dobrym, świeżym obiadem, ale to nie było to.

Próchno wolał sam sobie radzić. Wolał kombinować. Życie było bez tego nudne, a jak tylko pojawiał się na obiedzie, ojciec zaczynał swoje durne gadki, że przydałoby się pójść do pracy, że dobrze by było zacząć zarabiać, że założyłby rodzinę...

No nie i mówił to facet, który nie miał nawet BMW, nie mówiąc już o porządnym domu czy jakiejś choć odrobinę bardziej prestiżowej pracy.

Mirek Próchno oczywiście też nie miał BMW, ale to nie był argument. On pragnął wolności, chciał być poza systemem, chciał osiągnąć coś w życiu, a nie marnować się w jakiejś durnej pracy.

Pracy niedurnej dostać za bardzo nie mógł, bo w szkole też nie wykazywał zrozumienia dla ocen, klasówek i frekwencji oraz trzeźwości na lekcjach.

Kiedy jednak rzucił w nauczyciela krzesłem, uważając, że jest kosmosłoniem z planety Gandawa, wyrzucono go ze szkoły, a to był tylko przypadek. Nawąchał się kleju i trochę mu odbiło, a nauczycielowi prawie nic się nie stało.

Ucho mu przyszyto, łuk brwiowy pocerowano, szczękę zdrutowano, a kość policzkowa z wgnieceniem, którego się nie dało naprawić, wygląda całkiem dobrze,

więc nie było o co strzępić ryja.

No ale wiadomo, teraz młodzież wszystkiemu jest winna, a nikt nie wziął pod uwagę faktu, że klej był przeterminowany i trochę za mocno wszedł, a facet w sklepie z chemikaliami wcale nie miał zamiaru płacić nikomu odszkodowania.

Wygodne, prawda?

Tak więc możliwości Mirka nagle nieco się zwiększyły i poczuł się już właścicielem kilku sklepów z dopalaczami, bo przecież jakby coś, to zaraz zainwestuje. Pieniądze muszą na siebie pracować, a nie zasilać jakieś banki sranki.

Wtedy kiedy spotkał Kościuchową z ciastem, był wściekły, ale przystanął i patrzył, co ona będzie robić, bo nie szła do drzwi, ale do okna.

Okno ktoś otworzył i zabrał od niej ciasto.

W oknie mignęła mu jakaś postać i to na sto procent nie była Marecka.

Melka wysiadła z samochodu Huberta i pędem pognała w gąszcz straganów, żeby dopaść Joaśki i żeby Hubert przestał jej truć.

Ten przez chwilę szedł za nią, ale nienawykły do kluczenia pomiędzy wieszakami, straganami i stołami zastawionymi stertami dóbr, z których większość była po prostu ciuchami, odpadł. Wrócił do samochodu i odjechał.

Wnuczkę denatki Melka znalazła w pracy, ale nie przy pracy, jako że klientów nawet na lekarstwo brakowało, to dało się z nią pogadać.

Melka podeszła, strategicznie pochwaliła kilka ciuchów i fryzurę Joaśki, zapytała, jakiego podkładu używa, bo ma niezły makijaż, aż w końcu przeszła do konkretów.

Taki zaczyn konwersacyjny powinien być dać jakieś efekty.

– Ty coś wiesz – zaczęła Melka dyplomatycznie. – Nie uwierzę, żeby ktoś taki inteligentny jak ty nie miał pojęcia, co kombinowała jego własna babka.

Takie podejście zawsze popłaca, bo ludzie lubią być chwaleni. Jeżeli coś wiedzą, to powiedzą, żeby nie zawieść pokładanych w nich nadziei, a jeżeli nie wiedzą, też coś wymyślą.

A takie naprędce wymyślone teksty również czasami się przydają.

Joaśka trochę się pokręciła, powierciła na krześle, rozejrzała dookoła, jakby bała się, że ktoś może ją obserwować albo podsłuchiwać, i wydukała:

– Nie, no, że nie wiem czy wiem, ale babka to nienormalna była.

To akurat częsty tekst wypowiediany przez wnuki, na temat swoich zbyt restrykcyjnych babek, które co niedziela mówią „zjedz mięsko, ziemniaki zostaw”, zapominając, że wnuczka postanowiła zostać wegetarianką. Jeszcze gorzej, kiedy babka przynosi piękne dziurawe dżinsy, które kosztowały krocie, tak pocerowane, że nie da się ich włożyć.

– No, była, była – zgodziła się Melka, choć nie za bardzo Marecką знаła, ale ten rodzaj porozumienia wiele nie wymagał.

– Do Emmy chodziła.

– Do Manueli znaczy? Puć?

Połowa miasteczka chodziła do warzywniaka, gdzie pracowała Emma, w warzywniaku zwana Manuelą (bo tak jej dano na chrzcie), ale to było właściwie normalne. Ludzie lubią kalafiory, niektórzy jadają brukselkę, a pomidory to prawie każdy chce kupić, tak więc warzywniak miał wzięcie.

– No właśnie, że nie do warzywniaka. W ogóle, do Emmy chodziła do domu.

– No ale Emma to Manuela? – Melka wołała sprawy porozdzielać i dobrze je zrozumieć, żeby potem nie było, że coś pokręciła, jak tamtym razem, kiedy poszła kupić zielsko do Marii, a kupiła zioło od Maria. Niby nic, a różnica okazała się naprawdę duża, zielsko to miała być pietruszka i kolendra do sosu pomidorowego, zioło to oczywiście zioło, też do sosu trafiło, wiadomo.

Strasznie dziwnie ten sos smakował, a efekty wizualne były niezwykle. Mało kto potrafi zwracać po ścianach, powyżej wysokości ust, a srać po sufitach rozbryzgiem naprawdę trudno, a jednak komuś się udało. Dlatego Melka wołała wszystkiego się dowiedzieć dokładnie.

– Nie do końca, w domu ona jest Emma, a w warzywniaku to Manuela. Zasadniczo, bo w domu czasami też jest Manuela.

– W domu też?

– No, ale w domu od osiemnastej do dwudziestej trzeciej to jednak Emma. No i babka do niej chodziła.

Takie dziwne znajomości w miasteczku bywają kontrolowane przez monitoring osiedlowy, czasami rodzinny, czasami sąsiedzki.

Ważne było to, że Emma była wróżką. Choć to też nie jest cała prawda, ona uważała się za wróżkę, dla niektórych pewnie nią była, ale całościowo nie wiadomo.

– A co to dziwnego? Strasznie dużo ludzi łązi do wrózek – skwitowała Melka i dodała wzruszenie ramion, co mogło oznaczać tylko dezaprobatę w stosunku

do rozmówczyni (nie jej babki denatki), w stylu „ja cię uważałam za inteligentną, ale jednak się pomyliłam”. Joaśka nie zamierzała do tego dopuścić.

Joaśka więc musiała wyciągnąć asa z rękawa.

– Bo ona tego syna szukała.

Wiadomość o tym, że Marecka miała jakiegoś syna, dodatkowego, zdążyła już się rozprzestrzenić.

– Tego Mirka? – zapytała Melka, żeby pokazać, jak bardzo dobrze jest poinformowana.

– Gdzie tam Mirka. Mirka to matka wymyśliła, bo jej się przywidziało, że jakieś pismo widziała u babki. Takie z jego nazwiskiem.

– Czyli to jest pewne, że miała syna? Jak była młodsza? Przed ślubem?

– A skąd by to ktoś wiedział? Mogła mieć, ale mnie się wydaje, że po prostu zdurniała. Zresztą wiesz, babka to nie za bardzo taka była, żeby się komuś miała tłumaczyć, a już z pewnością nie mnie, ojcu może by coś powiedziała, ale też nie mam co do tego pewności.

– A Manuela?

– Że jej coś miałyby powiedzieć?

– Jej? Nie! Manueli na pewno nie, ale może Emmie?

– Zwariowałaś? Przecież to ta sama osoba!

– Wcale nie. Ona jak jest Emmą, to w ogóle napelniona jest ciałem astralnym, a potem to już nie pamięta, nie, ona po prostu jest w dwóch osobach! Zawsze w sklepie to nawet odzywa się inaczej, a w domu to tak mówi, jakby ją co nawiedziło! – stwierdziła i zamilkła. Tym samym przyznała się nie tylko, że i ona bywała u Emmy vel Manueli, ale że bywała u niej na seansach. Melka trochę się ucieszyła.

– Czyli jakiś syn był, ale niekoniecznie to był Mirek Próchno?

Chwyciła za telefon.

– Ciotka! Szykuj forszę – zadzwoniła do Ady – idziemy do wróżki!

Edzio, Hubert i Mundek, jako męski trzon biura śledczego, siedzieli przy stole i popijali herbatę, patrząc, jak Mateusz kombinuje coś z komputerami. Nie widzieli go dokładnie, bo był w pomieszczeniu obok, ale słyszeli jego przekleństwa, a to oznaczało jedno. Ciężko pracował.

Jego praca polegała na tym, żeby wszystko wyglądało tak, jakby działało, jakby cały czas wrzała praca, jakby komputery sterowały lotem kosmicznym na Marsa co najmniej, żeby wszyscy myśleli, że to właśnie w tym momencie szukają przestępców i dowodów w gąszczu przepastnych meandrów cyfrowej dżungli.

Miało buczeć, szumieć, popiskiwać (to było konieczne) oraz migać ekranami.

Pracownicy, mężczy pracownicy biura nie za bardzo się cieszyli z tych atrap, a i prawdziwy komputer ich nie kusił, ale rozumieli podejście Ady, biznes to biznes i trzeba robić dobre wrażenie.

Można powiedzieć, że wrażenie kosztuje najbardziej ze wszystkiego.

Oni byli od spraw technicznych, a ona była od spraw technicznych. Tak. Dokładnie tak, ale to były inne sprawy techniczne, ona zajmowała się aspektami zewnętrznymi działania biura, oni dowodami i sprawą.

Ona sprawiała, że działały dzwonki przy drzwiach i spłuczka w łazience, a oni, że mordercy w końcu zostawali ujęci, choć ona miała jakieś osiągnięcia, oni jeszcze nie.

W tej chwili mieli tylko jedną i do tego pierwszą sprawę, ale liczyli, że to się rozkręci.

Kiedyś, na pewno.

Już czuli się młodszy o dziesięciolecie. Czuli się niedospani, głodni, wymęczeni i wkurzeni dokładnie tak samo jak kiedyś! Naprawdę bardzo tęsknili za tym uczuciem!

Oczywiście na emeryturze też bywali wkurzeni i wymęczeni, ale to nie było to samo; inaczej przecież wkurza kolejka w markecie, a inaczej zabójca.

Mundek zamieszał herbatę i rozejrzał się za ciasteczkami i cukiernicą.

– Czyli teraz ustalmy wszystko, co wiemy. Dokładnie co, kto, gdzie, jak i kiedy. Na pierwszy rzut zastanówmy się, kto miał możliwość?

– Wszyscy – westchnął Edzio. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy! Nic nie zdziałamy, wszyscy mieli możliwość, pół miasta mogło chcieć, drugie pół miało okazję, a trzecie pół motyw – rozpedził się z ułamkami.

– Nie ma trzech połówek – prychnął Mateusz z daleka.

Nie zobaczył tego, ale wszyscy równocześnie, czyli cały pion wywiadowczy wrzusił ramionami, poprawność ich nie obchodziła, a tym bardziej poprawność matematyczna.

Właściwie chcieli tylko uporządkować pewne sprawy, sprawić, że się jakoś układają. Mieli zamiar nawet porównać swoje niektóre pomysły, ale jakoś im to nie za bardzo szło.

– No dobra, trzeba do tego podejść inaczej – stwierdził Hubert mocnym głosem, krztusząc się spektakularnie herbatą, której nienawidził. – Motyw! Znajdźmy motyw, a znajdziemy mordercę, i to trzeba działać szybko, bo jak się w komendzie policji ockną, to nam zabronią się wtrącać! Przecież teraz to już wiadomo, że to było morderstwo.

Wszyscy roześmiali się pobłaźliwie. Teraz kiedy nie byli już pracownikami policji, policjantów i ich pracę cenili jakoś mniej, to znaczy nie tak, swoją niegdyśszą pracę i cenili, i kochali, ale te żółtodzioby, które ich zastąpiły, to była prawdziwa żenada.

– Coś ty?! W komendzie przebąkują, że jednak było to samobójstwo i że tamten drugi Marecki nie ma z tym nic wspólnego. Oni nie lubią zmieniać zdania.

– I ten drugi Marecki to został zabity ot tak sobie, przypadkiem.

– No mogło tak być! – stwierdził Mundek.

– No mogło, ale to nielogiczne, nie powinno. To za bardzo się ze sobą kojarzy.

– Dla nich wcale! – mruknął z daleka Mateusz, który właściwie nie powinien się odzywać na tematy policyjne, bo co wolno wojewodzie, to nie tobie i tak dalej.

– Cisz! – wrzasnął Edzio, zdenerwowany. – Gównu mnie obchodzi to, co oni gadają i o czym przebąkują! Ja chcę to rozwiązać! Dajcie mi motyw!

Jego wrzask rozległ się dźwięcznie i nawet szyby od niego zadrżały.

– Motyw jest prosty. Pieniądze! – zawołał Mateusz, który mimo wszystko nie chciał zostać wykluczony z tak ciekawej rozmowy.

– Tak! Pieniądze. – Mundek powiedział coś, co było tak oczywiste, że aż nierealne. Pieniądze to najstarszy i najczęstszy motyw świata, takie postawienie sprawy owszem, mogło coś wyjaśnić, ale tylko jeżeli pieniądze Mareckiej były komuś bardzo, bardzo potrzebne, w końcu ludzie nie zabijają się aż tak często, jak często biorą pożyczki, a przecież niektóre chwilówki, albo pożyczki w parabanach z RRSO 1200 złotych rocznie, to praktycznie mord w białych rękawiczkach.

– Marecki miał jakiś nóż na gardle? – zainteresował się Edzio natychmiast, bo to by wiele tłumaczyło, gdyby się zapożyczył tak, że odsetki szłyby w miliony, mógłby chcieć dostać spadek po matce natychmiast.

– Nie, nawet przebąkuje, że ten spadek to trochę mu spadł jak garb na plecy, bo teraz to już rozvodu Luśka mu nie da, a on miał takie jakby zakusy co do Mariolki.

– Mówi prawdę? – Edzio kuł żelazo, póki wydawało się gorące, bo ten numer z Luśką to średnio mu pasował. Czy teraz, czy kiedyś on te pieniądze by dostał, więc żona w ogóle mogła się na rozwód nie zgodzić, a poza tym zgoda nie za-

wsze jest potrzebna, dodatkowo spadek nie wchodzi przecież do wspólnego majątku. To było jakieś pokrętnie.

– To co jeszcze wchodzi w rachubę? Jakies długi? Narkotyki? Pożyczki? – zapytał zniechęcony.

– On? Nie. – Mundek wyjął notes, w którym coś tam sobie bazgrał, ale zawsze znajdował w nim cenne informacje.

– A kto?

– No narkotyki to Cezary, a pożyczki to Joaśka, sama mówiła, że ma pożyczkę – stwierdził Hubert.

– Nie, nie taką, włosy sobie doczepiła. To czasami się tak nazywa – oświadczyła Ada, która właśnie pojawiła się w korytarzu i wyginała śmiało ciało, które się wyginać nie chciało, przed lustrem, szykując się do wyjścia do wróżki.

Właśnie Koziołek, wymęczony sekscesami Mareckiego i awanturą z obiema jego kobietami, które się nieco poturbowały, odwiózł Adę do domu, zostawił pod drzwiami i uciekł. Musiał się czegoś napić.

– Czyli rodzina Mareckiej, jedyna, która dziedziczyła po zmarłej, i jedyna, która miała motyw finansowy, tak jakby w ogóle motywu nie miała – oświadczył Edzio, znów niezadowolony.

– Dlaczego?

– Bo Marecka teraz czy później by zmarła, a pieniądze teraz czy później trafiłyby do jej syna. Czyli to się im nie kalkulowało.

– A bo to ludzie o pieniądzach mówią prawdę? – mruknął Mateusz – Pamiętacie, jak było z Kowalską? Najpierw gruchnęła plotka, że wygrała w lotto, a potem się okazało, że ją okradli, a potem, że ani jedno, ani drugie, bo niczego nie wygrała, a złodzieje, owszem, szukali, ale nie znaleźli, bo wstyd jej się było przyznać, że nie wygrała.

– A gdzie wstyd? Krzyczała cały czas, że nie ona, ale nikt jej nie wierzył.

I rzeczywiście była w tym jakaś prawda, co innego ludzie mają w kieszeniach, a co innego im przypisują ludzkie. No i kwestia samych spadków, choć niekiedy ludzie nie chcą czekać na czyjąś śmierć, i to wcale nie dlatego, że to nieelegancie i nieetyczne, ale dlatego, że pieniądze potrzebują natychmiast, albo osoba, która te pieniądze ma, chce zrobić komuś jakiś głupi kawał i postanawia na przykład je wydać.

Ludzie, których to nie dotyczy, myślą, że to w sumie w porządku, ale ci, których dotyka to osobiście, mają często zdanie odmienne i dlatego zaopatrują się

w bardzo ostre noże, kije, siekiery albo wywar z muchomora, bo cyjanku w aptece nie sprzedają.

– Z tymi pieniędzmi to racja, o ile coś nie miało się zmienić – stwierdził Hubert.

– Tak. To fakt. Gdyby Marecka nagle zapragnęła coś zmienić, to wtedy owszem, ale z tymi zmianami to też nie bardzo.

W życiu różnych ludzi następują przeróżne zmiany, czasami zaznaczane w testamentach. To one są często przyczyną zmian w układzie kości czaszki i wystąpienia plam opadowych.

– Gdyby wyszła za męża albo zmieniła testament? – zaproponował Edzio.

– Albo jedno i drugie? – rzucił Mundek.

– Też w sumie średnio. To takie jakieś wydumane – mruknął Hubert – takie jakieś...

– Jakie?

– Odwleczone w czasie? To wszystko nie wymagałoby natychmiastowej reakcji, zabicie jej w tym momencie było nielogiczne. Jeżeli miał być ślub, to dopiero o tym ludzie przebąkiwali, jeszcze nawet sukni nie kupiła! Mieli jeszcze czas. To nie to... Chyba że jest coś, o czym nie wiemy. Coś, co zmieniało wszystko...

– Wyjaśnicie to dokładniej? – burknął Mundek, który dotychczas się za bardzo nie angażował.

– Dobra, co sprawiło, że zabito ją teraz? Teraz, a nie jutro czy za dwa dni?

Ludzie zadają takie pytania, jakby miały znaczenie, a one nie zawsze je mają, bo jeżeli ktoś chce zabić, to kiedyś musi to zrobić. Czy to środa, czy piątek, czy niedziela. Kiedyś musi, więc przywiązywanie zbyt dużego znaczenia do czasu nie ma sensu, ale niekiedy okazuje się, że ten czy inny szczegół jest ważny.

Jak na przykład ktoś mordujący staruszkę kielbasą w Wielki Piątek, to mogłoby być znamienne.

– I cały czas bierzemy pod uwagę pieniądze? Tak? – zainteresował się Hubert.

– Bierzmy nawet ból dupy, byle to coś wyjaśniło! – znów warknął wściekle Edzio.

– A ten syn?

– Chodzi o Mareckiego?

– Nie, o tego, co wszyscy o nim gadają, a tak naprawdę nic o nim nie wiadomo.

– No więc to mogłaby być prawda, ale też nie ostateczna. Bo gdyby jemu nawet wszystko zapisała, to drugi syn dostałby zachówek, niemniej to fakt, wiem, zabijano nawet za marne grosze, ale to mi się nie kalkuluje jakoś. No i kalkuluje się

czy nie, nie ma za bardzo dowodów. To, co gadają na mieście, to jakieś poszlaczyny, nic więcej!

– No ale wiesz, ten Próchno jest dość paskudnym typem.

Pojawienie się tego nazwiska dla niektórych było swego rodzaju nowością, bo choć każdy go znał, to jednak nie w tym kontekście, owszem, był paskudnym typem, ale to przecież jeszcze nic nie znaczyło.

– A skąd się wziął Próchno?

Pytanie zaciekało wszyściutkich, odpowiedź nawet jeszcze bardziej.

– Z mięsnego – wyjaśniła Ada.

– To znaczy?

– Ktoś powiedział w mięsnym, że to on jest synem Mareckiej.

Więści z mięsnego miały status świeżych i smakowitych, natomiast nie zawsze były prawdziwe.

– „Ktoś” i „w mięsnym”, i wy to bierzecie na poważnie? – burknął Edzio, który przywiązywał wielką wagę do wiarygodności źródeł, ale nie gardził też plotkami.

Mówi się, że w każdej plotce jest ziarno prawdy, ale te ziarna bywają i różne, i różnej wielkości. To tak jak było z mężem sąsiadki, znajomej Zośki z nabiąłowego, okazało się, że mąż ją zabił. Podobno wbił jej gwóźdź młotkiem do głowy. Śmierć na miejscu, krwawa tragedia, wszyscy się zastanawiali, czy ktoś za to odpowie, bo mąż był radnym i miał chody. Tyle że przyszła nazajutrz do pracy i wyraźnie było widać, że jest żywa, zero gwoździ w głowie, a mąż jej tylko zabił ćwieka. Wytłumaczyła to wszystkim i natychmiast zadano jej pytanie, czy ten jej ćwiek był przystojny i kiedy pogrzeb.

– Nieważne, jak my to bierzemy, ważne jak bierze to morderca. To się liczy. Ja mogę wierzyć, w co chcę, ale niestety on nie musi. Jeżeli uwierzył, że zabicie Mareckiej zrobi z niego krezusa, bo jest jej synem, to mógł to zrobić, to jedno, ale jest i druga strona medalu, jeżeli ktoś inny, jakiś inny morderca, na przykład dajmy na to Luśka, nie twierdzą, że to ona, to tylko przykład, więc jeżeli ona zabiła teściową, bo wierzyła w to, że tamta zapisze pieniądze Próchnie? Próchnowi? Próchnemu? Jak się to, do cholery, odmienia? Jak to się powinno powiedzieć?

– Temu debilowi! To wystarczy.

– Tak, jeżeli w to uwierzyła, a notabene ona rozpuszcza tę plotkę, to kto wie?

– Durne to. Luśka nie dziedziczy, a męża kocha jak czyraki na dupie, nie zabiłaby dla niego! Poza tym to i tak bez sensu.

– Bo?

– Lepiej by zabiła debila niż teściową. Był nawet wygodniejszy. I zanedo nikt by się nie czepiał, zmarł to zmarł, meneli tak bardzo się nie ogląda w prosektorium jak normalnych ludzi otrutych w domu. Poszłoby, że nieświeże skrawki zezarł i tyle. Albo hot doga zjadł w budzie z kebabem.

– No ale co ty? Z ciastem by do niego... A właśnie, ciasto. Jak to z tym ciastem było? Co? – Mundek wrócił do sedna rozmowy.

Wszystkich nagle wzięło na wspomnienia Jak to ze Inem było, bo wszyscy byli nieco wiekowi, a Mateusz nie uczestniczył.

– Konopnicka twierdzi, znaczy, tfu Kościuchowa twierdzi, co oczywiste, że na etapie dostawy, czyli na jej talerzyku, kiedy przekazywała go przez okno, ciasto nie było zatrute, natomiast truchło kota twierdzi, że na etapie przyniesienia wraz z tym samym... – wyjaśnił Hubert nieco złośliwie.

– Lub podobnym...

– Tak, lub podobnym talerzykiem, ciasto było zatrute.

– O ile będziemy jej wierzyć – westchnął Edzio.

– Możemy, choć nie musimy, ale ona motywu nie miała. Nic ją z Marecką nie łączyło.

– A ciasto jej nosiła?

– Sąsiedzkość zobowiązuje, ale poza tym to nic, żadnych układów, spadków, powiązań rodzinnych, nic, zero. Nawet w sumie niestety! – Edzio wzruszył ramionami.

– No były razem w sanatorium, to może coś je jednak łączyło?

– Co? Masaże w błotku? Za takie coś się nie zabija, ale fakt, aż szkoda.

– Tak, byłaby najlepsza. Morderczyni idealna!

– I wygodna. I nawet wszystko pasuje: miała okazję, była na miejscu, widzieli ją, miała talerzyk z zatrutym ciastem, na którymś etapie w każdym razie miała. Niestety, motywu brak. – Mundek też się zasmucił.

– A może jednak się jej przyjrzeć?

– Dobra, przyjrzyjmy się. Ada? Dlaczego wyglądasz, jakbyś wyszła ze strefy skażenia? – zapytał nagle Hubert, patrząc na kobietę, która miała na sobie, jak nigdy, długą spódnicę, babciną bluzkę, chustkę robioną na drutach, okulary po prababci, w których jej oczy wyglądały jak oczy Genowefy Pigwy, i buty rozkładciane, jakby chodziła w nich od dwudziestu lat z okładem.

Ada uśmiechnęła się z wyższością.

– Idę do wróżki – oświadczyła, jakby to mogło cokolwiek wytłumaczyć.

– A ona co? Jakaś zakaźna? Chora wenerycznie? – Hubert nie był w stanie pojąć tego dziwnego stroju.

– Oj, ty durny jesteś. – Ada uśmiechnęła się przebiegle. – Sposobem na takich trzeba! Popatrz, jak ja wyglądam?

– Jakbyś się zesrała – stwierdził Edzio, budząc ogólną wesołość, ale i konsternację.

Znali się jak łyse konie, choć nikt jeszcze nie udowodnił, że łyse konie aż tak bardzo klną, kiedy ze sobą rozmawiają. O ile w ogóle rozmawiają.

– No przestań! Jakbym była głupią babą! Wsiową, niekumatą – obruszyła się Ada, bo uważała siebie samą za wulkan intelektu.

– I co to da?

– Nie wiem, może przewagę? – odburknęła.

I to była prawda, osoby pokroju takich pokątnych, nielicencjonowanych wróżek często korzystają z naiwności swoich klientów, wmawiają im głupoty, ale żeby te głupoty komukolwiek móc wmówić, potrzebują specjalnego rodzaju klientów, ludzi nieobytych i naiwnych, takich, którzy natychmiast są w stanie uwierzyć, że to, co plecie wróżka, jest objawioną prawdą.

Przy takich ludziach nie starają się za bardzo kryć. Ada bała się, że jak wróżka Emma zobaczy ją w eleganckich ciuchach, zacznie się za bardzo obawiać wykrycia.

Nie wykrycia jako czegoś związanego z morderstwem, ale z kłamstwami.

Ada wróżkom nie wierzyła.

Nie czytywała horoskopów, nie sfluwała przez lewe ramię na widok czarnego kota, a jedynym przesądem, któremu hołdowała, było to, żeby torebki nie stawiać na podłodze, bo to... najzwyczajniej w świecie kusi złodziei.

Wróżka Ady nie znała. To znaczy o tyle o ile, mogła pamiętać, że kiedyś Ada nabyła u niej dwie figi i kalafiora. Ada do warzywniaka chodziła rzadko, bo wszystko kupowała w markecie. Razem z innymi zakupami, nie chciało jej się latać raz tu, raz tam, a odkąd zlikwidowano w markecie szafki na „obce” zakupy, to omijała warzywniak.

Bo jak udowodnić, że kalafior pochodzi z warzywniaka, a nie z marketu?

Ktoś powiedziałby, że to proste, wystarczy paragon, ale nie jest to prawdą, odkąd Próchno zorganizował skup paragonów warzywnych.

Placił po 10 groszy za paragon pod warzywniakiem, a potem wchodził z tym paragonem do marketu. Wchodził tylko z papierkiem, wychodził z warzywami

i dopóki ktoś się nie ocknął, wynosił warzywa, twierdząc, że z nimi wszedł. Po tem opylał warzywa kolegom za dobra interesujące procentowo.

Emma jako wróżka lubiła wykrywać przede wszystkim źródła dochodów, a inteligencję klientek mierzyła swoim własnym sposobem.

Było to równanie dość proste.

Czyli jeżeli przyszła, to można ją wydoić.

Stąd właśnie się wzięła siermiężność Ady. Z drugiej strony miała ją równoważyć obecność Melki u boku ciotki, która była nierozpoznawalna i zielona.

Okulary sprawiały, że było jej niedobrze. Od tego właśnie odrobinę zzieleniała.

– A tamten drugi? Przypadkowe zabójstwo?

Drugie zwłoki bardzo ich niepokoiły, bo to było dziwne. Niby niepowiązane i niepasujące, a jednak ten adres szokował. Nazwisko trochę też.

– Albo może próba wrobienia nas w morderstwo? – zaproponowała Ada.

– No tak, wtedy z pewnością komuś tam było wszystko jedno, kogo zabija, problem w tym, że ten ktoś to nie był ten, kto zostawił kartkę, ani raczej barman, ale ktoś, kto usłyszał ten adres, siedząc z nami w sali.

– Czyli całkiem sporo osób w tym przypadku. Bardzo dużo ludzi tam mogło być.

Rzeczywiście w tych rozświetlonych tylko światłem świec ciemnościach mogło się kłębić pół miasteczka.

– Dobra, ale po co? Po co nas wrabiać?

– Bo ten ktoś zabił Marecką i bał się, że dojdziemy do motywu.

– Bzdura! Przecież gdyby tak było, toby wiedział, kogo zabija!

– Niekoniecznie. Nikt na sto procent nie wie, kto i co mógł zobaczyć. Może ten ktoś pomyślał, że ten facet coś widział i chce to Adzie powiedzieć? Mogło być tak: zabił Marecką, zorientował się, że ktoś go zobaczył. Nie wiedział kto, usłyszał adres i zobaczył kartkę oddawaną przez barmana, pomyślał, że ten ktoś chce na niego donieść. Poszedł, zabił i już.

Z planowaniem morderstwa jest tak, że każdy zabójca zrobi wszystko, żeby być niewidocznym, albo nawet niewidzialnym, ale nikt nie produkuje jeszcze czapek niewidek, więc trzeba brać pod uwagę zbląkanego przechodnia, starszuskę szukającą kota, matkę biegnącą do apteki po lekarstwo dla dziecka, złodzieja z domu obok, przypadek bywa czymś niestety nieprzewidywalnym.

– Tak, ten ktoś się obawiał wykrycia, ale nie spodziewał się, że chodzi o motyw. Nie, no bzdura! Totalna bzdura! Gonimy w piętę. Wyobraźcie to sobie po kolei. Dowiaduje się o adresie, którego nie zna. Wpada do faceta, którego nie zna? Tłu-

cze całkowicie obcą osobę na śmierć, nie zastanawiając się po co? To nierealne! Tylko idiota by to wymyślił!

Tu wszyscy natychmiast się na Edzia obrazili, bo poczuli, że pije do nich.

– Bo wam się wydaje, że to był geniusz intelektu? – burknęła Ada.

– No gdyby nie awokado i sałatka na głowie, to jednak wszystko cudnie, pięknie wyglądało na samobójstwo! – westchnął Hubert.

Było to zdecydowanie dziwne, ale awokado i samobójstwo jakoś do siebie nie pasowały.

– A może morderca ją wymazał sałatką?

– A po co?

– No właśnie. Wtedy to musiałaby być kobieta, a moim zdaniem to nie mogła być kobieta! – Ada dorzuciła swoje trzy grosze.

– Dlaczego?

– Bo sałatka na głowie temu przeczy! – Zdenerwowała się tak bardzo, że aż zdjęła kosmiczne okulary.

– Uważasz, że Marecka była facetem?!

– Nie, że morderca nie był kobietą, bo żadna kobieta nie popełniłaby morderstwa w takim momencie! Samobójstwa też. To znaczy morderstwa pozorowanego na samobójstwo – Ada się rozkręcała – nie widzicie tego?!

– Zapominasz, że talerzyk z ciastem mógł stać na stole kilka godzin, a kobieta miała zamiar zjeść w wolnej chwili. Postawiła ciasto, nałożyła sałatkę na głowę i zaczęła jeść?

I znów czas zaczął im się wydawać istotny, nie tylko jako moment zgonu czy zabójstwa, ale nagle zdali sobie sprawę, że w otruciu to wszystko nie działa tak jak na przykład przy postrzeleniu. Morderca może podać truciznę i zniknąć, może zrobić to na wiele godzin wcześniej, niż ofiara tę truciznę zje. Połknie czy po prostu zażyje.

Zabójcy wcale nie musi być przy ofercie, w chwili kiedy zabójstwo się dokonuje, a poza tym trucizna truciznie nierówna, jedna zadziała po godzinie, inna po kilku sekundach, ale są i takie, które zabijają dopiero po kilku godzinach.

Czyli osoba, która chciała zamordować Marecką, nie musiała wiedzieć o sałatce na głowie.

– Choć, żeby sprzątnąć talerzyk, musiała być w pobliżu, bo inaczej byłoby od razu widać, że to nie samobójstwo. To mogło wyglądać tak: Kościuchowa przyniosła ciasto, Marecka zostawiła je w kuchni, ktoś je poprawił...

- Nie, no bez sensu! Musiały być dwa kawałki albo morderca odkroił jeden kawałek i zabrał. Czekał w pobliżu, zobaczył, że Marecka nie żyje...
- Tego nie było chyba widać przez okno?
- Czyli czekał w domu.
- To musiał być ktoś, kogo znała i komu ufała. Na przykład Joaśka.
- Ona by tego nie wymyśliła, nie, ktoś inny. Raczej facet. Słuchajcie, a co to było z tym, że ktoś u niej widział jakiegoś młodego faceta?
- To mógł być ten syn!
- Oszaleliście? Jeżeli miała tego syna, to musiała go mieć jeszcze przed ślubem z Mareckim, bo inaczej ktoś by coś zauważył, ciężę na przykład, a poza tym w mówiłaby Mareckiemu dzieciaka i już. Więc ten syn musi być starszy od Wacława o co najmniej dwa lata! I w tym momencie to nie może być on.
- Albo jednak mąż.
- Nie miała męża.
- No ten przyszedł!
- I co, zabiłby ją przed ślubem?
- Może już podpisała wszystko, napisała testament i nie miał ochoty na geriatryczną miłość?
- To jest słabe, ale możliwe – westchnął Edzio – ale i tak gonimy w piętękę! Lepiej znajdziemy ten testament. Przecież musi gdzieś być.
- Na pewno u jakiegoś notariusza! – zawołał Mateusz, rozochocony. – To przecież proste!
- Jeżeli tak, to mamy kilkudziesięciu do przepytania, a bez nakazu nic nam nie powiedzą, więc nie ma siły, albo znajdziemy ten papier w domu, albo musiałyby to zrobić policja, tyle że jeżeli ten notariusz jest tutejszy, to w porządku, jeżeli nie, to nie mamy najmniejszych szans.
- Policja chyba ma?
- Jasne, ale my to, niestety, nie policja. Musimy liczyć na swoje możliwości i na to, że pozwolą nam przeszukać dom. To znaczy, że Marecki nam pozwoli, bo teraz to chyba jego dom, policja już tam wszystko rozgrzebała, ale może nie zajrzała w każdy zakamarek.
- A jeżeli morderca zabrał testament? Bo gdyby mordował z tego powodu, to powinien tak zrobić, czekać, aż wszystko się uspokoi, a potem go pokazać.
- Nie.
- Nie pokazać?

– Pokazać, ale nie tak. Musiałby go pokazać tak, żeby to go nie łączyło z morderstwem.

– Czyli jak?

– Powiedzmy podrzucić, licząc, że ktoś to zauważy. Nie, to jakoś nie pasuje, powinien być go zostawić, ale nie mógł z dwóch powodów: po pierwsze, bo to by wskazywało na niego jako mordercę, a po drugie ktoś mógłby go ukraść.

– No tak, on by nie mógł się wtedy zgłosić. Kosmicznie skomplikowane. Brrr.

– Idziemy – warknęła Ada, widząc jak pod domem pojawia się nieco zziębiona Melka.

Wróżki domowe zawsze trochę przesadzają. Te, które mają jakieś zakłady w mieście, dość ostrożnie dobierają sobie gadzety, żeby nie przesadzić, bo nie chcą się narazić na śmieszność, do takich miejsc przychodzą przecież ludzie z ulicy, a więc praktycznie wejść może każdy, na czele z królową angielską, która w tej chwili już oczywiście nie może, ale zawsze mogła, choć nie mogła, bo aż takie cuda się nie zdarzają, choć opowiadano sobie, że w Pcimiu do takiego przybytku weszła kiedyś jakaś znana amerykańska aktorka i tak się zachwycała, że obiecała pracującej tam wróżce, że przyjmie ją do siebie na etat, jak ta tylko nauczy się angielskiego.

W jakim języku jej to powiedziała nie było pewne, niemniej każdy uwierzył w tę wersję bajki o wróżkopcuszką. Takich bajek pragnie każdy.

Jest prawdopodobne, że wróżka została ze swoim angielskim tak jak nie został Himilsbach, który uczyć się angielskiego nie zamierzał, ale kto wie?

No ale wszyscy kochają bajki.

Wróżki domowe na takie cuda liczyć jednak nie mogą, bo nikt ot tak z ulicy, bez uprzedzenia, do nich nie wejdzie, ale za to choć nie muszą płacić horrendalnego wygórowanego czynszu za lokal w centrum ani podatków.

W domu starają się więc atmosferą nadrobić braki, a że robią to za pomocą plastiku i gadżetów z Pepco, jest o wiele paskudniej.

A jednak klienci czują się lepiej. Po pierwsze nikt nie wie, że idą do wróżki, w bloku jest zazwyczaj kilka mieszkań, więc wizyta staje się anonimowa, po drugiej domowa atmosfera pomaga się otworzyć i zejść na intymne zwierzenia.

Można by powiedzieć, że to tak nie powinno działać, że to nie klient, tylko wróżka powinna mówić, więc klientowi nic po otwieraniu się i zwierzeniach.

Nic bardziej mylnego. Wróżka przecież musi wiedzieć, co ma powiedzieć. Nie jest jakąś tam wróżką! Znaczy jest, ale przecież nie jest. Nie może gadać, co jej ślina na język przyniesie.

Musi znać obiekt, żeby temu obiektowi powiedzieć to, co on sam już wie, aby tym chętniej zapłacił i wrócił po więcej, znaczy przynieść więcej.

Emma należała do wrózek z małym zasobem skrupułów i początkowo szastała tekstami typu „mąż panią zdradza” albo „to nie jest praca dla pani”, ale trochę się przestraszyła, jak jeden mąż zasiedziały i dwóch przyszłych ewentualnych (nie tej samej klientki oczywiście) przyszło do niej w celu wyjaśnienia sprawy ze zdradą i dało jej mocno do zrozumienia, że takich tekstów nie będą tolerować.

Zrozumienie przez dłuższy czas dawało o sobie znać, bo siniaki trudno było zamaskować podkładem, dlatego Emma odtąd była ostrożniejsza.

Uważnie wsłuchiwała się w to, co mówią klientki, bo zazwyczaj były to jednak kobiety, po czym powtarzała dokładnie to samo, tylko innymi słowami.

Raz nawet doszło do nieporozumienia, gdyż w grę weszło słowo bynajmniej.

– Czy radzi pani, żebym go otruła grzybami? – zapytała klientka.

– Bynajmniej – zaprzeczyła wróżka, bo zachęcanie do zbrodni bywa trochę niebezpieczne.

I karalne.

Niestety klientka zrozumiała to jako „przynajmniej” i podała mężowi zupę grzybową z muchomorów ze starym arsenikiem oraz wszystkimi możliwymi lekami z apteczki. Pośród których była też viagra.

Zestaw był tak piorunujący, że mąż wymiotował prawie wszystko.

Dostał galopującej erekcji, po czym zmarł na zawał, biegnąc za sąsiadką z parteru, która była obiektem jego nagich (i nagłych) westchnień. Dodatkowym problemem było to, że nie istniała. Po grzybach miał omamy.

Zbrodnia doskonała.

No prawie.

Gdyby nie wyrzuty sumienia, kobieta wcale by nie poszła siedzieć.

Ada i Melka umówione nie były, ale wróżka miała bardzo mało czasu między klientami, więc wpadły do niej jak po ogień.

Ada chciała ją trochę zbajerować, Melka wolała iść prosto do celu. Planu nie opracowały, ale ważna była przecież intencja.

W pomieszczeniu przywitały je wirujące po ścianach galaktyki nieistniejących gwiazd, co jeszcze bardziej zemdliło Adę. Po chwili z głośników popłynęła muzyka, głośna i mocna.

Ada była pewna, że ogłuchnie.

– Czego osoba sobie życzy? – zapytała Emma obznajomiona odrobinę z ostatnio modnymi problemami tożsamościowymi, które dręczyły całkiem sporo ludzi w dużych miastach, ale też to, jak wyglądała Ada, przywodziło na myśl starą kapnę w okularach, więc wołała się upewnić.

– Aa, hmmm – zaskoczona Ada nie umiała natychmiast odpowiedzieć – повороżyć?

Emma przyjrzała się Adzie, jak lekko zielona patrzy ponad okularami, i chciała jakoś zapunktować.

– Gastrolog i okulista – stwierdziła i rozłożyła kulę. Miała kulę składaną, prosto z Pepco. Położyła każdą z jej części oddzielnie na stole, po czym zaczęła w nie puścić.

– Po co mi astrolog i kopulista? – zdziwiła się Ada. – Żeby co? Kopulował?

– Nie, zielona jest.

– Kto jest zielony?

– No osoba? – Niektóre formy naprawdę nie ułatwiają życia.

– Znaczy Melka? Że zielona? Że niezbyt rozumna? Niedoświadczona?

– Nie, nie osoba, osoba! – wrzasnęła Emma.

– Babce Mareckiej też tak pani wróżyła? Bo my chcemy tak samo jak jej, bo ona opowiadała, że wszystko się sprawdziło: i mąż, i syn, choć ja tam nie wiem, bo nie miała przecież męża.

Melka, jak to się mówi, nie była w ciemną bitą. Od razu weszła na ambicję wróżki, polechtała jej miłość własną.

– A nie, jej to z kart wróżyłam, bo mi się kula zacięła.

– To nam też tak samo.

– Znaczy na miłość?

– A to Marecka chciała na miłość?

– No właśnie tak, na miłość, ale bardziej tak na zasadzie, czy ja wiem?

– No to czy ja wiem? Bo mogłaby pani na przykład wywróżyć, kto ją zabił? Pani to taka bardzo dobra w tym jest – rzuciła znów Melka, a Ada kopnęła ją w kostkę pod wirującym stolikiem, który nie wirował, zresztą nie mógł, był kwadratowy.

Melka schyliła się, żeby kopnąć Adę. Stolik zaczął się trząść.

Emma zaczęła drzeć się ze strachu. Była idealną przedstawicielką tego zawodu. Nie wierzyła w to, co robi, i naprawdę wołała, żeby tak zostało. Poczuli się

jak Zagłoba, w chwili kiedy stwierdza, że sam nie znał swojej odwagi. Ona zaś swojej mocy nie znała.

– To nie ja! – wrzasnęła Emma, której przecież dotąd nikt nie brał pod uwagę. Jako morderczyni była całkowicie bez sensu, bo nie miała żadnych powiązań z Marecką.

Choć oczywiście to zaprzeczenie trochę zdziwiło Adę.

– Ale dlaczego tak pani mówi?

– No bo to prawda. Nie zabiłam jej, ale ja coś wiem – jęknęła, przerażona drżeniem stolika.

– To niech pani mówi.

– Kiedy nie wiem.

– Czy pani zwariowała? Przed chwilą mówiła pani, że pani wie?

– Bo ja jako Emma to nie wiem, ale ja jako ja wiem, widziałam Marecką z takim młodym facetem pod rękę, ale ona nie wyglądała na zadowoloną. Wszyscy mówili, że ona za mąż wyjdzie, a ja, jak ją z tym mężem zaczęłam zagadywać, wiecie, to ona tylko, że to taki mąż, że gorszego nie trzeba i żeby się to tylko w więzieniu nie skończyło.

– Ale ona czy on?

– A co ja wiem? Tak mówiła i raczej bez zachwytów. Ja to wiem, jakoś go nie lubiła, mogła chcieć go zabić?

– Czyli on nieletni był?

– Nie, no taki bardziej średnio letni, koło trzydziestki, czterdziestki miał, więc chyba nie o to chodziło, że nieletniego uwodzi.

– Uwodziła go? Miała siedemdziesiąt sześć lat!

– Nie za bardzo, wyglądało, że się go boi, a nawet nienawidzi jakoś tak. Taką minę miała, że strach było patrzeć.

– A on?

– Ale co on? O minę chodzi? – Widząc potakujące skinienie Ady, westchnęła i skrzywiła się niepewnie. – Ja go za bardzo nie znałam. Nie byłam w stanie powiedzieć, jaki on jest, zadowolony czy nie.

– Za bardzo? – Ada natychmiast złapała ją za słówko, licząc, że dowie się czegoś ciekawego na temat ewentualnego, przyszłego, a nawet niedoszłego męża Mareckiej. – Jak to za bardzo? To trochę pani go znała?

– No jasne, przecież przychodził. – Wzruszyła ramionami.

– Tutaj? Sam czy z Marecką?

– A gdzie tam, do warzywniaka przychodził. Sam. Po brukselkę i jarmuż. On jadł takie świństwa cały czas, tu mieszkał. Niedaleko.

– Mieszkał? No, a nie mieszka? Wyprowadził się? – zdziwiła się Melka.

– No podobno nie żyje. Ktoś go zatłukł. Słyszałam, że całkiem wczoraj to było. Jakby. Takie to emocjonujące, kochali się, a potem ją ktoś zabił, a potem jego, ale według mnie to było inaczej: on ją zabił, a ona jego. Jakaś taka wielka nieszczęśliwa miłość czy co?

Miłość objawiająca się zatłuczeniem kogoś kijem albo ewentualnie też otruciem to bardzo stary schemat romansowy, ale ostatnio jakoś już mniej modny.

Kiedyś tak, kiedyś nóż pod żebro wbity kochance był dowodem wielkiej miłości, powodem powstawania ballad i romansów, ale nie tych Mickiewiczowskich, tylko przestępczych.

Świat się jednak zmienił i policja wszystko zepsuła. Tego typu wyznania kończą się teraz w więzieniu, a nie w romantycznych balladach śpiewanych na ulicach.

– Jeżeli on ją to może i by się dało jakoś wytłumaczyć, ale ona jego? Przecież ona nie żyje, to jak by to zrobiła po śmierci?

– Różnie bywa.

– No, fakt, zawałem to może mogła go załatwić, jakby mu się objawiła, ale nie kijem!

– A co wy wiecie? Świat nie składa się tylko ze świata! Mogła! Macie dowody, że nie?

Wyobrażenie sobie świata, który składa się z czegoś, co światem nie jest, było dla Ady skrajnie niemożliwe. Co innego za to zwróciło jej uwagę.

– Dowody! Jasne! Oczywiście, dowody! – wrzasnęła Ada i podskoczyła, na jej brzuchu stolik aż zadrżał ponownie i uniósł się nawet odrobinę, Emma jęknęła, a Ada wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Edzia.

Miała plan, ale bez niego nie mogła go zrealizować.

– Czy oni pobierali odciski u Mareckiej?

Wieczorna odprawa w bufecie nie wyglądała obiecująco.

Edzio po powrocie z posterunku wiedział tylko, że nic nie wie.

– Słuchajcie. Sprawdzili Marecką! – powiedział z westchnieniem, jakby ta czynność była czymś naprawdę bezsensownym.

– No nareszcie! – ucieszyła się Ada, trochę mniej zielona, bo zdjęła potworne okulary i nie mdliło już jej tak bardzo.

– No i co? – wtrąciła się Melka, ostentacyjnie siedząc na kolanach przerażonemu Mateuszowi, który wciąż popatrywał na wuja Huberta i nie wiedział, jak zareagować.

– Po pierwsze chodzą plotki, że będą robić ekshumację.

– No nie rozumiem, przecież jej chyba jeszcze nie pochowali? – Ada aż się poderwała ze swojego miejsca. – Co oni znów wymyślają?!

– Nie ją, jej męża będą ekshumować.

– Jezu, a po co? – Tym razem pisnęli praktycznie wszyscy.

– Dostali donos, że tego męża ktoś porwał, pośmiertnie. Dostali też, że była kosmitką i że Elvis jest jej dzieckiem.

– Elvis, ten Elvis, czy ten nasz? Stefan Kuźwa Paraciej?

– O właśnie nasz, a co z nim? – Ada przypomniała sobie faceta ze spuchniętą nogą. – Wiemy chociaż, jak on się właściwie nazywa?

– No, wiemy, ale to w sumie bez znaczenia. Niech już zostanie Elvisem, jak będzie trzeba, to się jakoś to ogarnie, no i co z tą ekshumacją?

– Gonią w piętkę. Pośmiertne porwanie? Oni naprawdę teraz już nie wiedzą, co robić, to czepiają się anonimów.

– Kosmitów też będą sprawdzać? Znaczy...

– Nie, chipa nie miała, to akurat wykazała sekcja, niechący, ale wykazała.

– Dlaczego niechący?

– Bo przecież nie szukali jej chipa we łbie, ale prześwietlenie na pewno by wykazało. Ale jest inna sprawa. Otóż Marecka rodziła jeden raz, sprawdzili w papierach, nigdy nie miała żadnego innego dziecka poza Waławem Mareckim, chyba że urodziła je jakoś pokątnie, ale też nie, bo musiałyby być przed Waławem, a wtedy lekarz by się zorientował przy drugim porodzie.

– No to wszystko jest porąbane jak drewno na opał – jęknęła Melka. – Pośmiertnie porwała męża, nie miała drugiego dziecka, ciekawe, co jeszcze z tego wyjdzie.

– Pewnie nic, to tylko takie gadanie, nie wierzę, że będą chcieli to zrobić, minęło kilka lat, facet zmarł w wyniku wypadku, co chcą znaleźć?

– Szkielet?

– I co z tego? Na sto procent nikt go nie porwał! Zresztą po co?

– A i jeszcze – Edzio na koniec zachował coś, co jemu wydało się najistotniejsze – Krzysztof Marecki. Ten zabity. Wiecie, że u babki w domu znaleziono jego odciski palców? Przy drzwiach, tylko kilka, ale jednak znaleziono.

– Nic dziwnego, przecież się znali, to znaczy podobno mieli się pobrać, trudno, żeby się nie spotykali. A jej odciski u niego?

– Nie, nie znaleziono, ale...

– Czyli jednak zabiła go – zawołała z radością od wejścia Antonina Ociepka, która właśnie wpadła z trzema kolejnymi skrzyniami, tym razem to były winogrona i pomidory.

– Stawiaj, synu – warknęła do niosącego za nią te dobra któregoś z długiej dynastii Ociepków, bo byli tak do niej podobni, że trudno było się pomylić. – Z dostawą przyszłam, żeby wam się lepiej pracowało, a poza tym obrodziło, sprzedać nie sprzedam, wino sobie nastawcie czy co?

– Ale pani Ociepkowa? Co pani?

Z jednej strony z wielką pokusą patrzyli na przyniesione im dary, z drugiej byli z pokolenia, które krygować się musiało, bo jak odgięty paluszek do herbaty, tak krygowanie się przy przyjmowaniu prezentów było kiedyś nie tylko modne, ale nawet pożądane, żeby ktoś nie pomyślał, że jesteś zachłanny.

Oni jednak na takie dary zachłanni byli, bo takie niepryskane winogrona z całą pewnością bez tego przerażającego GMO, to znaczy oczywiście modyfikowane naturalnie przez dobór, ale kto by się przejmował, nadawały się na wino pierwsza klasa, a pomidory tym bardziej. Wino pomidorowe to przysmak, bo mało kto wie, ale pomidor to owoc.

– Nic pani, nic pani, po prostu przyszłam zapytać. I przyniosłam kilka zdjęć. O.

– Ale o co zapytać?

– No jak wam się rozwiązuje sprawę?

– Nijak, jak łbem w ścianę – westchnęła Melka, bo ona była nauczona asertywności i powiedzenie prawdy wcale nie świadczyło o niej źle, oni natomiast uważali, że należy owijać w bawełnę. – Normalnie ktoś ją otruł, ale to w ogóle bez sensu, ale gdyby jeszcze nie ten drugi nieboszczyk, toby było o wiele lepiej, a tak wszystko wygląda na jedno wielkie gówno, synowie się mnożą, choć ich nie widać, mężowie znikają, i ten martwy były, i ten żywy niebyły, a morderca robi sobie, co chce. Jakieś testamenty... Szlag by to trafił. Nic nie mamy!

Ada się wściekła, bo takie postawienie sprawy przez Melkę naprawdę ją zdenerwowało. Bała się, że Ociepkowa dobra warzywno-owocowe im odbierze i pójdzie sobie precz.

– Ty, Melka, przestań się wtrącać do nie swoich spraw! Sprzątać miałaś, gówniarzerią się zajmować, a nie z dorosłymi...

– Ciotka, przestań, przestań natychmiast, bo ja Mateusza wezmę i sobie własne biuro założymy!

– A ty myślisz, że co? Że tu morderstw wystarczy dla nas, dla was i dla policji? W duchy wierzysz?

Ociepkowa pokręciła głową z dezaprobatą i wyjęła kopertę ze zdjęciami. Były to zdjęcia jeszcze z czasów, kiedy zdjęcia robiono aparatami analogowymi, a odbitki skrzętnie przenoszono na papier. Nic dziwnego w tym nie było, Ociepkowie mieli własny zakład fotograficzny, który teraz przechodził kryzys, ale można raczej powiedzieć: wymierał na pniu.

Telefony teraz załatwiają wszystko, a taki zakład, no cóż, Ociepkowie próbowali słynnych sesji z niemowlakami, ale dzieciaki nie zamierzały współpracować. Jednego włożyli w wydrążoną dynię. Pięknie ubrana mamusia miała go z niej wyjąć w blasku fleszy. Zasnął się po pachy. Mamusia też ucierpiała. Inny dostał alergii na kota i na zdjęciach miał taką minę, że matka chciała ich podać do sądu.

Sesje zdjęciowe w szklarni, które tak propagowali, przyniosły dwa pozwy sądowe, bo pszczoła użądliła pannę młodą i ta w podróż poślubną pojechała karetką na szpitalny oddział ratunkowy, i drugi za myszy, które podobno były w szklarni, wlażyły do torby z ciuchami pana młodego i wraz z nią przeniosły się w inne miejsce bytowania, gdzie założyły rodzinę z prawdziwego zdarzenia, podobno do dziś nie udało się ich pozbyć, a że ojciec pana młodego ma dwa hotele i trzy knajpy, myszy mają co robić. Harcują na całego.

Trzeba jednak przyznać, że zdjęcia do dowodów i paszportów robili doskonale. Każdy wyglądał na nich jak seryjny morderca z wytrzeszczem, co było zgodne z wytycznymi i bardzo podobało się w urzędzie, za to ludzie bali się potem pokazywać dowody nawet policji.

A może zwłaszcza policji.

Reakcja policjanta na takie zdjęcie zawsze była taka sama.

– Wie pan co? Pan mi się jakoś nie podoba.

Teraz Ociepkowa usadowiła się przy jednym ze stolików i rozłożyła odbitki.

– O, widzicie? To jest ona i mąż – wskazała na zdjęcie – a tu z wesela jedno się uchowało.

– Z ich wesela?

– Nie, no z mojego, ale warto zerknąć. O, tu są moje wnuki, a tu ten dom, jak go kupiliśmy.

– Ale... – Melka chciała coś powiedzieć. Jej galopująca asertywność właśnie chciała wybuchnąć. Dziewczyna nie przeszła jeszcze szkolenia, jak obchodzić się z paniami w pewnym wieku, zastraszającymi sąsiadów i znajomych zdjęciami swoich pociech i pociech swoich pociech i pociech... Na szczęście Ociepkowa nie miała jeszcze prawnuków.

– Cicho siedź, Melka – warknęła Ada. – Śliczny ten sweterek – zagadnęła Ociepkową. – Sama pani robiła?

– A nie – machnęła ręką – to przecież nie ja, to jest dom Mareckiej, te dzieci na huśtawce to chyba Wacek i czy ja wiem? Ten drugi?

– Jak drugi?

– No ten jej syn.

– Przecież ona podobno nie miała żadnego.

– Idziesz? – Witek Mąkosiak wlał w siebie ostatnie krople snu sołtysa i szarpnął za ramię Mirka. Próchno też dokończył swoją dawkę, więc postanowili razem iść po kolejną butelkę, a że nie mieli za co jej kupić, zdecydowali się zahaczyć o dom Ady, gdzie obradowało biuro śledcze, które z pewnością za wieści coś im zapłaci.

– To ja żem jest we własnej osobie. – Próchno stanął w progu bufetu, lekko się chwiejąc. Przemowę ułożył wcześniej i jakoś mu pasowała z tym „żem”, choć zazwyczaj tak nie mówił. Teraz wydało mu się to i staropolskie, i szlachetne.

– To znaczy? – zapytał Edzio, patrząc na napitego Mirka ze zdziwieniem i ze zdziwieniem wchłaniając jego zapach, który rozlaźił się po pomieszczeniu; był to zapach przetrawionego alkoholu, ale że przetrawionego kilka tygodni wcześniej, śmierdział zdecydowanie odrażająco.

– No ja jestem tym synem. Mareckiej synem. Przyszedłem po spadek.

– Ale dlaczego pan uważa, że pan po niej dziedziczy?

– No bo jestem synem! Dawać mi tu pieniądze jakieś natychmiast.

– My ich nie mamy.

– Przepiliście! – wrzasnął Witek Mąkosiak, który zawsze wszystkich sądził według siebie, ale nie ma się co łudzić, ludzie zawsze tak robią (chodziło o sądenie, nie o przepijanie pieniędzy).

– A gdzie tam. Są na koncie w banku, ale nie ma testamentu, a bez niego... Zresztą najpierw musi pan zobaczyć, czy coś panu zapisała.

– Zapisała czy nie, dzieci dziedziczą! – zawołał Mąkosiak, bo znany był wśród meneli z pewnej, i to nawet dość sporej, znajomości prawa, nie było to jednak

prawo spadkowe, a raczej Kodeks karny.

Edzio popatrzył ze zniechęceniem na tych dwóch i zdecydował, że jednak spróbuje.

– Panie Próchno, nawet jeżeli jest pan synem zmarłej, to nie dziedziczy pan z automatu.

– Nie z automatu, z adopcji – Mirek prychnął – a to co innego.

– Właśnie. Jeżeli pan został adoptowany, to nie dziedziczy pan automatycznie po biologicznej matce, o ile nie zapisała panu czegoś w testamencie. No ale nikt nie wie, gdzie ten testament... No i o ile naprawdę jest pan jej synem, co należy udowodnić.

– A, pies jebał! Wiedziałem, że mnie okradną – westchnął jakby pogodzony z losem. – A zapłacicie coś za informacje?

– A jaka to informacja?

– Jasne, chuję, wydrzecie z człowieka wszystko, a potem powiecie, że nieważne?! Nic mu nie mów. – Mąkosiak postawił się w roli adwokata.

– No dobra, ile chcecie?

– Dychę! – zawołał ucieszony Próchno.

– No co ty! Jaką dychę. Dwie! Dajcie chociaż dwie!

W tym momencie Edzio nagle pomyślał, że dałby im i trzy, żeby tylko poszli i przestali śmierdzieć.

– Dobra, to co to za wieści?

– Ale zapłacicie?

– No, przecież powiedziałem, że tak!

– Bo ja spotkałem Kościuchową z ciastem, jak szła do Mareckiej do okna, stara kurwa ani kawałka mi nie dała, to ja poszedłem sobie za nią. I jak ona tak otworzyła okno, albo i nie ona, bo nie wiem, to usłyszałem coś takiego, że ktoś ją o grzyby pytał.

– O jakie grzyby?

Edzio skłęśł. Liczył na jakąś konkretną wiedzę, a tu grzyby?

– A bo ja wiem? Pytał, jakie można zbierać.

– A co mnie to obchodzi i co to może mieć wspólnego z morderstwem?

– Obiecaliście dwie dychy!

– No dobra, ale to bez sensu. Jakie można zbierać? To atlasu ten ktoś nie miał?

– Pytał, jakie można w lutym zbierać.

– Pojebało was zupełnie? Pewnie to wymyśliliście, że jak nie wyjdzie ze spadkiem, to nam kit wciśnięcie.

– Nie, jak Boga kocham, nie!

Czy Mirek Boga kochał, mogło być sprawą sporną, ale woleli nie wchodzić w takie intymne szczegóły.

Smród był coraz gorszy. Dawało się w nim wyczuć już nie tylko przetrawiony alkohol, ale i niedomytego albo, trzeba to wyraźnie powiedzieć, niemytego chłopca i bardzo, ale to bardzo przeterminowane skarpetki.

– Idźcie już! – jęknął Edzio, idąc otworzyć okno.

– A ja mogę się o coś zapytać? – Witek Mąkosiak przystanął i zaczął miętolić połę bluzy.

– Jasne – westchnął z rezygnacją zaczadzony detektyw, usiłując nie wdychać więcej tych makabrycznych wyziewów.

– Bo jak adoptowany nie może, to może ja bym mógł? Ja adoptowany wcale nie byłem.

– A jesteś synem Mareckiej?

– A bo ja wiem? Jakby co mógłbym być.

– Nie mógłbyś! – warknął Edzio. – To już zaczyna być chore, pół miasta to synowie Mareckiej, a policja nic o nich nie wie? Nikt nic nie wie. A może w ogóle nikt nic nie wie i nie było żadnego syna Mareckiej?

W tym momencie, choć detektyw powiedział to do siebie, Mirek Próchno zatrzymał się i odwrócił.

– No ale jak to tak?! Przecież mi w mięsnym powiedzieli! W mięsnym, słyszał pan? To nie takie hop siup! Tam wiedzą, co mówią! Nie odbierajcie mi nadziei! To muszę być ja!

– A jeżeli okaże się, że to właśnie ten jej syn ją zabił – warknął Hubert, który od dłuższego czasu przysłuchiwał się tej dziwnej rozmowie – to co wtedy?

– A wtedy to jednak nie muszę. On może. – Wskazał na Mąkosiaka. – Nienawidził jej, a ona chciała mu zrobić koło pióra.

– Ale to już jest całkiem pojebane, nikt nie wie, kto jest tym synem, nikt nie wie, gdzie testament. Albo czy w ogóle istnieje. Od razu widać, że byliście policjantami. Namotać, namieszać i gównem z tego! No nie pierdolcie, a ten syn choć wiedział? Bo tak to strasznie dziwnie... Wiedział cokolwiek? Choćby że warto ją zabić? – rzucił wściekle Mąkosiak.

Zyskał tym jedynie dozonną nienawiść Edzia. Nie był takim idiotą, na jakiego wyglądał, albo może pozował, a poza tym uświadomił mu to, czego on sam sobie

jakoś uświadomić nie umiał.

Z tym synem było jakoś nie tak, bo nikt o jego istnieniu nic nie wiedział. Wszystko to były ploty. W papierach nie znaleziono żadnych śladów syna, córki zresztą też, w policyjnych i lekarskich powinno coś być; wiadomo, że czasami nie ma w papierach, a w życiu jest, ale chyba nie aż tak. Dodatkowo ten cholerny testament. Jego też mogło nie być, choć mógł być.

To do niczego się nie nadawało. To nie był konkret.

Konkretem były ślady palców zmarłego Krzysztofa Mareckiego w domu zmarłej. Kim on był? Co tam robił? Gdzie pracował? Z kim mieszkał? Dlaczego został zamordowany?

Edzio postanowił zadzwonić do koleżanki i dowiedzieć się czegoś na jego temat, bo teraz to było jedyne zaczepienie, choć wiele sobie nie obiecywał.

Modlił się, żeby ten facet nie był kurierem, dostawcą pizzy albo świadkiem Jehowy.

W takim miejscu ślady mogą być przypadkowe, mogą należeć do kuriera czekającego na resztę, bo babka zamówiła coś za pobraniem, albo do dostawcy placzków ziemniaczanych, bo burgerów nie jadła, ale czasami zamawiała jedzenie na wynos, i wtedy kłapa.

Wtedy będą uziemieni. Bo te ślady nie będą nic znaczyć. Chyba że nie był żadnym z tych domokrażców i przyszedł do niej w jakimś celu. Nie zabił jej raczej, bo kto by zabił jego? Taka wewnętrzna brzytwa Ockhama, mówiła mu, żeby nie mnożył morderców, oni sami dostatecznie dobrze się mnożą.

Ten, kto zabił babkę, zabił i jego, tylko że zabójstwo babki było zaplanowane i przemyślane w najmniejszych szczegółach, a zabójstwo Mareckiego (och, te jednakowe nazwiska kusily, ale to jednak nie była chyba rodzina) było niechlujne, pospieszne, agresywne i chamskie.

– Spowodowało je coś... To drugie morderstwo – wyjaśnił Edzio – było szybką reakcją na jakieś zdarzenie. I było lub nie było związane z babką. Jeżeli był kurierem albo świadkiem Jehowy nie było, jeżeli nie, to może.

– Kartka, to mogła być kartka – powiedział Mundek zamyślony. – Robimy grilla?

– Słuchajcie, a nasz Elvis? – zapytała Ada, nie wyjaśniając za bardzo sprawy, bo zapomniała im opowiedzieć szczegóły wyprawy z aspirantem Koziółkiem.

– Co za Elvis?

– No Stefan Kuźwa Paraciej?

– I co z nim?

– No jak ostatnio go widziałam, to jechał do szpitala ze złamaną, albo skręconą, nogą, z dachu spadł. To on doradzał babce z tym testamentem. Widywano go z nią.

– Ale dlaczego Kuźwa?

– Taki przerywnik wstawia co drugie słowo, ale do Elvisa podobny bardzo, nawet za niego na weselach robi.

– No ale dlaczego o niego pytasz?

– Sama nie wiem. Wyszedł już z tego szpitala?

Ada nie chciała się za bardzo przyznać, że była przyczyną jego upadku z dachu i czuje się trochę winna, ale facet, który spada z dachu tylko dlatego, że ktoś wrzasnie „otwierać, policja”, sam sobie jest winien.

Musi mieć coś na sumieniu, a jeżeli nie coś, to może kogoś. Może to on zamordował babkę Marecką?

Niby nic go z nią za bardzo nie łączyło. Znali się okazjonalnie, spotykali czasami na ulicy, ale mógł.

Wszyscy mogli, ale niestety Elvis mógł nie móc, podobno był na jakiejś próbie weselnej. Ada do niego zadzwoniła i naprawdę miała ochotę wrzasnąć mu do ucha „otwierać, policja”, żeby wykonał salto w gipsie, ale przez telefon i tak nic by nie zobaczyła, a jechać do niego nie miała ochoty.

Wizyta u wróżki była czymś pośrednim pomiędzy przyjemnością a pracą. Nie była ani przyjemna, ani owocna.

Emma powiedziała im niewiele. Mąkosiak i Próchno powiedzieli im niewiele.

– Te cholerne grzyby – jęknął Hubert. – Ludzie lubią się tym świństwem truć, rozumiem, ale żeby w lutym szukać tego gówna pod śniegiem? Przecież tylko huby, ale po co zbierać huby? Lepiej trują?

– Niektóre są jadalne.

– No dobra, rozumiem jesienne wyprawy na prawdziwki czy maślaki, nawet deszcz, mokre buty i kleszcze, czy takie inne, węże, ale latem. Lato i jesień są od grzybów, zima nie jest.

– To o co z tym mogło chodzić?

– Nic. Najprawdopodobniej o nic. Nie pomyśleliście, że ludzie czasami rozmawiają o różnych rzeczach, które wcale nie są związane z mordowaniem? Babka powie jednej, że ma ładną sukienkę, a na drugi dzień wpadnie pod samochód, to co? Rozmowa o sukience może być przyczyną wypadku?! Nie, nie może!

Nie miał racji, bo istniał kiedyś przypadek kobiety, która zobaczyła w tramwaju babkę w swojej własnej sukience i natychmiast powzięła przypuszczenie, że mąż ją zdradza, a co gorsza, pozwala kochance używać jej ciuchów.

Sukienkę dostała od siostry, a siostra kupiła ją z paczki z zagranicy i dała za nią spore pieniądze. Były to jeszcze takie czasy, że ciuchy trudno było zdobyć.

Następnego dnia znów zobaczyła tę babkę, na ulicy, i ją przejechała. Potem niby było w porządku, ale dwa dni później znów zobaczyła tę samą kobietę w tej samej sukience.

I tak, zanim ją złapano, przejechała siedemnaście kobiet.

Mąż był z siebie dumny, że żona podejrzewa go o takie możliwości seksualne, ale chwalił się tym tylko przy piwie.

W czasie procesu okazało się, że to wszystko wina krawcowej, szyła sukienki i żeby je drożej sprzedać, twierdziła, że są z paczek, a żeby nie mordować się ze wzorami, wciąż powtarzała jeden i ten sam fason, i to, na domiar złego, z tego samego materiału, którego kupiła okazjnie całą belę. Po prostu w sumie poszła na skrót, niestety kosztowało to życie wielu kobiet.

Zabójczość mnóstwa przedmiotów jest niewidoczna na pierwszym rzut oka.

Edward poszedł na posterunek.

– Dajcie mi jakieś namiary na tego Krzysztofa Mareckiego, tego zatłuczonego. Co?

– To sprawa kryminalna, nie możecie się nią zajmować – powiedziała mu dawna, dużo zresztą młodsza, koleżanka, której nienawidził z całego serca, bo się nad nim znęcała psychicznie.

– No wiesz co? Jak tak możesz? Przecież ci go nie zjem, popytam tylko o niego. Chciałbym wiedzieć, gdzie pracował. Tylko tyle.

– Dobra. Sobota. Kino, piwo i dam ci namiary.

– Jezus Maria?! Randka? – Edzio się zakrzusił, przerażony.

– No, dobra, już się tak nie stresuj. Na poczcie.

– Randka na poczcie?

– Zważywszy na kolejki, to na poczcie można nie tylko spędzić randkę, ale począć i urodzić dziecko, ale nie. On pracował na poczcie.

– Był listonoszem? – westchnął niezadowolony.

– Nie, pracował czasami w okienku, ale właściwie był pracownikiem biurowym. Coś tam przekładał, sortował, podbijał, takie wiesz.

– A coś jeszcze?

– Nic, zupełnie tak jak ty. Żadnej żony, żadnych dzieci, żadnych randek. Możliwe, że wołał facetów.

– Ej! – obraził się Edzio. – Ja wolę kobiety!

– Ta, to widać! – roześmiała się. – Ty się kobiet boisz!

– No i co?! – warknęła, bo uzyskała to, co trzeba, i nie musiał być już aż taki grzeczny. – Baby są straszne!

– Ja też? – Wygięła się zalotnie.

– Ty przede wszystkim – westchnął Edward. Nie to, że była brzydka, nie, była nawet ładna, przystojna, zgrabna, ale biła facetów. Kilka razy widział, jak w czasie aresztowania musiała użyć siły, była bardzo skuteczna, a jak w bójce w barze bez pardonu potrafiła kopnąć chłopą w klejnoty tak, że aż uszami mu wychodziły, to jemu zaczynały trząść się ręce. On się jej bał.

A ona go kochała. I prawie już udało jej się go złapać, albo choć zainteresować, kiedy poszli razem na ćwiczenia z samoobrony.

Edzio przez dwa tygodnie kulał i chodził skulony, chroniąc klejnoty, a to tylko z powodu jej popisów.

Nie widział siebie przy niej w innej niż połamanej formie.

Poczta mieściła się w połowie drogi między posterunkiem a ich siedzibą i była obiektem niewielkim, wciąż zapchanym ludźmi, ale posiadającym tylne wejścia dla personelu, przez które teraz go wpuszczono, aczkolwiek niechętnie, pod warunkiem że niczego nie będzie nadawał.

Nadawał, odbierał, adresował ani kupował.

Ludzie dookoła oczywiście wszyscy, pracownicy poczty szczególnie, mieli marsowe miny i w koszulkach wpięte oznaki żałoby, bo tak teraz właśnie się robi, a ponadto usiłovali załatwić sobie, korzystając z tej śmierci, dodatek za trudną pracę albo choć podwyżkę, bo wiadomo, jeżeli już zabijają pracowników poczty, to praca ich jest trudna, a pracowników poczty mało kto kocha.

Takie akcje rzadko kiedy przynoszą efekt, ale ludzie zawsze próbują.

I nikt nie wątpi, że jest to praca trudna, i rzeczywiście pracowników poczty nikt nie kocha (poza, oczywiście, rodzinami, ale rodzinom przecież można to wybaczyć). Zresztą niektórzy pracownicy są sami sobie winni. Jeden pocztowiec na przykład zostawił sto siedemdziesiąt sześć zawiadomień na jedną przesyłkę w jednej skrzynce. Inny awizo przykleił superklejem do drzwi, jeszcze inny pościął je w paseczki i wetknął w dziurkę od klucza.

Ludzie lubią się zabawić, ale te żarty spowodowały tylko nienawiść.

O ile były to tylko żarty.

Potem się okazało, że ten pracownik poczty miał zaburzenia psychiczne, cierpiał na ergofobię, a po ludzku: po prostu bał się pracy. Wielu ludzi na to cierpi.

Edzio wszedł na pocztę jak w mrowisko.

Wszyscy się tu znali i nikt nikogo za bardzo nie kochał, ale to normalne w takich miejscach pracy. W korporacjach są specjalne zalecenia co do współżycia między ludźmi, uśmiech na ustach ma być obecny w wyznaczonych godzinach i nie ma od tego odstępstw. W zwykłych miejscach pracy nikt nie zmusza nikogo do uśmiechu, choć to, co niektóre pracownice pokazują w okienku, powinno być zakazane.

Niestety, cóż, takie życie.

Tak więc w okienkach warczały (choć nie gryzły) pracownice pocztowe usiłując ogarnąć kolejkę i ludzi, którzy w niej tkwili. Niekiedy całymi godzinami.

Edzio wszedł na zaplecze i tam przepytawał wszystkich, właściwie nawet nie na temat zabójstwa, bo wiedział, że oni niczego nie wiedzą, ale na temat samego Mareckiego, Krzysztofa, żeby nie mylić z tym drugim, bo też ktoś mógł go znać, jego charakteru, znajomości, zwyczajów, zainteresowań, w sumie wszystkiego. Interesowały go tego typu, z pozoru nic nieznaczące, rzeczy, mogło to zaowocować jakimiś konkretami, ale przecież mogło też nic nie dać.

Tak czy tak, w tej chwili tylko taki miał pomysł na posunięcie sprawy do przodu. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Jaki był?

Jedna z jego współpracownic wzruszyła ramionami, słysząc to pytanie.

– Solidny. Nigdy się nie spóźniał.

Pytania bywają różne, odpowiedzi też, czasami wcale nie takie oczywiste, jak się wydaje.

– Wszystko, co robił, robił od początku do końca, bardzo dokładny był, naprawdę – powiedziała z dziwną miną kolejna z koleżanek nieboszczyka Marec-

kiego.

Odpowiedzi też trzeba umieć słuchać, a nie tylko je słyszeć, bo i ludzie wiele mówią między wierszami. Kiedyś przy jakiejś sprawie Edzio usłyszał, że denat nie lubił kozaków, i był przekonany, że chodzi o buty (których też nie lubił), albo o grzyby, a on nie lubił cwaniaków, których czasami tak właśnie się nazywa.

Tu jednak słyszał same pochwały graniczące chyba z zachwytem.

Wszystkie te słowa wygłosiły tak ponurymi głosami, że Edzio aż się wzdrygnął. No ale była to jednak, bądź co bądź, śmierć niespodziewana i tragiczna, więc złożył te ich ponure miny na karb stresu.

– Zgaduję, że bardzo go paniom brakuje – powiedział ze smutkiem na obliczu, bo choć ofiary nie znał, to umiał się zachować.

– Pan chyba oszalał?! – zawołała jedna z kobiet, zaszokowana.

– Nie rozumiem. Przecież sama pani mówi, że był pracowity, solidny...

Kobieta roześmiała się śmiechem szalonego naukowca albo maniakałnego mordercy.

– A jaki upierdliwy?! Panie, ten facet doprowadzał wszystkich do szału! Owszem, nie można powiedzieć, był solidny, nie spóźniał się, wszystko robił dokładnie, ale to był robot nie człowiek! Cham, bydlak, świr! Robot, przekłeta, wredna maszyna pocztowa!

– Ale co to jest maszyna pocztowa?

– Nie ma na szczęście czegoś takiego, ale to było straszne, podam taki przykład. Kartka z wakacji. Adres z błędem ortograficznym. Ulica „Pszyjaźni” zamiast „Przyjaźni” i wie pan co? Odsyła tę kartkę z adnotacją „nie ma takiego adresu”! I to jest właściwie prawda! Takiego adresu nie ma, ale to jest wkurwiające, bo każdy wiedział, że jest, ale żeby on miał przymknąć oko? Nie... To nie Krzysio...

– No rzeczywiście – jęknął Edzio, bo takich ludzi nikt nie lubi, czasami trzeba odpuścić, każdy to wie. A jednak.

– A przecież to nie wszystko! On każdy list sprawdzał. Każdy.

– Nie powinien?

– Nie, to znaczy to naprawdę dobrze, bo to jest makabryczna praca i bardzo potrzebna, ale on szukał tylko czegoś, co można zakwestionować. Na przykład brak kreski w kodzie? Nie ma takiego adresu. Przetastawione litery w nazwisku? Adresat nieznan. Brak numeru mieszkania, choć wszyscy wiedzieli, że tam jest tylko jeden lokal? Adres niekompletny i koniec! I tak całymi godzinami, całymi dniami, a pod koniec dnia pracy, to wie pan co? Chciał nadgodziny robić, żeby

wszystko sprawdzić. Chciał, żebyśmy siedzieli w pracy za darmo, aż on skończy. Chuj jakich mało!

Inni byli podobnego zdania, choć inaczej to zdanie wyrażali.

– Sam bym zatłukł, gdybym się nie bał wyroku – stwierdził listonosz, któremu zabronił zostawiać awiza, bo ma nieładny charakter pisma.

– Dziwię się, że wcześniej ktoś tego nie zrobił – dodała sprzątaczką, w której sprawie wnioskował o obniżenie premii, bo zostawiała ślady na mokrej podłodze.

– A on jako listonosz nie chodził nigdy? – zapytał Edzio trochę pro forma.

– Nie. To znaczy jakieś dwa lata temu zastępował kogoś, ale tylko tyle.

Ponieważ odciski palców daty produkcji nie posiadają, Edzio ucieszył się, że jednak było to dwa lata temu, bo w miejscu, w którym znaleziono odciski, tyle czasu by jednak nie przetrwały.

Odciski można znaleźć często nawet po długim czasie, ale w miejscu, gdzie nie ma szans ich zatarcia. Pod telewizorem, za jakimś obrazem, ale nie przy drzwiach i nie chodzi o to, że ktoś tam wyciera czy sprząta, nie, ale wiele osób tamtędy chodzi i może się oprzeć czy otrzeć.

Edzio nie wiedział, czy to, co wie, jest cenną wiedzą, ale to już było coś, jakieś marne cokolwiek, co mogłoby być może pomóc.

Coś co dałoby radę ruszyć sprawę z tego wrednego marazmu, w którym się taplali.

Kiedy wychodził przez główną salę, bo miał ochotę wyjść na drugą stronę budynku, a nie ryzykował linczu, bo nie miał przy sobie ani listu, ani paczki, i szedł w odwrotnym kierunku, podbiegła do niego jedna z pań z okienka, która wywołała awanturę, bo teraz czynne było tylko pół okienka. To znaczy jedno, ale nie obsługiwało ani odbiorów, ani poleconych, więc ludzie się wściekali.

Pani, która od pięciu lat konsekwentnie przypinała do bluzeczki znaczek „proszę mi wybaczyć, dopiero się uczę” pożyczony od siostry z Biedronki, pobiegła za nim i złapała go za ramię.

– Pan pytał wszystkich o Krzyśka? – zapytała, nie będąc pewna, czy dobrze wytypowała faceta, którego przecież nikt jej nie pokazał. – Bo wie pan, ja się z nim umawiałam.

Takie informacje nie były tym, co interesowało Edzia, bo jednak seks to sprawa intymna.

– Ale...

– Masakra, mówię panu! Totalna masakra! – powiedziała dziewczyna, a wokół nich widać było dość przychylne mimo wszystko zainteresowanie kolejkowiczów, no fakt, zamknąć zamknęła, to było karygodne, ale seks też się liczy. Każdy lubi posłuchać.

– Ale...

– No bo wie pan, on nawet sprawdzał, czy mam szczepienia na ospę, odrę i żądał badań na weneryczne... Trochę mnie to wkurzyło, ale powiedziałam sobie, że w sumie wcale mi to nie zaszkodzi, przy okazji rzeźączkę znalazłam, po byłym, ale się wyleczyłam.

Fascynująca historia medyczna zebrana z tyłu sali poszła do przodu i trochę obrosła, rzeźączka, co prawda, zmieniła się w rzeźuchę, odra i ospa w dżumę. To trochę przerzedziło kolejkę i nawet dało się nieco swobodniej oddychać, oczywiście jeżeli ktoś się nie bał.

– Ale...

Tak to już jest, z kobietami trudno się rozmawia.

– No i widzi pan, ja znalazłam u niego pół poczty. Te listy, co to adresat nieznanzy, albo coś tam z adresem, to on je brał, otwierał. Miał takie pod tapczanem zapasy listów, że szok. On ludzi szantażował. Moim zdaniem. Nawet poszłam do jednej takiej. To wie pan, co on robił? Brał od niej pieniądze za naprawianie adresów, to znaczy, że nawet jak ktoś źle coś napisze, to po tej opłacie już list do niej trafi.

– Ale...

– No tak, ma pan rację, to były grosze, ale skoro tak robił, to mógł i inaczej? Prawda? No właśnie i wydaje mi się, że on miał sporo na sumieniu, poważnie, był tak pokręcony, że zupełnie wie pan. Kupił taką książkę i zaczął mnie zawiązywać. No, że wie pan, żeby dokładniej...

Wszyscy zrobili się czerwoni.

– I normalnie to jak baleron mnie związał.

Temperatura ciał podskoczyła, pomieszczenia tym bardziej.

– Pięćdziesiąt twarzy Greya?

– Nie, to była Sztuka wiązania węzłów, bo miał ochotę kupić sobie żaglówkę. Na mnie tylko trenował. I o tym chciałam z panem właśnie porozmawiać.

Stojący jak słup soli od dwudziestu minut Edzio nagle zorientował się, że to, co ta kobieta opowiedziała, było tylko wstępem i nie miało znaczenia, ale weneryczna rzeźucha, węzły i seks to były sprawy oboczne, a teraz dopiero kobieta powiedziała coś, co on uważał za ważne.

– No bo skąd on miał na żaglówkę?

Finanse ofiary zawsze są ważne, ale tu chyba nic nie zginęło, nic nie zabrano, a facet nie był milionerem. Na dodatek z marzeń jeszcze nikt nikogo nie rozlicza, o ile nie są szkodliwe społecznie i nie zostały zrealizowane.

Jednak obraz Krzysztofa Mareckiego wydał się detektywowi bardzo szczególny, człowiek, który czepia się drobiazgów, upierdliwie dąży do...

– Do czego on właściwie dążył? – zapytał w końcu na głos.

– Mnie się wydawało, że do władzy. Takiej byle jakiej, drobnej, ale jednak władzy, chciał decydować, kto otrzyma korespondencję, a kto nie.

– No ale taka władza jest praktycznie żadna.

– Nigdy nic nie wiadomo. On był tak zafiksowany w tej dziedzinie, że nie wiadomo, co i jak. Może z tego powodu ktoś go zabił?

– Powiem szczerze, że ludzie zabijają z bardzo różnych powodów, jeżeli list nie został dostarczony i dziewczyna straciła narzeczonego na przykład i wyszła za mąż za kogoś innego, to ten narieczony mógł go zarębać siekierą, ta narieczona, jeżeli kochała tamtego, a nawet ten drugi, kiedy okazało się, że żona robi mu piekło z życia, a do tego by nie doszło, gdyby nie tamten niedostarczony list.

– Fakt, my tu na poczcie znamy wiele takich tragedii. Na przykład ta Luśka Marecka, miała podobny przypadek, ale nie pamiętam, czy wtedy on ten list zwrócił do nadawcy, czy jednak jej został oddany, no bo to ludzie czasami wpadali do sali, brali wszystko jak leci, jak on do kibla poszedł, a że chodził od linijki... No i to dotyczyło pracy, a nie męża.

– Jak można chodzić do ubikacji od linijki?

– No można, dokładnie o dwunastej zero pięć! To tylko przykład. Bo z Mareckim to jeszcze paskudniej było. Sama awanturę słyszałam.

– Przecież o nim chyba mówimy? – zdziwił się Edzio, żeby cokolwiek powiedzieć.

– No ale chodzi mi o tego Wacka. Jaja były, że strach. Miał dostać list na poste restante i czekał, czekał, a to list od prawnika był. Bo pytał prawnika, jak to z rozwodem jest, a bał się na domowy adres dostać odpowiedź, żeby się Luśka nie dowiedziała, więc podał adres poczty. No nie doczekał się, zadzwonił, a tamten, że z idiotami nie rozmawia.

– Poważnie? No ale co to ma wspólnego z tym, tutejszym, Mareckim?

– A ma, ma, bo on oprócz tego jeszcze świętojebliwy był.

– Eeeee. – Edzio nie umiał z siebie niczego już wydusić. Chciał jakoś skończyć rozmowę, ale nie wiedział jak. Obrazić kobiety nie chciał, bo nigdy nie wiadomo,

czy jeszcze nie będzie musiał z nią rozmawiać, ale o świętojeblowości też rozmawiać nie zamierzał.

– Bo wyszło tak. Krzysio zobaczył adres, że Marecki i poczta, znaczy adres naszej poczty, podobno K z W pomylił, bo był tylko inicjał imienia, i stwierdził, że to musi być do niego. A jak już przeczytał, to napisał do tego prawnika, że żadnego rozwodu nie chce i go poda do sądu za namawianie, nękanie i coś tam jeszcze i żeby się ten prawnik od niego odpiardolił, bo on porządny człowiek jest, a nie żaden rozwodnik i cudzołożnik. No i jak się Wacek Marecki dowiedział, to przyszedł tu obić mu mordę.

– Uuuu – sapnęła Edzio, tym razem z wielkim zadowoleniem – to co innego! No, cudnie. A kiedy to było?

– A czy ja wiem, jakoś kilka tygodni temu, ale nie bili się. Marecki, ten nasz, to nawet nie chciał z nim rozmawiać. Poszedł do naczelnicy i powiedział, że list był do niego i miał prawo tak napisać, jak chciał.

– No niby tak...

– No niby nie. Bo ten Marecki, ten Wacek, to powiedział, że dostał kopię tego listu i o ile na kopercie rzeczywiście był tylko inicjał, to jednak w samym liście było całe imię i nie dało się pomylić, no ale w sumie wyszło, że z wrażenia, że coś tam, w każdym razie nasz Marecki, ten Krzysio tutejszy, wygrał i się od niego odpięprzyli wszyscy. My zresztą też, bo każdy pomyślał, że on musi mieć jakieś układy z naczelnicą, że go nie wywaliła na zbity pysk, bo tajemnica korespondencji i w ogóle, a on dalej pracował, jak chciał. Lepiej było mu z drogi schodzić.

I tu Edzio uwolnił się od pani „proszę mi wybaczyć, dopiero się uczę” i wyszedł z sali pocztowej na zewnątrz. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Natychmiast wyjął komórkę i zadzwonił na posterunek.

– Czy w domu tego Krzysztofa Mareckiego znaleźliście jakieś listy?

Przez chwilę słuchał, co ma do powiedzenia koleżanka, do której zadzwonił, i wcale mu się to nie spodobało.

– Jak sobie chcesz, to ja też nic ci nie powiem, a sama tego się nie dowiesz, Purchawo!

Purchawa podziałała.

– No już dobrze, przecież nie proszę o cuda, nie pytam, co znaleźliście, tylko czy cokolwiek znaleźliście. Pod łóżkiem.

Okazało się, że pod łóżkiem nie było praktycznie nic, choć jak zauważono nie było też kurzu, a były smugi krwi.

Siedzący wciąż za biurkiem nieboszczyk terenów podłóżkowych zwiedzać nie mógł, toteż tę krew musiał tam zostawić morderca, choć była to zdecydowanie krew ofiary.

– Czyli tam coś było! – westchnęła policjantka.

– Było! Było, przecież mówię! Listy były!

– Do niego?

– O to chodzi, że raczej nie, on kraść listy z poczty. Nie wiem, czy na pewno szantażował ludzi, bo takie pomysły też słyszałem, ale chyba raczej nie. W każdym razie miał te listy i coś z nimi robił.

– Możemy założyć, że ktoś go zabił z powodu tych listów? Rozumiem. Czyli to nie ma nic wspólnego z waszą sprawą!

Edzio ucieszył się z określenia, którego użyła koleżanka. „Wasza sprawa” sugerowała, że istnieje jakaś akceptacja dla ich działalności i że jakoś to się kręci, ale z nią się nie zgodził.

– Nic nie rozumiesz! – burknął. – On miał dwie potężne awantury z Luśką Marecką jedną, i z Wacławem Mareckim drugą. O listy właśnie. Rozumiesz?

Edzio kombinował w ten sposób, że jeżeli ten Krzysztof Marecki, czego nie zdolali jeszcze udowodnić, ale co mogło być prawdą, miał zacięcie do szantażu, to mógł szantażować Mareckiego. Przecież to były listy związane z rozwodem. Owszem, trochę bez sensu, bo tylko takie dowiadywanie się, co by było, gdyby, ale już samo to dałoby Luście do myślenia, zresztą wściekłyby się jak nic.

Druga sprawa: jeżeli przejął listy Mareckiego, to dlaczego nie babki Mareckiej? Mógł przejąć także i jej listy i czegoś się o niej dowiedzieć, czegoś, co było na tyle ważne, że ktoś postanowił go zlikwidować.

– A ludzie to teraz aż tak dużo listów piszą? – burknęła koleżanka policjantka, wciąż jeszcze pod telefonem, bo temat wbrew pozorom był intrygujący.

– Taka babka Marecka przecież nie wysyłała maili! Nie ona! Jeżeli cokolwiek załatwiała, załatwiała to listownie. Mógł coś trafić.

Ludzie w pewnym wieku z trudem akceptują takie nowinki jak poczta elektroniczna.

– I znowu byłaby to pomyłka w adresie?

– Pomyśl, jaka pomyłka? On mógł po prostu sprawdzać takie czy inne nazwiska. A szczególnie własne. Na Wacka Mareckiego po tym niedoszłym mordobiciu z pewnością się uwziął, to był podobno zapiekły typ.

Przez chwilę milczeli sobie, każde w swoim świecie.

Nagle koleżanka mruknęła:

– Ale to nadal nie znaczy, że to ma coś wspólnego ze śmiercią babki Mareckiej. Tu Edzio musiał trochę spuścić z tonu.

– No wiesz, żeby aż takie zbiegi okoliczności? Nie uwierzę, ale masz trochę racji. Waclawa o zabicie matki jakoś nie podejrzewamy, choć może niesłusznie. Co do Luśki Mareckiej, też średnio, mogli zabić tego faceta, nawet wspólnie, ale nie zabijać jej? To nie byłoby takie logiczne. Wiesz co, ja wrócę na tę pocztę i zapytam jeszcze o tę Luškę. Pójdę do naczelnicy, może ona coś mi powie.

Niestety, koleżanka kazała mu czekać. To znaczy nie kazała, stwierdziła, że przy rozmowie z naczelnicą chce być obecna, bo to jest rozmowa na poważnym szczeblu, z ludźmi to sobie on może gadać, jak chce i o czym chce, ale jak zaczeka, to do naczelnicy pójdą razem.

To była dobra wiadomość, bo jednak takie oficjalne przesłuchanie, co prawda i na szczęście już na bazie tego, czego dowiedział się Edzio, mogło wiele dać.

– I jak jeszcze raz wyjedziesz mi z Purchawą, to cię zastrzelę! – powiedziała koleżanka.

Postanowił na wszelki wypadek kupić jej kwiatka. Jednak jeszcze nie w tej chwili.

Nie rozumiał, dlaczego. Jak i skąd wziął się w tym wszystkim ten zwariowany pocztowiec. Czy to jego działalność doprowadziła do zabójstwa lub samobójstwa, Mareckiej, czy on to zrobił? A potem zabił go ktoś z zemsty? Za Marecką nie było chętnych do zemsty. Czy też to on był jej synem? Było to dziwne, ale możliwe. To znaczy niemożliwe, ale takie rzeczy się zdarzają, czy zaistniało coś zupełnie innego. Ktoś zabił Marecką, a ten skretyniały listożerca i pogromca adresów jakoś się o tym dowiedział?

Tyle że mało kto w listach pisze o takich sprawach.

„Słuchaj, Zośka, wczoraj zamordowałem własną matkę. Co o tym sądzisz?”

No bez sensu.

Z listu by się nie dowiedział. O takich sprawach się nie pisze, nie otwarcie. Może jakimś szyfrem w stylu „załatwiłem to”, ale to też nie za bardzo. Telefony zostawiają mniej śladów.

A jednak listy musiały mieć znaczenie, skoro morderca je zabrał. To znaczy jakieś listy, może nie wszystkie, ale jakieś tak.

Może zabrał je tylko dlatego, żeby nie zwracały niczyjej uwagi, no ale ich brak też zwrócił jakoś ich uwagę.

Mógł je zabrać też dlatego, że było tam coś istotnego.

I jeszcze jedno. To coś istotnego pojawiło się przed zabójstwem Mareckiej czy po nim?

Listy idą długo.

Od śmierci kobiety nie minęło nawet dwa tygodnie, czyli to musiała być jakaś sprawa istniejąca dużo wcześniej.

Ale czy morderca Mareckiej zabił też pocztowca? Edzio nie chciał nazywać go Mareckim, bo Mareccy mu się cholernie mnożyli, było ich zbyt wielu, gdyby była to tylko rodzina, to jakoś by to przetrawił, ale tak to nie bardzo.

No chyba że pocztowiec był z rodziny. Jakoś. Przez adopcję, przez małżeństwo... Nie. Niemożliwe.

Sprawa tego listu na temat rozwodu była poważna, bo pocztowiec zrobił z Mareckiego idiotę i naraził się w jego imieniu prawnikowi. A w sumie ciekawe, jak się podpisał pod listem...

Można to było sprawdzić, ale Edzio nie wiedział, czy było to istotne. Udowadnianie, że facet był upierdliwcem, nie miało sensu, każdy to wiedział.

Była też sprawa z Luską. Przypomniał sobie, co powiedziała kobieta na poczcie. Ta Luśka Marecka miała podobny przypadek, ale kobieta nie pamiętała, czy wtedy zwariowany pocztowiec ten list zwrócił do nadawcy, czy jednak został jej oddany (list nie pocztowiec), zdaje się, że to dotyczyło pracy, a nie męża. Praca dla Luśki była ważna, mąż też. Słowo „zdaje się” niewiele tłumaczy. Mogło dotyczyć wielu spraw. Była jakaś awantura z Luską, którą zwolniono, były jakieś listy z sądu pracy, może o to chodziło.

W każdym razie Luśka mogła chcieć go zabić zupełnie niezależnie od tego, czy była zabójczynią własnej teściowej, jej mąż też mógł.

Edzio nagle zdał sobie sprawę, że pół miasta mogło chcieć go zabić.

Naczelnica powinna mieć jakieś zażalenia, donosy. Takie różne drobiazgi.

Jeszcze raz na szybko zadzwonił do koleżanki, licząc, że złapie ją, zanim ta wyjdzie z posterunku, choć właściwie liczył też, że zjawi się pod pocztą jak najszybciej.

– Ty weź jakieś nakazy czy coś? – zasugerował.

– A ty weź się odpierdol, co? Kto tu jest policjantem, ty czy ja?! Nie ucz mnie, dziadku, co mam robić, znam się na swojej pracy!

– Purchawka! – rzucił, bo nie mógł się powstrzymać.

Kobietę nazywano purchawką wcale nie dlatego, że była blada czy gruba, nie, ona tylko miała tak głupio zrobione włosy, że przypomniały wielką siwą purchawkę.

Jej się to wydawało eleganckie, inni sobie z niej żartowali.

Nie należała do kobiet specjalnie przewrażliwionych na swoim punkcie, ale też Edziowi lubiła dogryzać, choćby dlatego, że się w nim kochała. Co było beznadziejne, bezsensowne i pozbawione jakichkolwiek widoków na przyszłość, ale miłość podobno nie wybiera.

* * *

Melka i Mateusz postanowili przesłuchać Mąkosiaka. Sami osobiście. Dlaczego? Bo był bardziej w ich przedziale wiekowym oraz mimo wszystko w ich przedziale szaleństwa, a jednak trudno byłoby się spodziewać, że taka Ada dogada się z kimś takim jak Witek, a już reszta grupy zupełnie nie nadawała się do rozmów na takim poziomie. Oni by tylko pouczali i strofowali, a to niewiele daje.

Przesłuchanie ponadto wynikało nie z postanowienia czy wyboru, a nawet konieczności. Po prostu grill wymagał zakupów, a Mąkosiak napatoczył się po drodze.

Postanowili połączyć pożyteczne z pożytecznym, bo przyjemności jednak w tym nie było.

Mąkosiak leżał na ławce i usiłował wstać. Robił przy tym dużo szumu i klął jak tabun szewców, czemu trudno się dziwić, niechcący zrobił mostek, a z mostka, nawet po trzeźwemu, trudno się wstaje.

Pomogli mu, ale jego ciało się tej pomocy przeciwstawiło bardzo.

Nie chcąc go tak zostawić, ani tym bardziej połamać, usiedli koło niego.

– Nie ma szans na to, żebym to ja był jej synem? – zapytał, czkając. – Kurwa, a tak liczyłem. Forsa by się przydała, już nie mam za co pić! Na odwyk przyjdzie mi pójść, no tragedia!

Pewna grupa osób pijących nie zalicza się do alkoholików, ale do pijaków. Podstawą rozróżnienia jest to, że oni pić lubią. Mąkosiak także lubił pić, ale postrzegał się jako alkoholik. To mu dawało więcej możliwości, jako że alkoholizm to choroba.

Mógł się nią zaślaniać do woli, a że nie pracował i nie miał rodziny, to nie zamierzał się dla nikogo poświęcać, jednym problemem były pieniądze.

Bo alkoholizm to droga choroba.

– Mógłbym ją podać do sądu? – zapytał, z głową wciąż na poziomie trawnika.

– Ale kogo?

– No Marecką!

– Ona nie żyje. – Mateusz wzruszył ramionami, ale Witek i tak tego nie zauważył.

– Ale w sumie, gdybym był jej dzieckiem, porzuconym, byłoby cudnie, każdy by mi współczuł, a współczucie daje kasę. Choć tyle, nie?

– No niby – westchnęła Melka – ale ona w ogóle miała jakiegoś syna? Bo takie gadanie wciąż i wciąż odchodzi, a nikt nic nie wie, pół miasta chciałoby być jej synem, a nikt nie wie, czy w ogóle coś w tym było na rzeczy.

– Mietek się uparł, że on, ale u niego to całkowity przypadek mienia.

– Jakiego mienia?

– No bo nawet gdyby, to jego starzy podobno go adoptowali, a jak tak, to on by nie mógł dziedziczyć.

– No chyba że byłby jakiś testament.

Przez chwilę milczeli, po czym Melka palnęła się w głowę.

– A Elvis?

– Elvis, znaczy Paraciej? – Mąkosiak popatrzył na Melkę i odrobinę się skrzywił. – Ale on? Co on?

– No mógłby być jej synem?

– Chuj go wie. – Mąkosiak nie był zadowolony z tego mnożenia się nagłego ewentualnych braci. – Ale ja wiem? Nic nie stoi na przeszkodzie, tyle że tak jakby to wszyscy faceci w pewnym wieku by mogli, po pięćdziesiątce, jeżeli miała syna przed małżeństwem, i całkiem sporo, jeżeli miała go w trakcie... A córka nie mogła być?

Pomysł, że Marecka miałaby mieć nie syna, tylko córkę, nikomu do głowy nie wpadł, ale ani Melka, ani Mateusz nie wzięli go pod uwagę.

– No bo tak by mogło wynikać, jakby ktoś ją otruił, a w przeważającej części to baby trują. Mówili w telewizji.

– No ale... W testamencie nie było „moim dzieciom” ani „mojej córce”, a podobno tylko „synowi”. Tak zapamiętała sprzątaczką. Czegoś musimy się trzymać – westchnął Mateusz.

Wyraźnie wspomnienie o testamencie coś Mąkosiakowi przypomniało, bo zaczął się klepać to po głowie, to po kieszeniach, mruczając, że coś chyba miał, co mógłby im pokazać.

Podźwignął się do pozycji siedzącej, co dobrze mu zrobiło, bo już był całkiem czerwony od tego trzymania głowy w zwisie.

– O takie coś pod oknem znalazłem. – Wyciągnął z kieszeni garść zmiętych papierów.

– Gdzie?

– No pod oknem. Bo jak Mietek tam polazł, wcześniej, co mówił, że ciasto ta stara niosła, to ja za nim nie poszedłem. Gdzie indziej poszedłem. On ma farta, zawsze gdzieś coś skubnie, a ja wtedy na nura go napadam, to i czasem choć mnie skapnie. No daję nura – wyjaśnił, widząc zdziwienie – no tak jakby nura.

– Jezu, co z tym nurem i oknem?

– No bo jak Mietek kogoś zagada i ten już wyciąga grosiwo, to ja wtedy nura daję pomiędzy nich i albo też dostaję, albo Mietek musi się podzielić.

– Okno! – warknął Mateusz. – Nury nas nie interesują.

– No leżało, kilka było. – Wyciągnął zwitek zmiętolonego śmiecia.

– Ale kiedy?

– No wtedy, co ją potem znaleźli, tę babę.

Kartki były w takim stanie, że nawet nie bardzo mogli je obejrzeć, choć bardzo chcieli.

– Widzę tu jakieś odciski – Mąkosiak wskazał palcem na zmiętolone papiery – które mogą być cenne! Całkowicie zasłużyłem na odrobinę płynnej pomocy.

Natychmiast zrozumieli, skąd to jego zainteresowanie.

Płynną pomocą niestety w tej chwili nie dysponowali, bo jeszcze nie doszli do sklepu, ale i tak nie bardzo mieli ochotę go jeszcze bardziej ululać. Był w takim stanie, że kilka kropli więcej i koniec końców mogliby mieć kłopoty.

– Ta, jasne, to może być najwyżej odcisk kielbasy toruńskiej, może wzorek salcesonu ozorkowego, w ostateczności kaszanka.

– No co? I też dobre! – uśmiechnął się Mąkosiak i był to uśmiech zdecydowanie lubieżny.

Nie byli pewni, czy mówi o odciskach, czy o artykułach spożywczych, które te odciski zostawiły.

– No i ozorkowego to nie jadłem dobrych kilka tygodni.

– I to było jej okno?

– No jej. Mareckiej. W te kartki mi salceson zawinęła, bo po prośbie poszedłem. Czasem się uda. Ja tam żarty nie jestem, płyny wolę, ale czasem muszę coś zarzucić, bo alkohol to puste kalorie, w Internecie tak mówią, a ja dbam o zdrowie. Od czasu do czasu, ale dbam.

– No to jakoś miałaś farta, bo z rana wściekała się, że ci zrobi koło pióra, potem ci salceson w stary papier zawija, a w końcu całkowity szlag ją trafia, no no...

– Ale szlag? Całkowity? Ja? – Witek aż się złapał za usta, co, przy jego nieskoordynowaniu, w tym momencie zagroziło kolejnym mostkiem i obiciem sobie głowy o podłoże, ale udało mu się utrzymać w jakim takim pionie.

– No przecież nie żyje! – warknęła Melka.

Z pijakami rozmawia się trudno, bo nigdy nie wiadomo, o czym myślą w danym momencie, gdzie znajduje się ich umysł i jakie zakamarki czasu w tej chwili zwiedza ich ego, ale to jakby nic w porównaniu z tym, że nie wiadomo, jak taki pijak zareaguje. Co wywoła w nim płacz, co agresję, a co paniczną ucieczkę. I co z tego, co się do niego mówi, pojmie.

– Jak to nie żyje?! – Mąkosiak zerwał się z ławki, po czym padł na nią ponownie z taką siłą, że walnął głową w trawnik za ławką, bo ta nie miała oparcia, a mostek wciąż był poważnym zagrożeniem.

– No co się z tym światem dzieje! – zawołał, gramoląc się z powrotem do pozycji trochę mniej leżącej.

– Wiruje? – zapytała Melka, sądząc, że Mąkosiak będzie wymiotował.

– Nie, no ale żeby tak ludzi mordowali? Jedna Marecka, druga Marecka... Toż to jakiś morderczy pomór. Taki Marecki pomór. No bo i tamten też Marecki. Czy ten morderca tak po nazwisku czy jak?

Ta wypowiedź musiała pozostać bez odpowiedzi, bo co innego zaintrygowało Mateusza.

– Jak to druga Marecka?

– No Luśka, nie? – zdziwił się Mąkosiak.

– To Luśka nie żyje?! – wrzasnął tym razem Mateusz.

– No ja pierdołę – jęknął Mąkosiak – sami żeście przed chwilą mówili! Powiedźcie mi, kto tu jest pijany, bo tak do teraz myślałem, że ja.

Melka i Mateusz spojrzeli na siebie niepewnie, bo nie mieli jeszcze zaników pamięci, a Mąkosiak mógł je mieć, ale też wiedzieli, że nic takiego nie mówili. To co? Zwidy miał?

Ludzie po alkoholu miewają zvidy, ale częściej objawiają się białymi myszkami, a te mniej słodkie pająkami.

– No znaczy przywidziało ci się? – Mateusz usiłował dowiedzieć się czegoś więcej. – Bo ja niczego takiego...

– Ty, patrz – szepnęła Melka, rozkładając sobie na kolanie zatłuszczone kartki. I w tym momencie już było im wszystko jedno, kto, co i kiedy powiedział, bo kartki okazały się szalenie tłuste i rzeczywiście interesujące.

„Zabiję cię, ty suko” – widniało na jednej.

„Odpowiesz za swoje zbrodnie” – groziła druga.

„Zajebię cię jak kurczaka w gnojówce” – obwieszczała trzecia.

„Masz na imię Eulalia” – zawiadamiiała kogoś czwarta i było to dość niezwykle w tym zestawie. Ludzie na ogół wiedzą, jak mają na imię.

Kartki były wyświnione i na pewno nie było na nich żadnych rozsądnych odciśków palców, choć z pewnością było tam wiele różnych śladów. Niestety nie do sprawdzenia.

– O kurczę! To wygląda na groźby jakieś karalne! – ucieszył się Mateusz. Nic tak nie cieszy jak uświnione groźby karalne.

– No ale on znalazł to pod oknem nieboszczki? Te, Witek, gdzie ty to, do cholery, znalazłeś? – zapytała Melka, chcąc jednak umiejscowić sobie nieco te groźby w czasie i przestrzeni.

– No pod oknem nieboszczki, skoro mówicie, że Luśka nie żyje!

* * *

Naczelnica poczty, kobieta doskonale zorientowana w tym, co jej się od życia i współplemieńców należy, przyjęła ich z wściekłą miną.

– Co znowu?! – wrzasnęła, jakby to nie była ich pierwsza u niej wizyta, ale nękali ją podobnymi odwiedzinami trzy razy dziennie od tygodnia. – Co znowu?

– Chodzi nam o Krzysztofa Mareckiego – wydusił z siebie Edzio, widząc, jak obie kobiety mierzą się zabójczym wzrokiem.

– I co z nim? – zapytała naczelnica, jakby w ogóle do niej nie dotarło, że facet został zamordowany.

Bardzo trudno jest odpowiedzieć w takiej sytuacji na tak postawione pytanie.

– Nic z nim, kroją go w prosektorium, choć chyba już skończyli – warknęła policjantka, budząc w Edziu grozę, a u naczelnicy powodując złośliwe skrzywienie ust.

– To czego ode mnie chcecie? – rzuciła wściekle, wyraźnie nie zamierzając się poddawać.

– Szukamy mordercy! – jęknął Edzio, chcąc załagodzić rodzący się konflikt. Nie zdołał.

– Tutaj?! U mnie?! – wrzasnęła kobieta – Wypraszam sobie takie traktowanie! Czy wy mnie podejrzewacie o to, że go zatłukłam na śmierć?

– Tak jakby dało się zatłuc kogoś na życie – warknęła znowu policjantka. Naczelnica jednak już jej nie słuchała.

– To był taki chujek, że z przyjemnością bym to zrobiła, ale nie miałam tyle odwagi! Wy nawet nie wiecie, jak paskudnie pracuje się z takim potworem.

Z pracą teraz trudno, wszyscy to wiedzą, ale wiadomo też, że ktoś tak wysoko postawiony ma wobec swoich podwładnych wiele różnych sposobów pacyfikacji.

– A zwolnić? – zapytał Edzio, wiedząc, że kto jak kto, ale naczelniczka poczty ma pewne możliwości.

– Niech się pan nie ośmiesza! Za co?! Za to, że był upierdliwie dokładny? Za to, że egzekwował wszystko co do minuty, sekundy, przecinka? Za to, że jak w instrukcji napisali, że znaczek na kopercie należy uderzyć stemplem z odpowiednią siłą, to on tę siłę ćwiczył i obliczał, żeby była odpowiednia, a jak mu nie wyszło, to list wywalał? Musiałam go znosić, ale z zachwytem ucałowałam tego, kto go załatwił.

– A inni?

– Nie będę tu nikogo oskarżać, mowy nie ma!

– Nie prosimy o oskarżanie, ale o to, czy go ludzie lubili?

– Jak sraczkę i wymioty razem wzięte.

Ada rozłożyła na stole listy przyniesione przez Melkę, bo Mateusz poszedł po prowiant, i uważnie się im przyjrzała.

„Zabiję cię, ty suko”.

„Odpowiesz za swoje zbrodnie”.

„Zajebię cię jak kurczaka w gnojówce”.

„Masz na imię Eulalia”.

– To ostatnie jest dziwne – stwierdziła – bo te pierwsze to jakiś chłam. To znaczy nie, że nieważne, ale dość zwyczajne, takie rzeczy ludzie czasami piszą, a i tak trupy nie leżą na ulicach, więc czy ja wiem?

– Masz na imię Eulalia? – przeczytała Melka jeszcze raz, tym razem z niedowierzaniem, dla niej sprawa wyglądała odwrótnie, trzy pierwsze były cenne i ważne, ostatni chyba trochę nie za bardzo, skoro ktoś do kogoś pisał w ten sposób – znaczy, że ten ktoś nie wiedział, jak ma na imię? Co, zaniki pamięci miała?

– Niekoniecznie, może na przykład ktoś się pod kogoś podszywał?

– No w sumie. No tak. Jakby planował coś w stylu „jak tam gdzieś zapytają, to masz na imię Eulalia”. Dobrze. I myślisz, ciotka, że o to chodzi? O jakies planowanie? Bo to może być, że ktoś nie pamiętał na przykład, jak ma na imię?

– A jak na imię miała babka Marecka?

I tu powstał problem, i to dość poważny, bo babka miała na imię babka. Od lat tak ją wszyscy nazywali. Nawet do niej samej zwracano się najczęściej „babko Marecka”, no chyba że ktoś jej nie znał, wtedy była panią Marecką, a tak... Gdzieś umykało jej imię. Celowo, nie celowo, ale nikt po imieniu się do niej nie zwracał.

I to było o tyle dziwne, że znali się przecież od lat. Widywali kilka razy w tygodniu, a to w kolejce do kasy w Biedronce, a to gdzieś przy śmietniku, a to w kolejce do lekarza w przychodni, a imienia jej nie znano.

Ada chwyciła za komórkę i zadzwoniła do Cezarego.

– Słuchaj, jak twoja babka miała na imię?

Pytanie go zaskoczyło. Było to wyraźnie słyhać.

– A chuj ją wie! – odpowiedział niezbyt przyjaźnie. – Normalnie to chyba Elka do niej koleżanki mówiły, ale w papierach? Nie jestem pewien. Jakoś tak dziwnie, chyba Eulalia.

Ada wyłączyła komórkę.

– A więc to tak. To było do niej, ale co to miało wspólnego z całą sprawą?

– Że ktoś chciał ją zabić?

– No, i to bardzo! „Zabiję cię, ty suko”, „Odpowiesz za swoje zbrodnie”. Ktoś chce ją zabić za jakieś zbrodnie. Czy ona była notowana?

Ludzie czasami mają wiele na sumieniu, ale jakoś tak się składa, że się tym nie chwala, tak więc wszyscy mogą kogoś znać przez lata jako dobrego sąsiada, a to bimbrownik, choć nie, takich to jednak się zna, bo dobry bimber to cenna rzecz, ale jakieś kradzieże, rozboje, bójki czy inne wybryki i wykroczenia ludzie po prostu ukrywają.

– Nie, chyba nie, bo już byśmy o tym wiedzieli. A kurczak w gnojówce? No i coś z tym imieniem.

– Wydaje mi się, że to może być ważne, ale dlaczego?

– I dlaczego on znalazł to pod oknem Luśki? Marecka tam to zgubiła? Nielogiczne – Ada odpowiedziała sama sobie – wchodziła drzwiami, nie podchodziła chyba pod okna.

– A może Mąkosiakowi się pomerdało? Znalazł gdzieś indziej? A może to tylko wyrazy miłości Mariolki do Luśki?

– A ta Eulalia?

– Każda z tych rzeczy jest na innej kartce. Może trzy są od Mariolki, a ta ostatnia od kogoś innego do babki?

Kolejny telefon rozjaśnił nieco sprawę.

– To moje. Babka mi dała, żebyś spaliła, ale ja je na oknie zostawiłam i zwiało. No a potem trafił się Witek, to powiedziałam, żeby zebrał, to mu dam coś do żarcia. I dałam.

– Ale ona dostawała takie groźby?

– A ja tam wiem? Mówiła, że ktoś jej listy miłosne zostawia pod drzwiami, ale się tym nie przejmowałam. Myślicie, że to ma jakiś sens?

– Nie, no, nie myślimy, tak tylko się zastanawiamy, a to z tą Eulalią? – przeczytała na wszelki wypadek zdanie z anonimu Luśce.

Ta roześmiała się złośliwie.

– Babka nienawidziła tego imienia, ktoś pewnie chciał jej zrobić na złość. To tak jak ja, Luśka jeszcze ujdzie, ale Luiza doprowadza mnie do szału.

Nie każdy lubi swoje imię, zresztą Eulalia to imię wręcz przedpotopowe i takie jakieś... nie do życia. Bo jak to zdrobnić? Eulalcia? Lalcia? Lalka? Żadne z tych zdrobnień do babki nie pasowało.

No ale choćby nawet nie pasowało, nie było miłe, to przypomnienie tego... Hmm, po co? Pośród wszystkich tych kartek ta była najłżejsza, a wyglądała na najcięższą. Po co zresztą coś takiego wypisywać po groźbach śmierci? A choćby i przed? To musiało mieć jakieś znaczenie. Istotne, ważne, a być może i decydujące, tyle że oni nie mieli pojęcia jakie, oni, bo choć Mateusz jeszcze nie zjawił się z prowiantem, a Edzio i cała reszta z kartkami się nie zapoznali, to Ada była przekonana, że nikt nic mądrego z tego nie wyciągnie.

– Jak sraczkę i wymioty razem wzięte? – zdziwił się Edzio. – Czyli nienawidzili go?

– Widzi pan, nienawidzili, ale my tu jesteśmy ludźmi bardzo kulturalnymi, poza tym posiadamy bufor bezpieczeństwa.

Edzio o buforach bezpieczeństwa nie słyszał zbyt wiele, ale bardzo go ten temat zainteresował, co kobieta natychmiast zauważyła.

– Bo widzą państwo, taki ktoś u nas się na kogoś wścieknie, to nie rzuca się od razu do noża czy siekiery, zresztą noże to my mamy tylko w socjalnym.

– To do czego się rzuca?

– Do niczego, my go natychmiast rzucamy na salę pocztową do okienka. Tam może, ile chce znęcać się nad listami, klientami, czymkolwiek, może walić stemplem jak sobie chce, może warczeć na petentów i jak sobie tak powarczy z godzinę czy kilka, a trzeba zwrócić uwagę, że petenci nie pozostają dłużni, to od

razu wychodzi taki uspokojony, że tylko by wszystkich całował. Na nogach się ślania tak, że nieraz do domu to taksówką jedzie, bo całą agresję wykorzystał na walkę o okienkowe przetrwanie.

– A... – Edzio zrozumiał dlaczego na pocście tak często swego czasu dochodziło do aktów agresji – a te... no bójki, sam pamiętam.

– To już przeszłość, założyliśmy ekrany z pleksi, stemple są przywiązane na łańcuchach, a długopisy nie są zaostrome. Teraz jest spokój.

– No tak, ale to w pracy? A poza pracą?

– No, nie przesadza pan? Ludzie mieliby się spotykać jeszcze poza pracą? Po tym wszystkim co tu przeżywają? Nie. To nierealne, ale chodzi panu o seks czy o zbrodnię?

– A to na seks się spotykają?

– Nie, ale z nim? Nie! Zwariował pan? Nie wyobrażam sobie seksu z kimś tak zafiksowanym, przecież on by chyba musiał przed aktem sprawdzić, czy partnerka ma parzystą, czy nieparzystą liczbę włosów łonowych. Chociaż jedna, ta „proszę mi wybaczyć, dopiero się uczę”, to podobno się z nim umawiała albo umówiła. Prywatnie, a nawet chyba intymnie.

– Dlaczego „proszę mi wybaczyć, dopiero się uczę”? – zapytała policjantka, nie rozumiejąc.

– Bo tak łatwiej, imion jest wiele i się mylą, a ona jest podpisana.

– Nic szczególnego jakoś pani nie uderzyło? – policjantka drażyla temat.

– Wie pani co? – Naczelnica skrzywiła się złośliwie. – On cały był uderzająco szczególny, cały, od stóp do głów i to przez cały czas, do tego wredny, złośliwy, skrzywiony, o szlag! – Nagle zamarła w pół zdania – Nie! On się ostatnio uśmiechał! O ja pierdolę! Tak! Na kilka dni przed śmiercią chodził uśmiechnięty! Nie przestał być upierdliwy, ale nie był skrzywiony. To musiało coś znaczyć!

I Edzio, i jego koleżanka Purchawa przyznali jej rację, bo jeżeli ktoś, kto nie uśmiecha się miesiącami, a nawet latami, nagle zaczyna się uśmiechać, to może to coś oznaczać.

– Sądzi pani, że zwariował? – zapytała policjantka.

– Nie, sędzę, że coś kombinował, coś co było dla kogoś wredne, coś co z jednej strony uważał za dobre, ale było niedobre... No taki przykład.

– Ale w jakich sytuacjach się uśmiechał?

– Powiem szczerze, że nie sprawdzałam, myśmy się od niego wszyscy izolowali, bo po każdym kontakcie to potrzebne były całe godziny pracy w okienku,

żeby się odstresować, ale coś grzebał w kalendarzu, w papierach, jakieś listy odbierał sobie, bo przychodziły do niego, chyba. Coś było z listami. Na sto procent.

To akurat wszyscy wiedzieli.

Nie mogło być inaczej. Listy pod łóżkiem, które zniknęły.

Zresztą poczta to właśnie listy. Przede wszystkim listy, choć ostatnio niektóre placówki pocztowe poszerzyły ofertę i zaczęły sprzedawać słodycze, mięso mielone oraz środki na przeczyszczanie.

– A on dawno taki był? – zaciekawiał się Edzio, bo taki osobnik w zespole, nawet niezbyt zgranym był czymś naprawdę wykańczającym.

– Od początku. Niestety.

– Jakież chody miał? – Edzio spróbował sprawdzić to, co zasugerowała jedna z jego rozmówczyń, ale nie liczył na szczerą odpowiedź. W końcu miało chodzić właśnie o naczelnicę, a ktoś taki się po prostu nie przyzna, zresztą „chody” to słowo wytrych, bo może chodzić praktycznie o wszystko. O miłość i nienawiść, tajemne zależności albo wredne haki, sympatie czy antypatie na zasadzie „wróg mojego wroga...”. Ponadto ludzie wszędzie dopatrują się takich właśnie „chodów”, a robią to czasami tylko dlatego, że nie mieści im się w głowie, że ktoś inny do czegoś doszedł własną pracą i zdolnościami.

Gdyby przyjęli coś takiego do wiadomości, musieliby zacząć się starać i przyznać, że oni są mniej uzdolnieni i mniej pracowici, ale to nie wchodzi w rachubę.

Tu jednak Edzio tak jakby trochę trafił.

– Nie, ale nie potrzebował, on miał haki na ludzi, jeżeli potrzebował, a poza tym wszyscy się go bali. Wszystko robił z tak upierdliwą dokładnością, jakby przez całe życie stosował strajk włoski, tyle że on był chyba taki z natury.

– A Marecki?

– Jezu, nawet mi nie mówcie o tej katastrofie, to zamieszanie z Mareckimi to była masakra!

– Z obojgiem?

– Najpierw z nią, potem z nim. Z nią to jeszcze, jeszcze, zwyzywała go, powiedziała, że go do sądu poda, to on, żeby sobie w dupę wsadziła swoje groźby, bo on jest w prawie i prawdę mówiąc, właściwie to był! Nic mu nie mogła zrobić. A Marecki obiecał, że go zajebie! I moim zdaniem miał za co.

– Bo?

– Bo zapłacił! Zapłacił temu prawnikowi, a ten debil odpisał za niego. Nie wiem, nie widziałam, ale tu to mogła być chryja, jak się patrzy.

– A on babkę Marecką znał?

– O tak, wiem, że się znali, bo nawet do niej chodził. Nie wiem z czym, ale raz usłyszałam, że się do niej wybiera. Przez telefon tak powiedział. Nie krył się z tym. „Pani Eulalio, będę dziś u pani”. Tak powiedział.

Jeżeli ktoś do babki mówił „pani Eulalio”, to znaczyło, że był z nią jakoś zżyty, a nawet chyba była to oznaka szacunku. Jeżeli ją zawiadamiał, że się do niej wybiera, to chyba się go nie bała, bo mogłaby nie otworzyć albo wyjść z domu, więc pewnie raczej na niego czekała.

– Oboje byli wredni, więc to może nie być dziwne, pewnie coś razem kombinowali, ale co? – westchnął Edzio.

– Coś co miało sens i dla niej, i dla niego.

– Tak, jasne – warknęła policjantka – też mi wyjaśnienie. To oczywiste, że tak, ale co to mogło być?

* * *

– Czyli ja uważam tak – Purchawa poprawiła owocnik na głowie i zapaliła papierosa – to Marecki.

– Co Marecki? – Edzio nie wiedział, jak to zrozumieć.

– Marecki zabił Mareckiego i Marecką.

Takie postawienie sprawy było zdecydowanie nieprofesjonalne, coś w rodzaju gonił stryj stryjnę i wujem poganiał.

Jednak kobieta była pewna swego.

– Wacek Marecki zabił swoją matkę. Ten pocztowy świr to widział, więc on zabił też pocztowego świra. Bla, bla, bla, każdy sąd nam to uzna.

– Ale dlaczego?! – jęknął Edzio.

– A cholera go wie. Odbiło mu? Musiał zdobyć pieniądze dla Mariolki? Może dla prawnika na rozwód? Może miał już dosyć? Może chciał wrobić Luśkę, tę żonę, tylko mu nie wyszło? Motywów mamy do wyboru, do koloru.

– Ja tu u ciebie widzę tylko jeden, pieniądze, a jak już rozmawialiśmy, nie miał noża na gardle.

– Mógł mieć, ale nikt o tym nie wiedział. Jakaś chwilówka, która przemieniła się w miliony? Dobra, ty wracaj do swoich dziwadłał, ja pójdę doczytać akta, a jak go już aresztujemy to dam ci znać.

– Nie musisz – burknął wściekle. Był przekonany, że to jednak nie to. – No a ten list do Ady? – zapytał, chcąc jednak odwieść ją od pochopnych wniosków.

– Chciał was wrobić?

– A te ukradzione listy spod łóżka?

– To akurat proste, wskazywałyby na niego.

Edzio nie był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Z jednej strony wszystko jakoś trzymało się kupy z naciskiem na „jakoś”, z drugiej coś mu nie pasowało.

– Słuchaj, coś mi przyszło do głowy – powiedział po chwili zamyślony. – Wyście się do domu Mareckiej włamali, tak?

– Tak, to znaczy ja nie, ale chłopaki, to fakt.

– Dlaczego?

– Bo było zamknięte, co ty zdurniałeś na tej emeryturze? Nie wiesz już, jak to działa? Zapomniałeś, czy coś ci na mózg siada?

– Nie, nic mi się siada, pytam, bo skoro było zamknięte, to skąd było wiadomo, że ona nie żyje?

Teraz Purchawa zamarła w pół gestu z papierosem w pół drogi do ust i z wytrzeszczem oczu spod owocnika spadającego jej grzywą na czoło.

– No ktoś nas musiał zawiadomić? Syn?

– No nie, bo jakby to był on, to przecież miał do matki klucz, nie musielibyście drzwi wyważać.

– Oj tam, oj tam, ale mogło być tak, że nie miał przy sobie, a nasi woleli nie ryzykować, że pojedzie i przywiezie, bo mogła jeszcze żyć? – zapytała chyba trochę sama siebie, ale Edzio natychmiast jej to wyperswadował.

– Nie, bo skąd on sam by wiedział, że ona nie żyje? Musiałby wejść, zobaczyć i wyjść, a wtedy nawet gdyby drzwi się zatrzasnęły, musiałby mieć przy sobie klucz, tak więc to nie to.

– Rzeczywiście – sapnęła.

– No i chyba nie zgłaszałby sam, bo bałby się podejrzeń.

– A bo to jeden morderca tak cwaniaczył?

I to była prawda, bo oboje znali takich ludzi, którzy zaraz po morderstwie przez nich samych dokonany dzwonił na policję, chcąc odsunąć od siebie podejrzenia.

– Wiesz co? To dziwne – jęknęła policjantka – to da się sprawdzić, ale dziwne, że jakoś nie braliśmy tego dotąd pod uwagę.

– No i skąd wiedział ten, kto dzwonił?

– Musiał tam być.

– Zobaczyć się nie dało? Przez okno?

– Nie, nie było widać, może ktoś coś zobaczył, ale mógł pomyśleć, że zasłała? Że zemdląca? Zasnęła? Na pewno nie, że nie żyje. Trzeba przesłuchać to nagranie. Czy ten ktoś powiedział, że nie żyje?

Edzio jeszcze tego nagrania nie słyszał, bo ich działalność, a właściwie jej początek datował się z czasu już po zakończeniu śledztwa.

– Chyba że to było samobójstwo – powiedziała po chwili Purchawa, chcąc ratować resztki swojego profesjonalizmu i powagi.

– Z sałatką na głowie? Ty Purchawa jesteś kobietą, zrobiłabyś coś takiego?

– Znaczy?

– No wsadziłabyś łeb w sałatkę dla poratowania stanu włosów i popełniła samobójstwo? Tak o.

Purchawa poprawiła srebrnowłosa owocnik.

– Nie, no co ty. Ja w ogóle, ale gdyby to chyba najpierw bym sobie zrobiła fryz, potem zapaliła świece... Choć nie, świece to nie, bo dom mógłby się spalić, a przecież bym nie chciała być upieczona. Żle bym wyglądała.

– I właśnie o to chodzi! Kto popełnia... To znaczy jaka kobieta popełnia samobójstwo z sałatką na głowie?! To nie pasuje! – Edzio triumfował.

– A ta Kościuchowa? Czy to nie ona?

– W sensie?

– Czy to nie ona zawiadomiła o tej śmierci?

* * *

Powrót Edzia zaowocował przepychankami przy grillu oraz przy stole z papierami.

Edzio czekał na telefon od Purchawy, ale nie spodziewał się go tego wieczora, raczej liczył na jutrzejszy poranek, co nie przeszkadzało mu zapoznać wszystkich ze swoimi dokonaniem.

Na tablicy korkowej przypięto wszystkie zdjęcia ze sprawy i do każdego dopasowywano całą sytuację.

Prym wiodła Kościuchowa, choć nie mogła mieć motywu, a właściwie motyw oscyłował wokół zazdrości o sanatoryjne tańce z przygodnymi podrywaczami, do czego ponoć dochodziło, jak dowiedział się Mundek.

Kościuchowa prym wiodła na parkietach, ale Marecka poderwała jej jakiegoś obiecującego pensjonariusza. Podobno doszło do pyskówki, uciętych przez żonę

zainteresowanego, która przyjechała go odwiedzić i odebrała obu paniom nadzieję.

Kaśka i Maryśka, sprzątające u Mareckiej, też mogły ją zabić, choć nie było pewne dlaczego, ale miały szansę na przykład dorobić klucze. Niestety takie morderstwo ani jednej, ani drugiej nic nie dawało, a nawet traciły pracę, więc trochę im się to nie opłacało, ale nie wszystko zawsze jest takie proste.

Mąkosiak i Próchno mieli motyw, ale tylko wtedy, gdyby byli jej synami (każdy z osobna) i na dodatek gdyby istniał testament. Nie wyglądali na synów, testamentu nie znaleziono. Poza tym sprawa z synami wyszła już po śmierci Mareckiej, choć plotki potrafią chodzić opłotkami, więc może wyszła wcześniej, ale nikt o tym oficjalnie nie wspominał.

Był jeszcze Elvis, miał jakąś możliwość, babkę znał, kontaktował się z nią, był z nią nawet widywany, ale motywu jak na razie brakowało. Brali go pod uwagę. Choć tak średnio, ale brali. Co do tego drugiego, to nie wiadomo, dlaczego miałby go zabijać, nie miał z nim kontaktów ani zatargów, a przynajmniej nikt o takich nie wiedział, zresztą od razu rzucał się w oczy podobny adres, więc kto wie, czy to właśnie nie Elvis miał być drugą ofiarą, a nie został nią z powodu pomyłki.

Telefon Melki zadzwonił.

– Mirek Próchno – powiedziała Melka, zanim odebrała.

– Czego ten jeszcze chce? – zaniepokoił się Mateusz, bo Melka przyciągała dziwnych facetów i nie to, że był zazdrosny, choć trochę był, to jednak ciekaw był, po co ten dzwoni akurat do Melki, a nie na przykład do niego, jeżeli jest to sprawa związana z Marecką, a jeżeli nie jest, to po co w ogóle zawraca jej dupę?

– Mówi, że jest pod bramą i coś słyszał.

– Ta, chyba to, że szykujemy grilla.

Próchno należał do tych uzdolnionych tematycznie meneli, którzy wyrastali jak spod ziemi, kiedy tylko ktoś nieopatrznie zbyt głośno szykował imprezę, no chyba że był już ululany, a i wtedy czołgał się w kierunku, z którego usłyszał zew natury. Był wytrawnym wyrwikuflem i sępem, który potrafił się wkręcić, umiejętnie stosując metody ogólnie uważane za wredne.

Potrafił stać pod płotem i patrzeć rozmarzonym wzrokiem w kielbasę na patyku albo oblizywać się sugestywnie na widok płynnych dóbr typu piwo.

Każdy niby wiedział, że Mirek w domu ma wszystko, czego chce (choć może nie zwęglone kielbaski czy ciepłe piwo), ale i tak każdy był pod urokiem jego błagalnych spojrzeń. Był mistrzem spojrzeń proszalnych.

Tym razem nie przyszedł z pustymi rękoma, choć to, co przyniósł, było niematerialne. Był wymemłany i wymęczony. Obok niego stał, robiąc za podporę, Cezary Marecki. Jego dredy były tak uświnione, że Ada chciała mu natychmiast zaproponować przepierkę.

– Słyszałem coś – oświadczył niemal radośnie – i widziałem. Normalnie, że szlag, naprawdę. Szlag jak szlag! – oświadczył, nie mogąc ubrać w słowa swoich wyrznięć. Był na tyle pijany, że nie bardzo wiedział, jak sformułować to, co miał do powiedzenia.

– Znowu?

– Nie, nie znowu, to znaczy i owszem, znowu, ale to nie teraz.

– Co on bredzi?

Cezary jako doświadczony tłumacz wyjaśnił, że nie bredzi.

– Mówi, że coś widział.

– Kiedy?

– No chyba nie teraz?

– Mówi, że wtedy – objaśnił Cezary.

– Jezu, kiedy wtedy?

– No jak kurwa jakaś, to znaczy nie kurwa, tylko chuj, ale nie, to znaczy, z całą stanowczością za przeproszeniem. Taki jeden, to znaczy, ty mi się tu nie płącz z tym wzrokiem.

– On twierdzi, że widział mordercę – przetłumaczył Cezary. Musiał mieć albo spore doświadczenie z Mirkową pijacką mową, albo w ogóle być uzdolniony w tym kierunku, mogło być też tak, że ten ostatni po prostu coś mu powiedział wcześniej, a teraz Cezary się zwyczajnie popisuje.

– Ale kto to był?

– Nie powiem wam, dla policji to trzymam, ale jakby jakieś piwerko?

– A ty nie wiesz?

– A skąd. Coś bredził, że widział faceta, który wychodził od babki.

* * *

Edzio zadzwonił do Purchawy po wieści.

– No i kto zgłosił tę Marecką? – zapytał, ale usłyszał w odpowiedzi tylko westchnienie.

– Jest nagranie, ale nie wiem, kto to jest, nie podał nazwiska, nie wiadomo, czy kobieta, czy mężczyzna, jakimś takim dziwnym głosem mówił, chyba użył chus-

teczki albo jakiegoś zmieniacza.

– Szlag by to trafił.

– Nie przejmuj się, kimkolwiek był, to nie mógł być morderca.

– Dlaczego? – Edzia zdziwiła jej pewność co do tego stwierdzenia.

– Bo taki ktoś, kto pozoruje samobójstwo, wcale nie chce, żeby ktoś zbyt szybko odkrył zwłoki. Po co by mu to było?

– No tak, ale aż tak bardzo nie pozorował.

– Pozorował. Myśmy to uznali za samobójstwo! – Purchawa aż sapnęła ze złości, wiadomo, to ona była policjantką i ona miała wszelkie prawa.

* * *

– Kiedy on wychodził od tej babki? Kiedy dokładnie? – zapytała Ada – Kiedy, do cholery?!

Była to kwestia istotna. Bo przecież Mirek Próchno w tym stanie mógł mylić wszystko, w tamtym stanie też, to znaczy w tym, w jakim się znajdował wtedy, kiedy coś widział. Bo nikt przecież nie mógł powiedzieć, co robił i ile wypił tamtego dnia.

Przecież mógł mieć zwiady albo jakąś delirkę.

– No jak ją walnęło – stwierdził, padając na krzesło i wyciągając drżące ręce po płyny.

– Ale co ją walnęło? – zdziwiła się Melka, bo tak się przecież złożyło, że ofiara nie miała śladów napaści, uderzenia, niczego, co można by określić tym mianem.

– No, to samobójstwo – wyjaśnił Cezary.

– A ty skąd wiesz? I jak samobójstwo może kogoś walnąć?!

– Wiem, bo mówi przecież, a walnąć może, bo listu nie było. Mogła tak nagle dostać ochoty jakiejś i zrobić to tak, „a dobra, chuj, już mi się nie chce żyć, zeżre tego muchomora, może mi przejdzie”.

– Przecież nie żarła muchomora. W ogóle, co wy wszyscy z tymi grzybami?!

– Nie, no nic, to Mąkosiak coś gadał o lutowych grzybach, ale to bez sensu. W lutym nie ma. Żadnych i po co mu luty? Po co ktoś interesuje się grzybami z lutego, skoro ich nie ma?

– Może właśnie dlatego? – mruknęła Ada.

* * *

– Jedynej osobie, której mogło zależeć na bezzwłocznym (nomen omen) znalezieniu zwłok i to jak najszybszym, był jej syn! – oświadczyła Purchawa.

– Który?

– Nie pierdol, ma jednego, reszta to ploty albo pobożne życzenia, zresztą ta Luśka, żona, te ploty rozprowadza, więc coś jest na rzeczy. Coś to znaczy nie żaden syn, ale przekręt. Chce odwrócić uwagę, może od siebie, może od męża? Bo tylko on mógł chcieć szybkiego odnalezienia zwłok, po pierwsze nie chciał zapaskudzenia mieszkania. Takie trupie odory potrafią się utrzymywać miesiącami. Po drugie on na pewno potrzebował pieniędzy, skoro tak już do prawnika pisał o zbadanie sprawy rozwodowej, to na sto procent potrzebował jakiejś kasy.

Był w tym jakiś sens. W tej chwili tylko Waław Marecki miał motyw, miał też klucze więc możliwość, miał swobodny dostęp do domu matki w każdej chwili, wszystko miał.

Podobno nie miał ochoty jej zabijać, ale to już sprawa dla sądu, bo każdy może powiedzieć, co chce. Ochota to rzecz bardzo niematerialna, więc udowodnienie jej braku jest bardzo trudne. Wręcz czasami niemożliwe. Zresztą chciał, nie chciał, kogo to obchodzi, skoro wygląda na to, że zabił? No i on rzeczywiście był jedyną osobą, która wolałaby, żeby zwłoki odnaleziono szybko.

Inny morderca zrobiłby wszystko, żeby to trochę potrwało. Dawało mu to może nie alibi, ale na pewno jakieś możliwości spreparowania go.

Bo to jest tak, że im więcej czasu mija od zdarzenia, tym trudniej sobie cokolwiek przypomnieć. I taki świadek trzy dni po sprawie może kogoś pamiętać. Trzysta dni po sprawie też może pamiętać, ale już nie wie ani o której, ani którego dokładnie dnia. A jeżeli nawet to głowy sobie za te wspomnienia uciąć nie da. Tak więc czas działa na korzyść mordercy.

Działałby też na korzyść mordercy, nawet gdyby nim był jej własny syn, ale już nie tak bardzo.

Bo przecież tak czy tak to on musiałby w końcu znaleźć zwłoki matki sam i to osobiście. To on przecież najczęściej do matki chodził, a jak by to wyglądało? Sam zabił, sam znalazł? Od razu byłby podejrzany.

Purchawa mogła mieć rację.

Luśka do teściowej prawie nie chodziła, kluczy nie miał nikt spoza rodziny, sąsiedzi mogli coś gadać, że nie widzieli jej, że w sklepie jej nie było, że do kościoła nie przyszła, ale i tak to jej syn musiałby iść i sprawdzić, co się dzieje z matką, a więc ją znaleźć. I zawsze to byłby on, czy prędzej, czy później, ale on. Mógłby przyjść z kimś, ale to by było dziwne, nigdy tak nie robił, więc jeżeli to on ją zabił, było dla niego kluczowe, żeby została znaleziona jak najwcześniej i to właśnie

przez policję. Najchętniej bez jego udziału. Żeby policja wyważyła drzwi, musiały być szanse, że ofiara jeszcze żyje, inaczej po prostu mogliby posłać po niego, żeby wziął klucze i otworzył. No i byłyby kłopoty.

No i pojawiłyby się pytania. Jak to, u matki nie był przez tyle czasu, że się aż zaśmierdziła? A dlaczego? A jakim cudem...

– Tak, ty naprawdę możesz mieć rację – stwierdził Edzio, a Purchawa urosła w siłę. Ludziom, ani nawet Edziowi, nie zaczęło się żyć dostatniej (jak mawiał Gierek), ale dobry humor Purchawy zawsze był lepszy niż jego brak albo stan przeciwny, czyli humor zły, bo wtedy nie dało się niczego załatwić, a teraz w tej nowej sytuacji Edzio musiał działać właśnie na takich zasadach – nie mógł żądać, mógł tylko prosić i liczyć, że uda mu się coś załatwić.

Dobry humor Purchawy dawał więc nadzieję na przyszłość, choć sama policjantka inaczej tę przyszłość sobie wyobrażała niż Edzio. Widziała się już w jego łóżku. On unikał takich makabrycznych wizji.

Mężczyźni, którzy przyzwyczaili się do swojego wieku i stanu cywilnego, o kobietach marzą, czasami nawet pragną stałych związków uświęconych węzłami małżeńskimi, ale się ich boją.

Stosują zasadę, że skoro nie jest źle, to lepiej nie naprawiać, bo może być tylko gorzej.

Seks, owszem, może by i go skusił, ale nie z nią. Bo ona była inwazyjna. To nie byłby seks i już, to byłaby deklaracja przynależności, pozwolenie na kontrolę i prosta droga do ołtarza.

Edzio wiedział, że zaraz po tym akcie by zwariował, więc dla niego była to też prosta droga do kaftana bezpieczeństwa. Wolał nie ryzykować.

No i była też kwestia pewnej małżeńskiej przynależności, która bardzo ogranicza mecze i piwo z kolegami. Zresztą wszystko ogranicza. Nawet nie dlatego, że ktoś czegoś zabrania, ale że wypada choć zapytać...

* * *

– Purchawa chce go aresztować! – powiedział, wchodząc do ogrodu Geriatrycznego Biura Śledczego. Początkowo chcieli, żeby to było Geriatryczne Biuro Detektywistyczne. Jednak musieliby wtedy używać skrótu GBD, a to kojarzyło się im z chorobami albo jakimś narkotykiem. To ich biuro miało siedzibę, oczywiście bufet, Ada bez bufetu nie umiała funkcjonować, salę komputerową, którą mieli zamiar jakoś nazwać, ale na razie nie wiedzieli jak, może na przykład salą tortur, oraz ogród do przesłuchań.

Żadna policja na świecie jeszcze na to nie wpadła, że ogrody, ogniska i grille pod posterunkami mogłyby naprawdę o wiele więcej zdziałać niż paskudne biura i odrapane ściany korytarzy.

Że o wiele chętniej i ciekawiej opowiada się i odpowiada na pytania, kiedy jest się zacadzonym ogniskowym dymem, wypchanym kielbaskami i podlanym piwem.

To robi atmosferę, daje luz i rozwiązuje języki, nawet, a może szczególnie, te poplątane.

Rozwija ploty, rodzi je owszem też, ale i je rozprzestrzenia, dorabia szczegółami i roznosi.

Teraz wszędzie kłębił się dym ze spalonych kielbasek. Na krześle prawie leżał Mirek Próchno przyssany do szklanki z piwem, wszyscy inni się kotłowali, bo nikt nie był pewien, kto i co ma robić.

Jeszcze nie dorośli w swoim biurze do czegoś tak nudnego jak podział zadań.

Mąkosiak też był, ale przysypiał na ławce, bo choć wiedziony czułym piwnym nosem zjawiał się przed chwilą i zassał, to jednak zmęczenie sprawiło, że zasnął.

Był to sen czynny. Jeden z wynalazków Mąkosiaka. Jak tylko wyczuwał, że ktoś komuś coś nalewa, budził się i wyciągał ręce zaopatrzone w szklankę po dolewkę tego czegoś, najczęściej piwa (choć raz, słysząc gulgot, wyciągnął szklankę po dolewkę flambitu, podpałki do grilla w płynie) na szczęście bezskutecznie, bo i to by wypił.

Nikt mu ani puszki piwa, ani butelki nie chciał dać, bo wydudliłby na kopa i żądał kolejnej. Dlatego hołubił swój plastikowy kubek i się z nim nie rozstawał.

Cezary Marecki gasił dredy, które niechcący mu wpadły do ogniska, ale po chwili wróciły na swoje miejsce ze smrodem palonego plastiku unoszącym się dookoła jego głowy.

Ponieważ dredy kojarzą się zawsze z dymem, a marihuany w tym momencie Cezary nie miał, to smród plastiku też był w porządku. Przynajmniej dla niego samego. Cezary lubił sprawy jasne i proste. Odkąd został obwołany narkomanem, naprawdę się starał, żeby na to miano zasługiwać w całej rozciągłości.

Czasami nawet wachał klej. Raz, chcąc być na czasie, nasączył swoje dredy butaprenem, wtedy to jeszcze były jego prawdziwe włosy i było dziwnie, bo widział całkiem dziwne rzeczy, na przykład słonie. Ale w formie zmumifikowanej, latały dobrych kilka godzin i usiłowały wydłubać mu oczy, a potem przykleiły się do atomatu na napoje (i słonie, i włosy) i trzeba było go ogolić na zero.

Od tej pory nosił dredy zastępcze.

To było korzystne, bo nawet jak zajęły się ogniem, nie powodowały żadnych strat poza poparzeniami i koniecznością zakupu kolejnych. Tak jak to miało miejsce już kilka razy.

Nikt nie zwrócił uwagi na oświadczenie Edzia, a więc je powtórzył. Nie chciał stracić swojego „smoczego” wejścia.

– Purchawa chce go aresztować! – zawołał. Tym razem wszyscy go usłyszeli, ale nikt nie zrozumiał.

Było to dziwne stwierdzenie. Oczywiście obliczone na zaskoczenie, a może nawet i szok, bo Edzio lubił zaskakiwać.

Po tym co powiedział, było tylko wiadomo, że policjantka, której nie darzono specjalną miłością, chce kogoś aresztować. Co nie dziwiło, była wariatką, zawsze lubiła aresztować różnych ludzi, nawet niewinnych, choćby tylko po to, żeby pokazać jaka jest ważna.

– Ale kogo?

– No mordercę – wyjaśnił Edzio.

Przez chwilę milczeli, po czym Mundek się roześmiał.

– Jasne, że chce, nikt jej nie broni chcieć, zresztą daj spokój, każdy by chciał, ale to nie ta liga. Purchawa nie nadaje się do kryminalnej, ona powinna w oby-czajówce być, tam by sobie aresztowała kogo chce, nawet kilka razy dziennie.

Hubert też zachichotał złośliwie, wręcz złowrogo.

– Ona? Aresztować? Mordercę? Przecież Purchawa najchętniej by aresztowała ciebie i to zakuła w kajdany małżeńskie! Ona nie myśli głową!

To określenie, które zazwyczaj stosuje się do mężczyzn, często też nadaje się do kobiet.

– No i skąd ona niby wie, kim jest morderca, skoro my nie wiemy? – tym razem wściekł się Mundek.

Było w jego wypowiedzi sporo urażonej męskiej dumy, bo Purchawa była kobietą i nie powinna być lepsza od mężczyzn, ale też sporo realizmu, nikt jeszcze niczego nie wiedział, a Purchawa do najinteligentniejszych nie należała, owszem była się nieźle, ale tylko tyle.

I to też było problematyczne, bo jako kobieta nie powinna umieć się bić, nie powinna lubić się bić, a już najbardziej nie powinna bójek wygrywać. Mundek był w mizoginem. Trochę to raziło, ale nikt już nie starał się go zmieniać.

– A to chodzi o którego mordercę? – zapytała Melka, uwieszona na Mateuszu.

Głupie pytanie wygenerowało natychmiast głupią odpowiedź.

– No chyba tego co morduje – prychnął Mirek Próchno pewny swej poalkoholowej inteligencji, która u niego zanikała na trzeźwo i okazywało się, że nigdy jej nie było, a pomysły Mirka były nie tylko durne, ale i czasami niebezpieczne.

Zresztą to może być dziwne, ale zawsze tak jest – wraz ze spożyciem alkoholu wzrasta poczucie własnej wartości, człowiekowi rośnie inteligencja, poczucie humoru i czasami przeświadczenie, że ma rację i o ile poczucie własnej wartości w nadmiarze może tylko wkurzyć, poczucie przesadnej inteligencji nudzi, bo nikt bełkotu nie chce słuchać, to poczucie humoru i przeświadczenie, że ma się rację, potrafi zabijać.

Taki jeden z drugim wpada na to, że skok z dachu katedry jest bardzo śmiesznym pomysłem, a wszystkim, który uważają, że nie, udowadnia, że nie mają racji.

Pogrzeby to w takich sytuacjach często zakończenia z morałem.

– Tak, ale tego od Mareckiej czy tego od Mareckiego? A może od obu? – dopytywał Mateusz, bo jego też to zaciekawiło. W końcu były dwie ofiary.

– Nie wiem. Powiedziała, że aresztuje. No w sumie nie do końca wyjaśniła to coś, ale może nie chciała?

– Ale kogo! Kogo aresztuje? Nie świruj, przecież ci powiedziała – Ada wzięła krzesło i usiadła na nim okrakiem, żeby pokazać, jaka jest twarda i jak potrafi po kowbojsku siadać z oparciem z przodu, tyle że kowboje, choć silni, mieli do dyspozycji chyba mocniejsze krzesła, no i jednak żaden nie ważył powyżej stu trzydziestu kilo, bo konie by im padły. Krzesło jęknęło.

Po chwili tego jęczenia zwyczajnie się rozleciało.

– O szlag! Podnieście mnieeee! – zawyła Ada, obawiając się, że jedna z części krzesła wbije jej się w tę część ciała, którą miała nadzwyczaj wyeksponowaną. Nie, nie w tyłek, w biust, co robiłoby z niej klasycznego cycatego wampira z kolkiem w piersiach i krwawym, pienistym bulgotem na ustach.

Buty zaczęły jej się tlić bardzo szybko, spódnica tym bardziej, choć ona z wizgiem zwinęła się, zwęgliła i zniknęła, rozpadając się na kilka plastikowych rolek wyglądających jak psie kupy. Plastik tak ma.

Ada bez spódnicy nie wyglądała dobrze.

Niestety, chcąc sobie natrzaskać punktów za pomocność, do podnoszenia rzucili się Mąkosiak i Próchno. Oraz Cezary. Wszyscy ci, których wolałaby z bliska nie oglądać, ale też żeby i oni jej nie oglądali. I nigdy, i w tej chwili.

Cezary to tylko ze względów towarzyskich, okropnie jest wiedzieć, że syn baby z mięsnego widział twoje gacie. Obawiała się, że to ją będzie skłaniać do weganizmu, a ona wcale tego nie chciała.

Mąkosiak i Próchno cuchnęli, a przy podnoszeniu z pozycji leżącej trzeba się nad człowiekiem pochylić i zbliżyć swój oddech do narządu węchu podnoszonego.

Cierpienie potworne.

Zresztą cierpienie to nie tylko sam cuch, ale i odruchy.

Wymiotne.

Jednak Próchno i Mąkosiak tak bardzo chcieli być pomocni, że nie można ich było wyprzedzić. Próchno szerokim łukiem najpierw wstał z krzesła, gibnął się sztywno w prawo, po czym niejako dla równowagi gibnął się trochę mniej sztywno w lewo i wylądował w ognisku.

Mąkosiak, drżący z niedopicia, nie wiedział, kogo ratować. Kombinował, że jednak Adę, bo zastawienie kolegi w formie wrzeszczącego skwarka zyska mu szacunek, że się dla kobiety poświęcił, i że kolegę poświęcił, więc należy mu się piwo.

Niestety ta impreza była imprezą jednostkową, czyli mogła się nigdy już nie powtórzyć, szacunek Ady mógł nie zaowocować, a Próchno swoje popijawy urządzał często, więc jeżeli Mąkosiak go zdradzi i zostawi na skwarka, a pomoże Adzie, to potem Próchno nie będzie dla niego łaskawy i nie tylko nie poleje, nie zaprosi, ale może nawet odgonić.

Rozpacz rozdarła mu serce.

Ada powierciła się nieco, wyjęła z biustonosza nogę od krzesła, wydłubała spod siebie resztki siedzenia i jęknęła.

– Dawaj tu, debilu! – wrzasnęła.

Co ciekawe, mówi się, że jak ktoś krzyknie na ulicy „hej, człowieku”, to nie odwróci się żadna kobieta, i dokładnie tak samo jest z debilem.

Na hasło „dawaj tu, debilu” do pomocy rzucił jej się Cezary ze znów buszującym płomieniem we włosach.

Nie dogasił jednak dredów, które teraz bardzo malowniczo płonęły z tyłu głowy, o czym jeszcze nie wiedział.

Ada zakryła majtki rękoma, a ponieważ ważyła swoje, podniesienie jej z pozycji półleżącej bez jej pomocy w postaci wsparcia się na rękach było karkołomnym przedsięwzięciem.

Cezary się zaparł, napiął. Wysilił i...

– O Jezus Maria, zesrałem się! – zawołał, rzucając się do ucieczki.

To przerażające doświadczenie tak się napiąć i przy ludziach zrobić właśnie to. Ucieczka była konieczna nie tylko ze względów higienicznych, ale i humani-

tarnych, smród się rozprzestrzenił, a on nie chciał zaczadzić ludzi.

Melka podniosła Adę w sposób bardzo przebiegły.

– Ciotka, wstawaj. Wilka złapiesz, a wilk to masakra.

Ada wstała. Sama.

Wszystko to trwało tak krótko, że Edzio nawet nie zdążył się zdziwić.

– No, kogo? Gadaj! – Ada warknęła do Edzia – Albo nie, nie gadaj, idę po spódnice. – Przypomniała sobie plastikowe resztki wokół talii.

Pobiegła do domu. Ktoś by powiedział może, że na skrzydłach czegoś tam, nadziei czy coś, a ona po prostu pobiegła tam z tętentem hipopotama.

Po drodze minęła Cezarego, który jakoś się oporządził (pobieżnie) w krzakach i wracał w nadziei na ciekawy ciąg dalszy.

Kiedy wróciła, wszyscy wyciągali skwarka z ogniska.

Nie spalił się bardzo, ale ciuchy trzeba było gasić, niestety ugaszono je jedynym dostępnym (w tym momencie) płynem, czyli piwem, czego skwarek straszliwie żałował.

Zmarnowano tyle dobra, że miał gdzieś piekące plecy i poparzony tyłek, cierpiał z powodu strat.

– Wykręcę i będzie na kaca – stwierdził nawet bez obrzydzenia.

– No gadaj! – Ada wychynęła wreszcie, opakowana jak baleron w stare legginsy, bo nic innego nie umiała znaleźć. To zawsze tak działa. Kiedy coś jest potrzebne, natychmiast ginie.

Edzio spojrział na spodnie, zdziwił się, że w nie weszła, zadumał nad losem wszechświata, jeżeli pękną i dopowiedział:

– Mareckiego. Ona uważa, że tylko on mógł ją zamordować.

– Ojciec? – zdziwił się Cezary szczerze i nawet z odrobiną dumy. – No, nie powiem. Byłbym zdziwiony. On jest taki dodupny, miętki i zawieszony na tej swojej, że normalnie nie jak chłop, jak plastelina, jak ciasto jakies jest. Aż czasami wstyd patrzeć.

– Znaczy że nie?

– Jasne, że nie. Ojciec to cielu! Nie zrobiłby czegoś takiego, on się nie nadaje do takich rzeczy, on może jęczeć, płakać, kombinować, ale zabijać? Matkę to już dawno powinien, gdyby miał jaja, a on co? Nic!

– Ale własną?

– Znaczy swoją. Czy twoją?

– Swojej to on się bał, nie dałby rady, on się pietrał, jak tylko na niego spojrziała, a tego faceta tak po męsku, na miazgę miałby zatłuc? On? Niemożliwe, na prawdę, szczerze wątpię, ale jakby co, to wielki szacun, ojca o takie jaja nie podejrzewałem. Bo to jakby wynikało, że jest jeden morderca? Że ten on, jakby oboje załatwił, tak?

Wszyscy milcząco przytaknęli. Owszem istniała możliwość, że morderców było dwóch, a może nawet szesnastu i dwunastu mordowało Marecką, a czterech Mareckiego albo jakoś tak, ale takie pomysły się nie sprawdzają, na ogół brakuje chętnych do mordowania. Zazwyczaj jednak jest jeden, i to wcale nie planuje dwóch zabójstw, albo tylko z rzadka. Najczęściej drugie jakoś wynika z pierwszego, albo, choć rzadziej pierwsze z drugiego, choć wtedy to tamto jest pierwsze, więc jedna... Bo nie tyle chodzi o kolejność, ile o wagę. Bo kto był podstawowym celem – Marecka czy Marecki? Czy ją zabito i gdyby on nie szantażował, toby się skończyło, czy może inaczej, zabito Marecką, żeby jakoś wytworzyć zasłonę dymną dla zabójstwa Mareckiego, co, gdyby taki był cel, nawet się sprawdziło, bo nim jakoś nikt się nie interesował.

– No tak, jeden i ten sam – westchnął Mateusz.

– I na dodatek to mój ojciec? Dwa morderstwa? Nie no, nie umiem sobie nawet tego wyobrazić – powiedział głosem, w którym mieszało się przerażenie z dumą i zdziwienie z niedowierzaniem. I wcale to nie było to, że ojciec jest dobrym człowiekiem, który nikogo by nie skrzywdził, o nie, on nie mógł być mordercą nie dlatego, że był dobry, ale dlatego, że był tchórzem i cielęciem. I bezjajecznym złamasem.

– I nie próbuj nawet, idioto – warknęła z za płota przechodząca tamtędy Mariola, która szykowała się na macochę tego dredowatego dziwadła. – To nie Wacek! On nikogo by nie zabił, on jest cielę, nie chłop, to znaczy chłop, ale cielę. No i teraz jego własna rodzina? Tak, że morderca? Bezsens. No i matkę? Toż on się nawet bał do niej na niedzielne obiady przychodzić...

Marecki rzeczywiście jakoś marnie im pasował, ale przecież nie o nich chodziło, to nie oni mieli ochotę go aresztować, ale Purchawa.

A Purchawa psychologią się nie interesowała. Dla niej morderca to morderca, to znaczy, jeżeli ona zdecydowała, że ktoś jest mordercą, to tak miało być i już.

– To nie może być on! – stwierdziła Ada – nie uwierzę. Bo jeżeli tak, to on by pisał do matki te rzeczy? – Pokazała Edziowi kartki z tupotem i tętentem przyniesione z bufetu – Pani Eulalio? No bez jaj!

– To nie jest pismo taty – stwierdził Cezary z za jej ramienia.

– No tak, ale pismo da się zmienić, podrobić, można pisać lewą ręką czy coś – zauważył Edzio. – Muszę coś sprawdzić, wiecie, że coś jeszcze chodzi mi po głowie? Coś sobie przypomniałem. Jakim cudem na tej kartce, którą dał ci barman, był ten paproch?

– Przykleił się? – Melka potrafiła sobie coś takiego wyobrazić.

Sprawa paprocha jednak nie wzbudziła żywszego bicia serc. U nikogo. Paproch to jednak paproch, coś drobnego i niemającego większego znaczenia.

Wszyscy trawili, a nawet przeżywali w głębi swoich serc i umysłów Mareckiego jako mordercę i jakoś nie umieli go sobie wyobrazić w tej roli.

Jego syn też nie umiał.

Co chwila coś dorzucał. Dodawał. Dopasowywał, pewnie w głowie nie potrafił się pogodzić z faktami.

– Ojciec to nawet nie jest damski bokser – stwierdził z taką miną, jakby z tego powodu było mu go żal.

– A poza tym wiecie jak on się bał babki? – dodał po chwili Cezary – raz na jej imieniny nie było można zdobyć róż, bo ona w lutym obchodzi, to kupił jej jakieś gerbery czy coś, to tak go nimi skatowała, że potem trzy dni chodził posiniaczony, a to nie był nawet kij, ledwie bukiet, ale on się kulił, a ona waliła. Inny to by chociaż uciekł, a ten dupek tylko jęczał i „mamo, nie bij”, „mamo, nie bij, to nie moja wina...”. I ktoś taki miałby zabijać? I to własną matkę? A potem katować jakiegoś faceta? Bejsbolem?

– Za takie coś to i ja bym jej przywalił! – mruknął Próchno.

– Babce Mareckiej czy własnej matce? – zainteresowała się, nadal zza płotu, Mariolka. Jakoś wejść nie miała ochoty, ale też nie śpieszyło jej się stamtąd odchodzić. Tkwiła więc wpatrzona ze sporym zainteresowaniem w poczynania zebranych.

– Mariolka!... – zawołała Ada. – Czy ty przypadkiem byłaś w klubie wtedy co była ta katastrofa z oberwaną głową?

– Ja? A co pani, pani Ado, ja po klubach nie chodzę, no chyba że z Wackiem.

– Kiedy pamiętam, że cię słyszałam! Może byłaś wtedy z Wackiem?

– Nie, no co pani, ot tak zaraz po śmierci matki własnej po klubach by chodził?

– A widziałas, jak nam barman tę kartkę oddawał? – Ada wołała pójść nieco dalej i nieco bardziej na chłama. Czasami to działa. Szczególnie kiedy ktoś kłamie.

– Nie, co pani, ciemno było! – westchnęła, pograżając się całkowicie. – Bo to przez Joaškę było, czego ona tak? Czepiła się mnie, to jej powiedziałam, żeby się odwaliła, bo tak tylko Mariolka to, Mariolka tamto, no i że ja to jestem samo zło!

A przecież jej ojciec nie jest ubezwłasnowolniony. Rozwody istnieją! No wściekłam się. Ale naprawdę nic nie widziałam, tylko adres usłyszałam, no bo żeście wrzeszczeli prawie, że Sądowa trzy przez cztery! Było nie wrzeszczeć! I widziałam jak Kościuchowa wzięła telefon i polazła gdzieś.

– Jezu, Kościuchowa i telefon. Skąd on się tam wziął?

– Gdzie tam?

– Na miejscu zbrodni!

Melka zaczęła wynosić dodatki. Mieli jakąś sałatkę, musztardę i chleb. Musztardę powykładała na papierowe tacki, bo nie chciało jej się potem zmywać naczyń.

– No, żarcie czeka! – zawołała.

Próchno wziął tackę i dokładnie zlizał z niej musztardę.

– Kurwa, ale to dobre! Dawaj więcej. – Podsunął tackę Melce.

– Kielbasy sobie do tej musztardy weź – mruknął Mateusz.

– No wziąłem, ale mi się w rękach rozsypała. Zwęglona jakaś. O tam leżała – wskazał na okolice ogniska.

– To nie kielbasa, to spódnica ciotki, kielbasa jest na patykach.

Purchawa śniła swój wielki sen, ten, który śnią w większości policjanci na służbie na wszystkich posterunkach świata, kiedy głowa im się odgniała od biurka, a krzesło wbija w wątrobę.

Kiedy zimno, głośno i do domu daleko, a oni muszą siedzieć i czekać, aż ktoś wreszcie popełni jakąś zbrodnię i będą się mogli wykazać, ale najczęściej to pi-jackie burdy, niszczenie nagrobków, bicie żon, a czasami kradzież z włamaniem, niekiedy sama kradzież. W każdym razie pierdoły nad pierdołami i to wszystko marność, bo po czymś takim nikt nigdy jeszcze się nie wybił. Stety czy niestety.

Gdyby to była jeszcze Warszawa, włamanie do jakiegoś celebryty i uratowanie jego mienia albo choć uratowanie ulubionego yorka przed zarzyganiem czy coś w ten deseń.

A przecież każdy pragnie rozwoju zawodowego, osobistego też.

Purchawa chciała sławy, zaszczytów i Edzia.

Nic nie wskazywało na to, że którekolwiek z tych marzeń się sprawdzi.

Na jej korzyść można było powiedzieć tyle, że nie pragnęła być bogata. Nie, bogactwo zupełnie jej nie obchodziło, ale możliwe, że dlatego, że po rodzicach

odziedziczyła spore pieniądze i nie musiała sobie nimi zawracać głowy.

Te sny, w których pojawiały się spektakularne aresztowania, wielkie brawa tłumów, strzały w tłumie i ratowanie ludzi z narażeniem życia (bez narażenia się nie liczy), medale i lasery, wielkie słowa, a do tego wielka sława.

A wszystko odbywało się dokładnie tak jak w klasycznych doniesieniach prasowych.

Morderca na glebie w gaciach, twarzą do ziemi, z rękoma na plecach, z nogą Purchawy na tyłku, jakby pozowała do zdjęcia z własnoręcznie zastrzelonym lwem, dookoła trofea, pieniądze i narkotyki oraz jakieś ślady morderstwa, może kości porozwlekanych szkieletów, koniecznie ludzkich, plamy krwi na ścianach, słoje z wydłubanymi oczami (czytała kiedyś o kimś takim i zrobiło to na niej wrażenie), krwawe strzępy ciała, ołtarzyki nagrobne, świadczące o tym, że morderca, którego właśnie schwyciła, jest niebezpiecznym psychopata. W kącie taran, którym wyważyli drzwi, a one same roztrzaskane w przedpokoju.

I głos spikera.

– Dziś rano policja pod dowództwem... wkroczyła...

Takie sny były najpiękniejsze.

Czasami zdarzało się, że we śnie morderca się odwracał, okazywało się, że to Edzio, który został przez przypadek złapany, a morderca śmieje się jej w nos, wtedy miała ochotę zabić Edzia, bo psuł jej najpiękniejsze sny.

Psychologowi policyjnemu o tych snach czasami mówiła, pomijając szczegóły, twierdził, że praca jest dla niej ważna i że powinna częściej odpoczywać. Zwykłemu niepolicyjnemu psychologowi kiedyś też o tym opowiedziała, ale jednak tym razem ze szczegółami.

Wyskoczył przez okno.

Purchawa kombinowała bardzo ogólnie, że powinna aresztować Mareckiego w sposób spektakularny, a przy tym bezpieczny i dla niego, i dla innych, odpadały więc miejsca publiczne, nie chciała też łązić za nim po lasach czy parkach, więc postanowiła aresztować go w domu. Dom to oczywiście miejsce i bezpieczne, i niebezpieczne zarazem.

Morderca może nie tylko mieć broń i zaatakować policjantów, ale wziąć rodzinę na zakładników na przykład, toteż należy zrobić wszystko, żeby ten, po kogo przyjdzie policja, nie wiedział, co się dzieje.

Słowo „przyjdzie” też jest nieprecyzyjne, policja raczej wpadnie, właduje się, staranuje pół domu i rozwali kilka ścian, ale to bywa konieczne.

– Szósta rano – stwierdziła Purchawa. Wszyscy aresztują przestępców o szóstej rano. Klasyka. Tak jest chyba najlepiej, no i trzeba czerpać z wiedzy kolegów po fachu, to znaczy prawie kolegów i prawie po fachu, bo to na ogół antyterroryści tak robią, tyle że czego jak czego, ale terrorystów to Purchawa nie doczeka się w Prasławcu nigdy, chyba że sama kogoś sterroryzuje.

Po chwili jednak stwierdziła, że szósta rano jest jakby zbyt przewidywalna.

– Może jednak piąta? – zapytała sama siebie i zadumała się nad tym wyborem.

* * *

Cezary miał mętlik w głowie. Po raz pierwszy w życiu miał dokonać wyboru moralnego i nie był to problem wyboru między trawką a halucynogenami. Zresztą trawnikowe halucynogeny i tak zawsze wygrywały, bo były darmowe, i choć można było się i na nich, i od nich przekreślić, to Cezary życie na krawędzi lubił.

Teraz jednak chodziło o ojca. Czy był mordercą, czy nie był, to w sumie nie miało większego znaczenia. Nikogo to właściwe nie obchodziło, teraz Cezaremu chodziło bardziej o to, co on, osobiście on ma zrobić z tą wiedzą.

Nie wiedział, czy powinien ojca ostrzec o Purchawie, czy też nie. Ostrzeżenie mogło zamienić się w pełną finansową wdzięczność po uzyskaniu spadku, a brak ostrzeżenia nie, jednak jeżeli ojciec był mordercą, to spadek i tak przypadłby na Cezarego, a nie na ojca, więc wdzięczność...

Ostrzegając, pokazywał, że wierzy w to, że ojciec jest mordercą i może sobie nagrabić na policji...

– Ojciec! Spierdalaj z domu, natychmiast! – powiedział do słuchawki telefonu ponurym głosem, który jego trochę podlany piwem rodzic wziął za groźbę, agresję, a może nawet próbę pozbawienia wszystkiego, co ten posiadał.

– A ty co, gnoju!? Z własnego domu będziesz mnie wyrzucał? – zapytał buntowniczo, bo nawet w najśmielszych marzeniach, a raczej w najstraszliwszych koszmarach czegoś takiego sobie nie wyobrażał.

– Zdebiłałeś? Policja po ciebie idzie!

– Kiedy ja nic nie zrobiłem! – jęknął Marecki senior pełnym przerażenia głosem – uwierz mi!

– A kogo to obchodzi, czy ja ci uwierzę? Jak chcesz, to siedź i czekaj, a jak cię zamkną, to już nie wypuszczą. Jesteś idealnym mordercą, a takich się skazuje, nieważne, czy są winni, czy nie!

– Mowy nie ma! – odparł ojciec butnie. – Nic nie zrobiłem, tylko winny ucieka!

Stwierdzenie „tylko winny się tłumaczyć” narobiło wiele krzywdy ludziom w Internecie i w życiu też, bo takie podejście jest obliczone na zdrowy rozsądek, a ten nic w Internecie nie ma do gadania.

* * *

Edzio złapał Mundka za ramię i pociągnął go do bufetu.

– Ty przyjrzyj się dobrze, widzisz to co ja? – Położył przed nim kartkę z adresem, fotokopię tej, którą dostała w klubie Ada.

– No w sumie chyba tak, chodzi ci o tę kreseczkę?

– Tak, dokładnie o to.

– No, ale...

– No właśnie, paproch, nie paproch, ale to się nie zgadza.

Obaj zaczęli przyglądać się z dużo większą uwagą temu, co było zapisane na kartce.

– No, ale czyj to charakter pisma?

– Ja się w grafologa bawił nie będę. Zresztą nawet jeżeli się zabawię, to i tak nikt nie weźmie mnie na poważnie. Nie jestem specjalistą, nie mam papierów, to nie może być w tym momencie dowód. Za to to drugie tak.

– A paproch czasami nie jest zwykłym paprochem.

– A czym? Niebiańskim objawieniem?

– Nie, ale...

– Co wy tu kombinujecie? – Ada i Melka wpadły dokroić chleba.

Grożące wybuchem spodnie Ady zaczęły już nieco popuszczać na szwach tak, że po bokach miała zamiast szwów drobną siateczkę rozsnuć i pęknięć, szczególnie w miejscach, które wypychały się przy siadaniu.

– Nic, tak przyglądamy się kilku sprawom – stwierdził Hubert z miną świadcząca o tym, że nie powie jej nic więcej.

Dwóch pozostałych było mniej dyskretnych, bo rozumieli, że kto jak kto, ale Ada powinna coś wiedzieć.

– Patrz, co Mundek znalazł w Internecie! – Edek pokazał jej wydruk jakiegoś artykułu zachowanego w sieci.

– To z dwunastego lutego, sprzed dwudziestu lat – dziwiła się Ada. – Po co wam takie starocie? – Nawet pobieżnie nie przejrzała artykułu, którego tytuł ją odrzucił – *Makabryczna masakra na drodze*; dobrze wiedziała, że jak masakra to makabryczna, a nawet i bez tego... Tego typu artykuły wciąż ją wkurzały. Omijała

wszystkie *Lekarze ci o tym nie powiedzą, Przez całe życie robiłeś to źle* oraz *Pijesz to, natychmiast do lekarza*, tym bardziej omijała wszelkie makabryczne masakry, koszmarnie tragedie i masakryczne potworności. Przerost formy nad treścią szczególnie w tytułach ją wkurzał tak, że i treść omijała.

Teraz jednak Edzio uświadomił jej, że ten tekst może być interesujący.

– Bo to artykuł o śmierci męża babki Mareckiej.

– I co tu jest ciekawego? – zdziwiła się mimo wszystko. – Jakieś spekulacje? Coś?

– Nic, ale też wielu rzeczy tu nie ma. Nie ma na przykład muchomorów, o których opowiadała chyba Kościuchowa, i nie ma też walca drogowego... Zresztą, *anyway* – dorzucił po angielsku – ja jestem bardziej ciekawy tego, co widział Mirek, ale jest tak narąbany, że nic nie umie sobie przypomnieć, oby tylko nie było tak, jak to w bajkach kryminałkach bywa. On nie pamięta, budzi się rano, przypomina sobie, a tu ciach i siekiera spada mu na głowę.

– Ale gdzie ta siekiera? – zapytała Ada, rozglądając się dookoła niepewnie.

– No, na głowę – Melka wyjaśniła coś, co każdy doskonale rozumiał. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że jeżeli jest atak za pomocą siekiery, to może dojść do pozabawienia kogoś różnych części ciała, ale odrąbane rączki i nóżki to na ogół efekt uboczny ataku, bo głównym celem jest jednak głowa.

– Ale o, tu u nas? – zdziwił się Mundek.

– A ja wiem? Może i u nas, bo patrząc na jego stan, to wołami się go stąd nie wyciągnie.

Takie postawienie sprawy nagle uświadomiło wszystkim, że będą kłopoty.

– Czyli mamy go w nocy pilnować?

– Oszalałeś? Mowy nie ma. Każdy idzie spać. A on niech sobie robi, co chce, wcale nie jest powiedziane, że cokolwiek widział, może tylko majaczy albo bajkuje.

– No i skąd morderca by to wiedział?

– A stąd, że ten debil lata z pyskiem po kweście i wszystkim opowiada niestworzone historie. – Melka doskonale zdawała sobie sprawę z morderczych możliwości plotek. Nie raz i nie dwa uczestniczyła w efektach nierozważnych poczynań na Facebooku, co prawda, nie było to stricte morderstwo, ale tylko dlatego, że odpowiednio wcześniej nastąpiła interwencja osób postronnych.

– Albo ktoś go śledzi – stwierdził Hubert niepewnie.

– Albo ktoś może się czaić w krzakach przy naszym ogrodzie.

Tego oczywiście nie mogli wiedzieć, ale mieli rację. Ktoś się mógł czaić. Nie było pewne, czy się czaił, ale móc mógł.

Purchawa wszystko sobie poukładała, wezwała swoich najgorszych policjantów, w końcu aresztowanie bez towarzystwa obejść się nie mogło, a ona nie chciała się chwałą dzielić.

Gdyby wzięła najlepszych, po prostu część jej własnej, ciężko zarobionej sławy przypadłaby im. Tego nie pragnęła. Ba, tego nie chciała. Wymyśliła więc, że weźmie trzech posterunkowych, największych „myślicieli”, którzy ledwie potrafili posługiwać się bronią, i w ich towarzystwie wejdzie do domu nieuzbrojonego przeciwieź Mareckiego, sterroryzuje jego i rodzinę (dobrze by było, gdyby ktoś w tym momencie zemdlał albo się pochorował) i w blasku fleszy ustawionych wcześniej dziennikarzy wyprowadzi go z domu.

Dziennikarzy nie miała, ale wezwała znajomą fotografkę, którą była niegdyś właścicielka zakładu Ociepków.

I w ten sposób będzie odpowiednia ilość plotek i dociekań, każdy będzie wiedział, kto został aresztowany i za co, oraz co najważniejsze, że zrobiła to ona, Purchawa.

Awans w zasięgu ręki.

– Skąd wiadomo, kiedy ten paproch się tam pojawił? – zapytał Edzio tonem wielkiego znawcy paprochów i ich historii. Paprochologa niemalże z habilitacją z zaszuszonych odnóży muszyc, a może nawet i pajęczych.

– No nie wkurzaj mnie! A co to kogo obchodzi?! – Ada aż prychnęła. – Przecież to nie ma znaczenia! Paproch to paproch, morderca go tam nie przykleił! Przypadek, rozumiesz? Przy-pa-dek! Nad tym nikt nie panuje! – wściekła się, bo nagle wydało jej się, że gonią w piętę. Nic nie wiedzieli, nikogo nawet nie podejrzewali (tak porządnie, bo nieporządnie, to owszem, tak, podejrzewali wszystkich), nic nie rozumieli, a ten debil zajął się paprochem, tak jakby był jakimś Herkulesem Poirotem z dupy wziętym.

Poirot, szczególnie ten filmowy, Adzie utkwił w pamięci, bo zawsze się na niego wkurzała, tu spojrzy, tam spojrzy, wysnuje jakąś teorię dotyczącą ciasta francuskiego, a potem ciach, okazuje się, że to pomogło schwycić mordercę.

Bezsens.

– Ten paproch nie ma nic do rzeczy! – burknęła.

– No przecież, że ma! – Edzio zrobił pogardliwą minę, choć używania tej jednej akurat w stosunku do Ady starał się unikać, bo kiedyś za taką minę wylała mu gorącą herbatę na głowę, ale to było w czasach ich wspólnej pracy i wtedy mogła sobie na to pozwolić.

– Jakim cudem i jakie? – odwarknęła niechętnie.

– Założyliśmy, że ktoś napisał tę wiadomość na kartce, a kiedy już była napisana, paproch się przykleił, zmieniając „a” na „ą”, prawda? A co, jeżeli przykleił się wcześniej?

– A co, jeżeli każę ci się stąd wynosić? – Ada popatrzyła na Edzia. – Wszyscy wynocha. Picie wam szkodzi! Debile!

– Nie, no Ada, co ty, jest dopiero pierwsza! Wypijemy jeszcze odrobinę...

Zawsze o tej porze nawet ci, którzy do imprezy siadali niechętnie, nagle się rozkręcają i za nic nie można ich pogonić spać. Nie dość tego, na dodatek szukają pretekstu, żeby zostać.

– Kiełbaski jeszcze są – powiedział nieśmiało Mundek.

Kiełbasek już nie było. Mirek Próchno i Witek Mąkosiak bardzo się o to postarali, kiedy zostali pozostawieni bez nadzoru. Na szczęście nikt nie zostawił obok nich innych dóbr, ale kiełbaski i musztarda zostały narażone na pożarcie.

I pożarte.

– No dobra, ale o co wam chodzi z tym paprochem? Co on zmienia?

– No nie pamiętasz? „A” na „ą”... – odpowiedział złośliwie Edzio, który miał w głowie pewną teorię. Ta teoria mu się jakoś zaczynała klarować i choć zazwyczaj paprochy, ich pochodzenie, a nawet czas pojawienia się w tym czy innym miejscu nie mają znaczenia, to teraz wydało mu się, że mają.

Bo co, jeżeli ten paproch już był na tej kartce? Już wtedy, kiedy ten ktoś pisał? To by wiele zmieniało. Tyle że paprochy nie mają dat produkcji...

Próchno i Mąkosiak pospiesznie opuścili ogród mimo pewnych sygnałów, że nie powinni, bo Próchno padał co trzy metry i koledzy musieli go prowadzić pod rękę.

Cezary również postanowił z nimi wrócić do domu, ale też odstawienie Mąkosiaka do parku, gdzie najczęściej koczował i Mirka do domu rodziców mieściło się w zakresie jego poczucia lojalności.

Imprezę opuścili, bo podejrzewali, że się skończyła, co było jakby pierwszym sygnałem, ale także dlatego, że gospodarze źle reagują na wieść, że ktoś potajemnie wyżarł dwa kilo kiełbasy i litrowy słój musztardy.

Zrobiła się już trzecia, kiedy wszyscy dotarli tam, dokąd szli.

– Słuchajcie – powiedział Mundek, zbierając swoje rzeczy, tuż przed wyjściem od Ady – możemy sobie gdybać, srybać, ale jeżeli to, co wymyśliliśmy, ma jakikolwiek sens, to jutro Mirek Próchno może mieć bardzo ciężki dzień.

– Albo noc.

– Nie będzie miał. – Ada uparła się przy swoim. – Purchawa aresztuje mordercę i będzie spokój.

Naiwna wiara Ady w Purchawę wcale nie była wiarą ani nawet nie była naiwna, i nie było w niej ani krzty feminizmu, Ada po prostu miotała się między pobożnymi życzeniami a chęcią dokopania Edziowi. Takiego psychicznego dokopania, to zawsze boli najbardziej i nie powoduje strat własnych.

Zresztą Ada już miała dość tej sprawy, tych wszystkich Mareckich, tego miotania się to tu, to tam, braku dowodów, nie miała ochoty już się w to bawić. Jej nieco słomiany zapal gnał ją na bazar i do fryzjerki, gdzie zbierała inne, nowe ciekawe ploty. Potencjalne sprawy i to o wiele ciekawsze.

– Ale to nie powinien być Marecki! – odburknął Edzio niezadowolony. – A ona chce aresztować właśnie jego! To nie może być on!

– Bo ty wiesz najlepiej, prawda?! To jest policja! Mają dane, których tobie nie ujawnili! Sam wiesz, jak jest, to wredne skunksy, a Purchawa... – Ada się wściekła, bo trochę to wszystko jej też nie pasowało, ale nie pasowało zupełnie inaczej.

Oczywiście oni jako oni aresztować nikogo nie mogli, ale Ada pragnęła, żeby odrobina splendoru skapnęła także i im.

– Przeceniasz ją – burknęła prawie przez sen Melka, uwalona na Mateuszu.

– Nie przeceniam, doceniam! Zresztą ja w ogóle już nic nie wiem. Przecież to my rozpoczęliśmy całą akcję i kto wie, czy nie...

– Oskarżają nas o nieumyślne spowodowanie śmierci – westchnął Hubert.

Dotychczas jakoś nikt jeszcze takiego obrotu rzeczy nie brał pod uwagę, tym bardziej że nie brali udziału w żadnym mordobiciu czy wypadku, ale ludzie się teraz bardzo amerykańniają i zaczynają stosować pewne amerykańskie sztuczki, może wciąż z marnym skutkiem, bo żaden włamywacz nie wywalczył jeszcze odškodowania za wypadek na oblodzonej posesji, na którą się włamał, ani za po-

gryzienie przez psa, ale to się wkrótce zmieni. Takie sprawy będą się miały coraz lepiej i ludzie będą woleli dać napastnikowi to, czego chce, bez szemrania, żeby się tylko odczepił.

W USA jakiś złodziej podobno wygrał spore pieniądze na leczenie psychiatryczne od tego, kogo okradł, bo tamten, zamiast siedzieć cicho, wyzwał go od nieudaczników (rozbił właśnie ukradziony telewizor).

– Jezu, dlaczego? – Ada gwałtownie poderwała się z krzesła.

– Bo gdybyśmy tego nie ruszali, to ten pocztowy idiota nadal by żył!

– Przestań! Nie strasz mnie! – Ada się wściekła, jej spodnie wreszcie tego nie wytrzymały, wreszcie, bo od dłuższego czasu ich zachowanie przykuwało uwagę wszystkich. Z pyknięciem i głośnym odgłosem prucia, albo jak kto woli darcia przypominającym nieco inny, ale za to śmierzący odgłos, pękły.

* * *

Klasyka policyjnych poczynań zaczyna się zazwyczaj od hasła wprowadzającego chaos.

– Otwierać! Policja!

Oraz od natychmiastowego przywalenia taranem w drzwi, bo przecież kto będzie czekał, aż mieszkańcy się obudzą, ubiorą i otworzą, w międzyczasie przygotowując, ładując i odbezpieczając broń.

Purchawa poszła nieco dalej.

Ociepkowa, która ledwie żywa o tej porze cykała zdjęcia z akcji, zauważyła, jak po sznurze z dachu spuszcza się jakiś policjant.

Dotarł do okna.

Miało być profesjonalnie, było fascynująco. Niewykszkolony do tak spektakularnych akcji policjant, który linę zabezpieczył na kominie, najpierw zaplątał się w nią, potem zawisł głową w dół na nodze, na szczęście żywy, po czym runął na Ociepkową z wrzaskiem. I z kominem.

W tym czasie padły drzwi.

– Waclawie Marecki, jesteś aresztowany! – wrzasnęła Purchawa przez megafon, co obudziło pół dzielnicy.

Megafon był konieczny, zawsze marzyła właśnie o takiej akcji z megafonem i taranem, takiej, o której słyszy się w wiadomościach i w plotkach, która odbija się tak zwanym szerokim echem.

I rzeczywiście głos wzmocniony przez megafon odbijał się echem od pustych ulic śpiącego jeszcze miasta.

Chyba o to jej chodziło, bo o tej porze, kiedy wszyscy jeszcze śpią, nie mogła liczyć na widzów i poklask, a bardzo tego pragnęła.

Wrzask megafonu usłyszeli wszyscy, nawet ludzie mieszkający o kilkaset metrów dalej. Podziałał jak pobudka i alarm przeciwpożarowy oraz zachęta, by szybko wystawić choć głowę na ulicę, bo to, co się dzieje, jest z pewnością interesujące.

Nie usłyszał tego jednak sam Marecki.

Działając na zasadzie „strzeżonego Pan Bóg strzeże”, uciekł z domu około piętej rano, wiedziony pewną starą prawdą, że kto rano wstaje, tego policja może w dupę pocałować.

Wybrał godzinę, o której, żeby uniknąć aresztowania, wstają wszyscy malwersanci, niepewni politycy, bossowie narkotykowi oraz pracze brudnych pieniędzy.

Niestety w domu pozostała jego rodzina, której wcale nie było mu żal. Luśka, Joaśka i Cezary, których dopadł wrzask, huk oraz szok.

Luśka zbiegła ze schodów w stroju nocnym.

A że sypiała nago...

Ociepkowa trzasnęła zdjęcie. Luśka trzasnęła Ociepkową. Aparat wyleciał kobiecie z rąk i trzasnęła Purchawę.

– Jesteście aresztowani! – wrzasnął posterunkowy Pawlicki, widząc obrażenia przełożonej. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Niestety w tej chwili posterunkowy Pawlicki popatrzył na nagi i drżący biust Luśki, dołożył równie nagi, ale bardziej napakowany biust Joaśki i zemdlał z wrażeń.

Posterunkowa Kowalik nie była na biusty wrażliwa, załapała się jednak na klejnoty Cezarego. Też nagi, drżące i napakowane, a nawet wskazujące na zainteresowanie tematem (czyli posterunkową).

I tak wywinęła orła, że Ociepkowa podniosła aparat i zaczęła znów cykać zdjęcia, które gdzieś sprzeda, może pod tytułem Seks zabija albo Orgia w domu mordercy. Nieważne, sprzeda przecież tylko zdjęcia, kto inny do nich dorobi jakąś treść.

– Gdzie on jest?! – wrzasnęła Purchawa.

– Tu jeeeestem! – odwrzasnął ledwie żywy posterunkowy spod zwałów komin, przekonany, że szefowa szuka właśnie jego.

– Zamknij się! – ryknęła Purchawa. – Mareckiego szukam!

– Ja, ja... ja go widziałem – wydukał, wciąż przywalony cegłami. – Jest tam w domu. Widziałem go przez okno.

Na to hasło Purchawa poderwała padłą posterunkową i omdłego posterunkowego, wyrwała broń z kabury i ruszyła niemalże po trupach do celu.

Zaczęli rozwalać wszystko – łóżka, szafy, wszystkie miejsca, w których ktoś mógł się schować, nie wiadomo, jakim cudem rozwalili ceramiczny sedes i zegar ścienny, kiedy przywalony kominem posterunkowy wylał spod kupy cegieł, obity i poraniony wszedł do domu i złapawszy Cezarego, zawołał:

– O tu jest. Mam go! – Po czym znów omdlały wpadł na ścianę, ale tym razem z pomocą Purchawy. A właściwie jej ciosu.

– Ty, debilu! To nie jest on.

– Jest, to Marecki!

– Ale nie ten!

– A, chodzi o tamtego? Ojca? To nie widziałem.

Nie doszło do masakry z użyciem broni palnej tylko dlatego, że przed domem Mareckich zatrzymał się radiowóz, z którego wysiadł aspirant Koziołek i spacyfikował Purchawę.

– Uciekł – powiedziała prawie z płaczem – uciekł!

– Kto wiedział o akcji?

– O akcji nikt – wyjaśniła niepewnym głosem – ale o pomyśle...

Nad Edziem w jej głowie zebrała się całkiem spora czarna chmura.

Miasto wrzało. Od samego rana plotka goniła plotkę, ludzie zbierali się, żeby porozmawiać, i to gdzie popadnie. Nikt oczywiście nie miał zamiarów rewolucyjnych, wszystkimi kierował jedynie pęd do wiedzy.

Wiedza w takich okolicznościach jest ważna, bo nikt nie żyje w próżni, jeżeli Marecki zabił matkę, to ani chybi Luškę zwolnią z marketu, bo przecież winna, niewinna, ale tak to działa, z bazaru zniknie też Joaśka, bo jak ojciec morderca, to pewnie ona złodziejka i nawet jeżeli niektórym (choć niewielu) takie podejście wydaje się niesprawiedliwe, to nie ma to najmniejszego znaczenia, tak to po prostu działa, gdyby jednak nie dało się Luški zwolnić, bo coś tam, może jakieś prawa pracownicze nie pozwolą czy jakoś tak, to koledzy i koleżanki tak ją zaszczują, że sama odejdzie z podkulonym ogonem, to samo zresztą z Joašką, choć tu nie będzie problemu, właścicielka budy nie ma nad sobą nikogo i może zrobić co zechce, jedynie Cezaremu nikt nic nie zrobi, bo on nigdzie nie pracuje i wszystko mu zwisa. On jeden może nawet skorzysta na sprawie, bo jemu za-

wsze coś postawią, żeby się otrzeć choć o najnowsze ploteczki, no ale co to ma do miasta?

No ma, bo przecież w takiej sytuacji trzeba natychmiast zastosować jedną ze strategii, albo na „ja tej pani nie znam i nigdy nie znałem”, albo na „nie ma takiego numeru”. To drugie dotyczy oczywiście bardziej przyjaciół, którzy znikają jak kamfora. Takie życie.

Ludzie z każdej tragedii usiłują wyciągnąć coś dla siebie, a jeżeli nie mają co wyciągać, to choć sobie poużywają. Oczywiście na słabszych, tylko na słabszych można. To znaczy niby nie można, bo nie wypada, ale skoro się da, to czemu sobie żałować?

– I kto to widział, żeby tak mordować własną matkę? – retoryczne pytania zawsze dobrze zaczynały rozmowę.

– No Marecka swoje za uszami miała – odpowiadał ktoś, obeznany w strategii, żeby temat zbyt szybko się nie skończył, każdy wie, że kiedy wszyscy ludzie są tego samego zdania, nie ma rozmowy.

No i ofiara zawsze musi być sobie sama winna, bo to ratuje świat przed katastrofą. Ludzie nie mogą się bać. Muszą wszystko sobie dokładnie poukładać, tak żeby im w ich głowach nic nie groziło.

– Sam tego nie zrobił, Luśka maczała w tym paluchy – powiedziała jedna z kobiet, bo kobiety celują w takim oskarżaniu innych kobiet.

– No, ale on z Mariolką... – Ktoś usiłował trochę uściślić sytuację, ale się nie dało, bo wszyscy już znali prawdę.

– Dla niepoznaki, kochana, dla niepoznaki!

– No, ale... Bo on to taki w sumie dobry syn był... – Klasyczna wypowiedź na temat. Zawsze się kłaniał, a nawet mówił „dzień dobry”.

– Marecka to by sobie nie pozwoliła, żeby był zły. Nogi z dupy by mu powyrywała. To musiała być jej sprawka, tej jego żony, skoro policja mówi, że on, to on, ale ona mu kazała!

– Obie! One obie! Matka z córką...

Lincz nabierał rumieńców. Tłum oskarżył.

Tłum chciał sprawiedliwości. Matkobójstwo to paskudna zbrodnia, obie Mareckie należało ukarać. Surowo!

Oczywiście gdyby ktoś teraz spotkał Mareckiego, raczej by go nie zauważył. Był duży i mógł oddać.

Obie Mareckie, matka z córką, przekradły się oplotkami, żeby niezauważone dostać się do domu Ady. Tylko tam miały nadzieję się schronić i tylko tam mogły się do woli wynętrzać.

Mogły się żalić, płakać, jęczeć oraz krzyczeć. Wybrały to ostatnie, żale i płacz są mało efektowne i efektywne, a atak to podobno najlepsza obrona, a jeszcze atak na niewinnego?

– Co wyście, do cholery, narobili?! – wrzasnęła Luśka, kiedy już usiadła w bufecie i nie obawiała się o to, że ktoś ją dopadnie – Pół miasta... Pół miasta...

– Ale co pół miasta?! – zapytała Ada nieco agresywnie, czując pismo nosem, bo choć knajpy w Teksasie nie miała, to bufetowanie w komendzie policji sporo ją o ludziach nauczyło.

– Patrzą na mnie, jakbym to ja zamordowała teściową! – obruszyła się Luśka, która teściowej nie kochała, to fakt, ale mordować też raczej jej nie zamierzała, poza tymi chwilami, kiedy miała na to wielką ochotę, ale to zdarzało się rzadko. Zresztą ochota, no cóż, na to paragrafów brak.

– I to nasza wina?! – Ada nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

– A czyja?! Było, jak było, ale nikt mnie po ulicach nie ganiał, a teraz co?! Wałek uciekł, a mnie palcami wytykają! I Joaśka też ma za swoje. Nie wiem, jak ona pójdzie dziś do budy...

– Nie pójdzie, to pewne – odburknął Edzio. – Cała ta sytuacja jest paskudna. Lepiej by było, żeby mąż nie uciekał, a nie tak, teraz to będzie masakra, a ja dostanę po łbie od Purchawy!

Nie uderzył grom z jasnego nieba, z ciemnego też nie, nie wystąpiła żadna spektakularna anomalia pogodowa, ale Purchawa pojawiła się dość gwałtownie.

Gdyby to była scena z filmu o konotacjach z horrorem, to na pewno teraz zagrałyby organy.

– A dostaniesz, chamie! Dostaniesz! Przez ciebie szlag mi akcję trafił! Powinam cię oskarżyć, ale co to da, oskarżyć! Powinni ci licencję odebrać, dziadu! – Purchawa wpadła do bufetu wściekła i zziąjana. W ogóle wszyscy w tym momencie wpadli do bufetu. Od rana minęło już sporo czasu i nagle okazało się, że jest wieczór, ognisko się pali, Mietek z Witkiem walą wino na ławce, a Melka uprawia pokątny seks z Mateuszem. W krzakach.

Droga obok domu Ady stała się nagle deptakiem, bo wszyscy zaczęli tu naraz spacerować w tę i z powrotem, licząc na jakąś akcję.

To niezbyt uczęszczane miejsce teraz okazało się interesujące, bo przecież tam mogło coś się dziać.

Nikt nie brał pod uwagę, że jeżeli coś się dzieje, to raczej nie tam, gdzie się tego ktokolwiek spodziewa, no chyba że jest to jakiś spektakl, a trudno się spodziewać spektaklu tam, gdzie jest zbrodnia. Nie w sensie oczywiście fizycznym, choć gdyby tak się przyjrzeć, to wszystko jest spektaklem, smutne miny na wieść o smakowitym morderstwie, gorące zapewnienia o alibi. Wszelkie solenne deklaracje pomocy. Wszystko bywa na pokaz.

– Dlaczego mu powiedziałeś?! – Purchawa nie dawała za wygraną. Ona się wściekała, możliwe, że szczerze. Pokazy nic w tym momencie by jej nie dały.

Edzio wzruszył ramionami, bo nie był z nią związany żadnym słowem, tajemnicą czy przyrzeczeniem. Miał prawo mówić, co komu chciał, ale dobrze, że tego nie zrobił.

– Nie powiedziałem! Zresztą to nie mógł być on. Nie miał po co jej zabijać! – oznajmił, denerwując tym Purchawę jeszcze bardziej.

Nie chciała, żeby ktoś taki jak on wytrącił jej mordercę z ręki.

– Bo ty to taki mądry jesteś. Ty, ty i tylko ty – warknęła i nie było pewne, czy to jest złośliwość czy deklaracja.

Ani jednego, ani drugiego nie pragnął.

– Nie miał po co jej zabijać – powtórzył. – No chyba że mu się do więzienia spieszyło!

– Ale tego pocztowca mógł i miał za co! I spieszyło mu się czy nie, może liczył na drapane?!
– A tam mógł? Miał za co? Obiłby mu ryja, a nie tak na śmierć. Zrozum, morderstwo to coś poważnego i ludzie go dokonują, kiedy nie da się tego załatwić inaczej, a tu wystarczył sprawny prawnik. To nie mogło chodzić o coś takiego.

– Jesteś głupi! Mogło, a nawet musiało!

* * *

– Wynocha! – wrzasnęła Ada, wypadając do ogrodu. W zasadzie było to stwierdzenie ogólne, ale bardziej dotyczyło Melki i Mateusza niż kogokolwiek innego, choć oczywiście mogło.

Taki ktoś, co do którego ktoś inny używa takiego sformułowania, nie dopytuje się jednak, czy, no wie pani, o kogo pani chodzi, bo ja nie wiem, czy mam spadać, czy nie.

Raczej po prostu spada.

– Chodź do parku – stwierdził Mąkosiak, kończąc wirem ostatnie krople wina typu mamrot. Nie były to ostatnie krople, bo obalili dopiero butelkę, a mieli jesz-

cze trzy w zapasie.

Wiedzieli jednak, że tacy jak oni, pijący z gwinta, bez kubków, szklanek, a nawet czasami i zagrychy nie są wszędzie mile widziani.

Tu chwilowo się zamelinowali, bo liczyli na bufet, ale się jakoś nie doczekali, choć nie było jeszcze pewne, że się nie doczekają w ogóle. W każdym razie w tej chwili żarcia nie było, w domu trwała awantura z policją (mniej więcej), to znaczy policja w niej uczestniczyła jako strona, a nie interwencyjnie.

Obok dziubdział się Mateusz z Melką, a czasami Melka z Mateuszem, którzy wydawali dzikie odgłosy, choć nie było dokładnie pewne, co robią, bo byli zasłonięci krzakiem. Nikt jednak sprawdzać nie chciał.

To znaczy każdy chciał, ale było trochę wstydu.

– Mmmm – jęczała Melka.

– Ooooo – wzdychał Mateusz – oooo, oooo, jeszcze, proszę jeszcze...

Ada posłuchała tego i machnęła ręką.

– Zakładam, że jedzą kielbasę! – powiedziała zmartwiałym głosem.

Usłyszawszy to, Mąkosiak stwierdził, że nic tu po nich.

– Idź do sklepu po jakieś skrawki i przyjdź do parku – rozkazał koledze – albo idź do domu po żarcie, bo te demony, zamiast się pieprzyć, zżarły całą kielbasę.

Ruszyli jednak razem do domu Próchna, zabrali gar gołąbków w sosie grzybowym i dwie łyżki. Potem poszli pod ulubione drzewo Mąkosiaka, gdzie koczował najczęściej i gdzie udało mu się zainstalować przenośny barłóg i zgromadzić kilka pniaków.

Gołąbki były idealnym wyborem, bo można było je zjeść prosto z gara, posiorbując sosem, jeden gołąbek na łyżkę i trochę chleba na pogryzkę. Dobre, ciepłe, sycące...

Owszem, matka przesadziła z grzybami, ale nie ona je zbierała, tylko kupiła je od zupełnie nieznanego sprzedawcy. Miały to być kurki i opieńki.

I tak, całkiem niechcący, wykazała wyższość gołąbków w sosie pomidorowym nad tymi w grzybowym. Dlaczego? Bo te w pomidorowym nie powodują halucynacji.

Chociaż to zależy, kogo zapytać. Chodzi o wyższość, bo halucynacje po sosie pomidorowym naprawdę rzadko występują.

– O widzisz?! I to jest życie! – westchnął Próchno. – Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie...

– Ty mnie tu nie kantuj! – odburknął Mąkosiak. – Co ty, ja aż taki głupi nie jestem, ale z gwiazdami masz rację. Jeszcze by się jakiś imperatyw moralny przy-

dał.

I wtedy na głowę Mirka spadł cios. Nie był to cios bezpośrednio od losu, choć oczywiście od losu też.

Los zdecydowanie nie posiada rąk i nie używa kija bejsbolowego. Niczego chyba nie używa, bo jest zdecydowanie niematerialny, ale potrafi posługiwać się materialnymi wysłannikami, niektórzy mają mordercze zacięcie.

I może gdyby nie gołąbki, to Próchno by się tym przejął, ale one sprawiły, że tylko wzruszył ramionami.

To, co go walnęło, było niebieskie i miało łuski. Zwykły zwid, jakich po grzybkach doznał już wielu, trochę się zdziwił, bo jednak niczego nie zażywał, ale niebieskie coś nie zrobiło na nim wrażenia.

Po chwili zresztą przestało być niebieskie i zaczęło uciekać, po jakimś czasie dość chaotycznej ucieczki przystanęło, odwróciło się, westchnęło żałośnie, znów zawróciło i dopadło Mirka kolejnym ciosem.

Było już ciemno, a latarnie niczego nie oświetlały, bo w parku było ich zdecydowanie za mało.

Był to park wielofunkcyjny. Służył za miejsce schadzek, więc uprawiano w nim seks we wszelkich jego odmianach, służył też za toaletę, miejsce dogodne do dlowania, a nawet do wyrzucania śmieci, toteż miasto zdecydowało się nie oświetlać go za bardzo.

Czasami mroczne jest piękne.

Mrok skrywa odpady, prezerwatywy, perwersje, a nawet żulię. Czasami skrywa morderców.

W tej chwili skrywał zakrwawionego Mirka, który usiłował unikać ciosów, i zaskoczono Mąkosiaka, który chciał zadzwonić po pomoc.

Zwidy jednak w takich sprawach nie pomagają. Telefon zmienił się w wielką trującą ropuchę i powiedział:

– Nie ma takiego numeru.

Mąkosiak spróbował jeszcze raz.

– Słucham – powiedziała ropucha, zamieniając się w węża z klawiaturą.

– Ktoś masakruje właśnie mojego kumpla. Normalnie zaraz go chyba zabije, czy sprzedajecie pizzę z dostawą?

– Gdzie jesteś – zapytał ktoś głosem tak basowym, że aż Mąkosiakowi zrobiło się mrocznie przed oczami.

– A co cię to obchodzi, gnoju?! – wrzasnął, bo na chwilę zapomniał, że to on dzwonił i po co to zrobił.

– Mąkosiak – wrzasnęło coś w wężu z klawiaturą – gdzie ty jesteś?!

To pytanie przemknęło w głowie Witka Mąkosiaka jak koń w galopie i sprawiło, że postanowił iść. Żeby być tam, gdzie powinien, bo skoro ktoś tak do niego mówi, to pewnie znów zapomniał i nie zjawił się gdzieś na czas.

Ruszył przed siebie.

– Mąkosiak dzwonił – stwierdził Mateusz, wyłaniając się zza krzaków, gdzie wraz z Melką oddawali się konsumpcji lodów ze słonym karmelem. – Mówił, że ktoś masakruje właśnie jego kumpla. I że go zaraz zabije, pytał, czy sprzedajemy pizzę z dostawą.

– Całe szczęście! – mruknęła Ada.

– Szczęście, że ktoś masakruje jego kolegę?

– Nie, że pytał o pizzę!

– Bo?

– Bo to znaczy, że jest u siebie, w parku, on tylko tam pizzę zamawia.

– Zamulony był, mógł nie wiedzieć, gdzie jest.

– Mógł i na pewno nie wiedział, ale jego podświadomość wiedziała.

– Czyli?

– Do kogo Mąkosiak dzwoni najczęściej?

– Do nikogo, on woli się po mieście przejść, niż dzwonić, zresztą jak dzwoni, to nikt nie odbiera.

– No właśnie, on dzwoni tylko po pizzę, więc chyba musiał być tam, dobra, już bez dywagacji, idźmy tam.

– Purchawa! – wrzasnęła Ada i od razu zamarła, bo nie było to coś, co policjantka lubiła, ale było już za późno. – Mordują się. W parku!

– Marecki?

– A cholera go wie, ale to coś w tym stylu, Próchno się chwalił, że kogoś widział, dla mnie gównem widział, ale morderca...

– Marecki... – poprawiła ją Purchawa.

– No dobra, morderca, Marecki, jeden pies, on mógł w to uwierzyć!

Błękitna masakra kijem bejsbolowym dopiero się zaczynała, i wcale nie była błękitna, bo Próchno, co prawda, miał zwidy, ale kolory miały różne, a poza tym zwidy są sprawą indywidualną, toteż mimo zjedzenia takiej samej liczby gołąbków z tym samym dokładnie halucynogennym sosem każdy z nich halucynacje miał inne i do tego osobiste.

Za Próchnem gonił łuskowaty stwór z bejsbolem, czasami przybierający błękitną barwę, za Mąkosiakiem goniła fioletowa anakonda z uszami, à la Topo Gigio, w których trzymała kij.

Anakondy nie mają rąk, nawet halucynacje o tym wiedzą.

Tyle że problem nie polegał ani na tym, że była, ani na tym, że fioletowa, ale na tym, że goniła i tłukła.

Obaj byli już mocno poturbowani, z czego obaj zdawali sobie sprawę, ale Mąkosiak był bardzo zdziwiony.

– Ale dlaczego?! – zapytał węża. – Za co?

– Nie rozumiesz mowy węży – wyszczała Anakonda. – Taki z ciebie Harry Potter jak ze mnie...

– Ze smokiem? Ze smokiem gadasz? – zawył Próchno, odchylając się przed ciosem.

– Waćławie Marecki, jesteś aresztowany! – wrzasnęła Purchawa przez megafon.

– Aaaa! – pisnęły Luśka i Joaśka, przy czym ta pierwsza za bardzo się zbliżyła i niechcący dostała kijem w głowę.

– Ojciec! Poddaj się! Ojciec! – pisnęła Joaśka. – I tak już dożywotkę zarobiłeś, po co ci więcej! A wstyd na całe miasto... Jak ja się ludziom pokażę.

– Zmasakrowana?! – powiedział napastnik i walnął w Joaškę, ale spudłował.

– Szybciej, debile! Szybciej – wrzasnęła Purchawa do wysiadających z radiowozu trzech posterunkowych. – Ja wam po premii pojadę, jak on tu wszystkich wymorduje!

Edzio nie pobiegł za tłumem, bo właśnie dostał nagranie zgłoszenia.

To znaczy to, co Purchawa łaskawie mu udostępniła.

Głos z nikim mu się nie skojarzył.

Facet, albo zresztą kobieta, bo trudno to było usłyszeć, oczywiście się nie przedstawił.

Edzio położył przed sobą kartkę z adresem, nad którą się tak biedził ostatnimi czasy. Potem przesłuchał nagranie jeszcze raz.

– Słuchaj – zadzwonił do jednego z kolegów – ty pamiętasz sprawę męża tej Mareckiej, co to ją ostatnio ktoś wysłał na tamten świat?

– Zwariowałaś? To było dwadzieścia lat temu, pamiętać nie pamiętam, ale mam w plikach, ostatnio też się temu przyglądałem, a co chcesz wiedzieć?

– No co on miał przy sobie? Bo tu takie ploty chodzą, że miał muchomory, te czerwone, ale w lutym?

– Nie miał muchomorów, miał gerbery, wiesz, takie kwiaty.

– Coś jeszcze?

– Wiesz, trudno powiedzieć, było sporo szkła, a cuchnęło bimbrem na kilometr, więc chyba miał flaszkę.

– Zaraz. To było dwunastego lutego?

– Tak...

– Masz na imię Eulalia!

– Nie, zwariowałaś? Zbyszek. Mam na imię Zbigniew! Odwala ci?!

– Nie, ale mordercy odwaliło na całego!

* * *

– Jak on tu wszystkich wymorduje, to i premia nie pomoże – burknął posterunkowy Pawlicki.

– Waclawie Marecki, poddaj się! Jesteś otoczony! – wrzasnęła Purchawa przez megafon.

– Chyba przez debili! – odwarknął morderca, mówiąc kijem jak cepem. Ciosy padały raz po raz, może niczego nie miażdżąc, bo były chaotyczne i źle wymierzone, ale powodując rany tłuczone. Jedna dostała się Purchawie.

– Marecki! To atak na policjanta! Ty z pierdla w życiu nie wyjdiesz!

– Ale co pani do mnie ma? – jęknął zza niej Marecki i w tym momencie sam dostał w czerep. – Ojji, pani się odpierdoli... ja nic nie zrobiłem!

– Marecki? – Purchawa zalana krwią odwróciła się do tyłu i zobaczyła nie mniej zakrwawionego Waclawa ślaniającego się i nieposiadającego żadnego narzędzia zbrodni w rękę.

– Co, kurwa, Marecki?! Czego się pani mnie czepia? Mordercy się pani czepi.

Purchawa nie zamierzała.

Nie zamierzała zmieniać obiektu zainteresowań.

– Aresztować go – jęknęła Purchawa. – Natychmiast aresztować! On gdzieś wyrzucił ten kij!

Ludzie mają problemy z wieloma sprawami, jednak najbardziej przywiązują się do własnego zdania na jakiś temat i za nic nie chcą go zmienić, choćby dlatego, że to by oznaczało, że się mylili, a to gorsze niż największa obraza.

Kobiety w tym celują, bo kto jak kto, ale kobieta ma zawsze rację.

Purchawa dodatkowo była kobietą na stanowisku i miała pod sobą kilkoro podwładnych, toteż rację mieć musiała, nie mogło być tak, że się pomyliła, to by podkopało jej autorytet.

W ogólnym chaosie, gdzie ciała padały jak muchy, dosłownie, bo bejsbolowym cepem morderca zdołał załatwić już kilka osób, krew lała się niejako strumieniami, Mirek Próchno dogorywał na ścieżce, wpatrzony w niebo, które pokryte było łuskami, a Mąkosiak usiłował go cucić, ale też był ledwie żywy.

Ada złapała Mirka za nogi, żeby go odciągnąć z miejsca, do którego wciąż i wciąż wracał morderca.

Policjanci mimo świateł radiowozu nie oświetlili mroku parku.

Zadzwoił telefon.

– Czego? – warknęła Ada, widząc numer Edzia. – Tu się masakra odbywa, a ty chcesz konwersacje uprawiać?

– Nie, chcę, żebyś czegoś posłuchała! – powiedział i puścił jej plik, który podeśłała mu Purchawa.

– To on? – zdziwiła się Ada. – Ale dlaczego?

Teraz kiedy już wiedzieli, kto był mordercą, naprawdę nie rozumieli jego motywu. Nie powinien być mieć żadnego. Nie był podejrzanym o nic.

Nigdzie go nie było. Może tak dobrze się kamuflował, może oni byli niedorozwinięci detektywistycznie.

– To proste!

– Jasne, sraj się z tym „to proste” cienką sraczką – warknęła. – Albo gadasz, albo się wyłączam, bo muszę ciągnąć jednego za nogi, nie dość, że potłuczony, to jeszcze ma zwidy. No? Jaki miał motyw?!

– To on był synem!

– Szefowo – posterunkowy Pawlicki nie chciał ściągać na siebie kłopotów, a mogły być bardzo poważne – to kogo mam aresztować, tego czy tego? – Wskazał

ręką na mężczyznę w kominiarce, a potem na Mareckiego. Nie byli jednością.

– Bierz tego z tym cepem – wrzasnęła Purchawa i chyba tym obraziła delikatne uczucia mordercy.

Cały aż się zjeżył i zastygł z bejsbolem nad głową. Krew ściekała z niego małowniczo, a niektóre przylepione do niego bebechy miały kolor i konsystencję rozbełtanego mózgu, na szczęście to były tylko resztki gołąbków.

– Co ty, kuźwa, pierdolisz? Z jakim, kuźwa, cepem? – warknął obrażony.

Trójka posterunkowych skutecznie zatrasnęła mu kajdanki na przegubach zakrwawionych rąk.

– Elvis? – zdziwiła się Melka, która wraz z Mateuszem i aspirantem Koziółkiem przyjechała do parku kolejnym radiowozem na sygnale, za którym jechały karetki, wszystkie, które były w tym momencie sprawne, czyli w sumie półtorej. Jedna była normalna, druga do przewozu krwi, ale zawsze to coś.

– Co znowu, kuźwa, Elvis? Czego się do mnie dopierdoliście? Przez lata morderczyni nie udało wam się ująć, a teraz jak ja ją dopadłem, to wszyscy robią wielkie oczy.

– O co mu chodzi?

– Pewnie o matkę – stwierdził Mirek Próchno, oklejony i zamulony, ale walecznie broniący się przez szpitalem, bo co to za życie w szpitalu, a znieczulenia w płynie nie podadzą na pewno, w każdym razie nie będzie smaczne i zapalić nie wolno, a jak tu się znieczulać bez dymka?

– Czyją? Twoją?

– A bo ja wiem? Zobacz, odwaliło mu, może nawet o matkę naturę mu chodziło, i jakąś morderczynię dopadł, no może się najebał lepiej od nas?

– Ale jak to? – Ada nie była w stanie zrozumieć, jak Edzio doszedł do tego, do czego doszedł.

– Kartka, ta którą dał ci barman. Ta z paprochem.

– Nieee! Znowu paproch?

– Znowu. Bo widzisz, to nie była pomyłka żadna nasza, to było tak, jak trzeba. Ten Krzysztof pocztowiec, który mieszkał na Sądowej trzy przez cztery, zauważ trzy przez cztery. To on napisał do ciebie kartkę, bo chciał, żebyśmy się z nim skontaktowali. Elvis to usłyszał.

– Trzy przez cztery to inny numer niż trzydzieści cztery, prawda?

– No ale co z tym paprochem?

– Był na kartce wcześniej, dlatego sam jej autor wziął go za ogonek, bo ogonek miał być.

– A adres Elvisa? I dlaczego powiedział, że to on chciał z nami się widzieć?

– To inna para kaloszy. Nie chciał, żeby został odkryty udział tego z poczty w sprawie. Pocztowniec był upierdliwy. Bardzo. Przez przypadek przejął korespondencję na swój jak mu się wydawało adres. Korespondencję Elvisa. Przyznacie, że Sadowa, Sądowa, trzy przez cztery, czy trzydzieści cztery łatwo się pomylić? Doczytał się w niej czegoś ciekawego, więc zaczął ją śledzić. Nawet się skontaktował z Marecką, żeby ją ostrzec. Stąd ktoś na poczcie słyszał „będę u pani, pani Eulalio”. Dlatego się szykowała, robiła sobie maseczkę na włosy i zamówiła u Kościuchowej kawał szarlotki.

– I wtedy?

– Nieopatrznie poprosiła Elvisa o jakąś naprawę w łazience i o ocenę, czy da się założyć u niej fotowoltaikę. To jego w łazience zobaczyła Maryśka.

– Ale to nie było tego dnia!

– Nie, wtedy mu się po prostu nie udało.

– Wrócił?

– No, a jak myślisz?

– Ale dlaczego? Dlaczego? Przecież... To on był jej synem?

– Ja? Synem? Jej? Czy wyście, kuźwa, oszaleli? Ona zamordowała mojego ojca! Zamordowała go! Z zimną krwią! Mojego ojca, a swojego męża.

– Ale jak? To był wypadek!

– Wypadek? Żaden wypadek! Miała imieniny, to było Eulalii, dwunastego lutego! Wysłała go po wódkę do bimbrowni w lesie. Pojechał! Jeszcze jej bukiet wiozł, gdyby nie to, toby przeżył. To była jej wina!

– Ale jak to?

– Moja mama mi powiedziała. Byłem, kuźwa, nieślubnym synem Mareckiego. Jego, nie jej! Ojciec chciał mnie uznać. Nie dopuściła, kuźwa, do tego! Przez nią straciłem ojca.

– Zaraz, zaraz, rozumiem, że wziął leki, wyspał do szarlotki i zostawił ją, ale dlaczego wezwał policję?

– Liczył, że to pocztowniec będzie podejrzany, wtedy właśnie był tam w pobliżu. Szedł do babki Mareckiej.

– Dopierdolił się do mnie, zaczął czytać moje listy, a tam były moje rozważania na temat wypadku ojca. No i badania DNA.

- Które wykluczyły ojcostwo Mareckiego, prawda? – Edzio się roześmiał.
- Nie śmiej się, debilu! Ja wierzę mojej mamie, skoro mówiła, że to on, to musiał być on. Musiałem go pomścić.
- A tamten? Za co musiałeś zabić tamtego?
- Nienawidziłem go, chciał mi przeszkodzić i miał coś... Coś, co mi odebrano! Nazywał się tak, jak ja chciałem się nazywać. Bo teraz to co? Co to za nazwisko Paraciej?!
- I tylko tyle?
- Nie, kuźwa, nie tylko! Szantażował mnie!
- Ale czym?!
- Niczym, widział mnie u Mareckiej, a poza tym powiedział, że mnie zamknie w psychiatryku, to ja go w trumnie zamknąłem! I kto wygrał?
- Czyli to jednak Marecki – ucieszyła się Purchawa.
- No ale nie... – Posterunkowy Pawlicki chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła.
- Zamknij się, Marecki w pewnym sensie Marecki, koniec, kropka, wiedziałam, że to on! Ja się po prostu nie myślę. Nigdy!
- A jednak się pomyliła.
- Jasne, bo w tym mieście to prawie każdy nazywa się Marecki. – Pawlicki się roześmiał.
- Purchawa wzięła zamach i walnęła go pięścią w brzuch, a właściwie chciała, ale się pomyliła. Trafiła w Melkę.
- Ej, pani Purchawo! – zawołała Melka. – Ostrożnie, jestem w ciąży! Razem z Mateuszem spodziewamy się dziecka!
- Hubert zbladł, złapał się za serce i usiadł na ziemi. Ada zemdląca.